CO RÓŻNI NASZYCH BISKUPÓW

Podziały w polskim Kościele katolickim pod lupą Terlikowskiego

Cenckiewicz demaskuje manipulacje Piątka o Macierewiczu

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 44/246 30 PAŹDZIERNIKA–5 LISTOPADA 2017

WYCIECZKA PO SZWAJCARSKIEJ REZYDENCJI KULCZYKA

WOJCIECH CEJROWSKI BEZ OGRÓDEK

Polsce potrzebny jest wykidajło

ROZMOWA DO RZECZY

PiS szuka komfortu, a mnie to nie interesuje

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 102 tys. egzemplarzy

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

NOMINACJE DO NAGRODY STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TWÓRCA:

TWÓRCY FILMU „NIEZWYCIĘŻENI"
ALINA CZERNIAKOWSKA
PROF. MIKOŁAJ IWANOW
JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ
JAN SADKIEWICZ

INSTYTUCJA:

KANCELARIA PRAWNA LECHA OBARY
STOWARZYSZENIE OFIAR OBŁAWY AUGUSTOWSKIEJ
STOWARZYSZENIE RODZINA PONARSKA
ORGANIZATORZY AKCJI „RÓŻANIEC DO GRANIC"
FUNDACJA ŁĄCZKA I TADEUSZ PŁUŻAŃSKI

MECENAS:

FUNDACJA PGNiG
MACIEJ RADZIWIŁŁ

STRAŻNIK PAMIĘCI

WIELKA GALA
8 LISTOPADA 2017 R.
ZAMEK KRÓLEWSKI
W WARSZAWIE

PATRONAT HONOROWY

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

PARTNERZY STRATEGICZNI

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY

PGNiG

MECENAS

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

PATRON MEDIALNY

TVP

PARTNERZY WYDARZENIA

LOTTO

PZU

FUNDACJA KSIĄŻĄT LUBOMIRSKICH

Poczta Polska

NARODOWE CENTRUM KULTURY

eprasa.pl 6ed2495ad6

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Przestańcie namawiać do ofiar

Zastanawiam się, czy w polskiej debacie publicznej są jeszcze granice szaleństwa, które nie zostały przekroczone. Chyba nie. Od czasu, kiedy to niedoszłego podpalacza samobójcę przeciwnicy PiS zaczęli nazywać zrozpaczonym patriotą, drugim Rejtanem, męczennikiem, wydaje się, że wszystkie tamy puściły. A może tą granicą oddzielającą normę od szaleństwa był poniedziałkowy artykuł na pierwszej stronie „Gazety Wyborczej", która obwieściła, że w Polsce zaczęły się prześladowania przeciwników politycznych prawicy, bo ruszył „proces czternastu"?

Skojarzenie z „procesem szesnastu" jest aż nazbyt oczywiste. To, że w „procesie czternastu" mamy do czynienia z rutynową sprawą o zakłócanie porządku publicznego przez przeciwników legalnego marszu ONR, a w „procesie szesnastu" z bezprawnym porwaniem i osądzeniem przywódców państwa podziemnego w sowieckiej Moskwie, autorom tekstu ani redaktorom najwyraźniej nie przeszkadza. Chcą – jak rozumiem – zaszokować czytelnika i nim wstrząsnąć. Najbardziej osobliwe jest to, że ci sami ludzie, którzy bez oporów nakręcają spiralę retorycznej nienawiści i agresji, potrafią jednocześnie wzywać do opamiętania oraz spokoju.

To, że takie teksty są usprawiedliwieniem agresji, jest bezdyskusyjne. Jak inaczej mam rozumieć twierdzenie, że „w Polsce zaczęły się zbiorowe procesy polityczne" niż jako podżeganie do oporu i obalenia obecnej władzy? Chyba autorzy tych słów rozumieją po polsku i mają świadomość, że pisząc o „zbiorowych procesach politycznych" opozycji, faktycznie delegalizują władzę? Tak, to przecież prosta konsekwencja ich słów: jeśli w Polsce władza urządza zbiorowe procesy polityczne, to taka władza nie ma moralnej racji bytu. Należy ją usunąć wszelkimi możliwymi środkami. I to niekoniecznie legalnymi. Nie różni się ona znacząco od rządów komunistów.

Ba, autorzy tekstu w „GW" nawet to podkreślają. Piszą: „Oskarżonych bronią m.in. Jacek Dubois i Jakub Wende, synowie adwokatów, którzy w czasach PRL bronili działaczy KOR i Solidarności. Pięknie. Młode pokolenie adwokatów idzie w ślady ojców, tak jak przodkowie bronili opozycjonistów przed totalitarną opresją komunistycznych władz, tak potomkowie ścierają się z siepaczami kaczyzmu. Naprawdę to wszystko jest tam napisane. A o tym, że to nie wybryk, doskonale świadczył z kolei czwartkowy komentarz redakcyjny „GW", którego autor uznał, że „jedyna »wina« Piotra polega na tym, że jest od nas [reszty Polaków] bardziej wrażliwy". Czyli akt samospalenia jest podyktowany większą moralną wrażliwością! Kto się jeszcze nie podpalił, ten „tkwi w minimalistycznym komforcie", a kto owego aktu nie traktuje poważnie, ten „plugawi imię" samobójcy. Jeśli to nie jest zachęta do kolejnych ofiar, to znaczy, że nic nie rozumiem. Właściwie to trzeba się dziwić, że takich wrażliwców było tak niewielu.

Można oczywiście się uśmiechnąć i puknąć w czoło. Kilkanaście miesięcy temu pewien psychiatra na naszych łamach dobrze zdiagnozował to zjawisko swoistej antypisowskiej manii. Można też uznać, że właściwie radykalizacja i szaleństwo przeciwników PiS to najlepsza metoda rządzenia. Im wścieklej mieszają oni rządzących z błotem, im bardziej absurdalne są ich zarzuty i porównania, tym lepiej dla obecnej władzy. Z punktu widzenia socjotechniki nic lepszego niż oszalały oponent nie może się trafić. Tak długo, jak długo obecna opozycja tyranizowana jest przez retorykę „GW", nie stanowi politycznego zagrożenia dla PiS.

Wszystko to prawda. Tylko ludzi żal. Tych, którzy już stracili kontakt z rzeczywistością, i tych, których to jeszcze dotknie. Którzy naprawdę wierzą, że Polska pod rządami PiS to państwo zbiorowych procesów politycznych i prześladowań. I którzy potem wyciągają z tego tragiczne w skutkach wnioski. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 6ed2495ad6

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM
PIERWSZYM KODZIARZEM BYŁ DONALD TUSK
Europa jest w stanie wojny, a wróg jest już na naszym terenie

KRAJ

22 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
KOŚCIÓŁ DZIELI SIĘ PO CICHU
Polityka i Kościół

26 ŁUKASZ WARZECHA
POLITYCZNE PUZZLE

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TOTALNA PROSTRACJA

32 PIOTR GOCIEK
NIE PŁAKAŁEM PO SROCE

34 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ZIEMCEM
TO BYŁ AKT ZEMSTY

36 MARCIN MAKOWSKI
UCHO NA ZAKRĘCIE

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
KAMIENOWANIE PAZURY

40 RADOSŁAW WOJTAS
ŻYCIE ZA ŻYCIE

KULTURA

42 ROZMOWA Z ELŻBIETĄ CHEREZIŃSKĄ
GENOTYP POLSKI
Surowe piękno średniowiecza z książek na ekrany

46 WOJCIECH ENGELKING
SZPIEDZY NIE DAJĄ RADY

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
LUŚNIA – FAŁSZYWY ŚWIADEK OSKARŻENIA MACIEREWICZA
Fakty według Tomasza Piątka

58 ROBERT BOGDAŃSKI
WŁASNOŚĆ – RZECZ ŚWIĘTA?

HISTORIA

62 PIOTR LITKA
SYNDROM KISZCZAKA
Reżyserowany proces morderców ks. Popiełuszki

66 PIOTR SEMKA
JAK LUTER WYMYŚLIŁ NIEMCY

70 ANNA POPEK
WILEŃSKA ROSSA

ŚWIAT

74 JACEK PRZYBYLSKI
TRIUMF CZESKIEGO TRUMPA
Rewolucja w izbie poselskiej

78 WITOLD REPETOWICZ
RÓŻNE TWARZE ISLAMU

80 JOANNA BOJAŃCZYK
RAJ MACHERÓW

EKONOMIA

82 TOMASZ WRÓBLEWSKI
WIELKA GRA O PODATKI
Unia Europejska jednolita podatkowo

STYL

88 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
LUKSUSY DOKTORA JANA
Przepych u Kulczyka

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (52), ZALEWSKI, WOLSKI (60), ZYCHOWICZ, KOPER (72), KOWALCZUK (77), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 6ed2495ad6

Najlepsi z Warmii i Mazur

Nagroda „Żagle Warmii i Mazur" przyznawana przez władze województwa warmińsko-mazurskiego promuje przedsiębiorców i produkty z tego regionu na rynku regionalnym, krajowym i zagranicznym

Z danych GUS-u za 2016 rok wynika, że w regionie warmińsko-mazurskim systematycznie poprawiają się warunki do prowadzenia działalności gospodarczej. Spada bezrobocie (14,2 proc. wobec 20 proc. w 2010), rośnie przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto (3,619 zł wobec 2,879 zł w 2010) i liczba mieszkań oddanych do użytku. Przedsiębiorcy mogą przy tym liczyć na wsparcie Urzędu Marszałkowskiego w Olsztynie, organizatora konkursu „Żagle Warmii i Mazur". Jego głównym celem jest wyłonienie i promocja najlepszych przedsiębiorstw, produktów, usług i projektów promocyjnych w województwie warmińsko-mazurskim. Jury konkursowe wyłania te firmy, które wyróżniają się na tle innych na terenie Warmii i Mazur. Stworzono trzy kategorie konkursowe: najlepszy produkt i usługa, nagroda jakości i przedsiębiorstwo odpowiedzialne społecznie. Zgłaszać mogą się sami przedsiębiorcy, ale laureatów nominować mogą także organizatorzy i partnerzy wydarzenia.

– Specyfika gospodarki Warmii i Mazur wyraża się, m.in. w tym, że dominują tu małe i średnie przedsiębiorstwa, którym niełatwo skutecznie konkurować z potentatami rynku krajowego i międzynarodowego. Z drugiej strony szansą jest obserwowany wzrost zainteresowania klientów produktami regionalnymi - mówi Gustaw Marek Brzezin, Marszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego.

Pierwsza kategoria konkursowa - „Najlepszy Produkt i Usługa Warmii i Mazur" - wyłania najlepsze produkty i usługi z Warmii i Mazur oraz wypromuje je na rynku regionalnym, krajowym i zagranicznym. Druga kategoria „Przedsiębiorstwo Odpowiedzialne Społecznie WaMaBoss" ma wypromować postawy społecznej odpowiedzialności biznesu wśród mikro, małych i średnich przedsiębiorstw województwa. Z kolei celem kategorii „Warmińsko-Mazurska Nagroda Jakości" jest uhonorowanie Warmińsko-Mazurską Nagrodą Jakości, ustanowioną przez Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego w 2000 r., organizacji wdrażających filozofię Zarządzania przez Jakość (Total Quality Management – TQM) oraz upowszechnianie tej filozofii w województwie. Konkurs w kategorii „Warmińsko-Mazurska Nagroda Jakości" jest regionalną edycją Konkursu Polskiej Nagrody Jakości.

– To dobra i ugruntowana forma promocji organizacji, produktów i usług najważniejszych z punktu widzenia realizacji strategii rozwoju regionu. W dzisiejszych czasach sukcesy odnoszą organizacje, które potrafią dostosować się do coraz wyższych wymagań, oferujące produkty i usługi najwyższej jakości, spełniające oczekiwania klientów i otwarte na otoczenie, dobrowolnie uwzględniając w swojej działalności interes społeczny - podkreśla marszałek.

ZGŁOŚ SWOJĄ FIRMĘ

Trwa nabór zgłoszeń, które można przesyłać drogą pocztową na adres: Departament Koordynacji Promocji: 10-447 Olsztyn, ul. Głowackiego 17 i drogą elektroniczną na adres: biuropromocji@warmia.mazury.pl. Konkurs przeprowadzany jest zgodnie z regulaminem konkursu „Żagle Warmii i Mazur" dostępnym na stronie internetowej warmia.mazury.pl, w zakładce Turystyka i Promocja -> Konkurs „Żagle Warmii Mazur". Udział w Konkursie jest bezpłatny i dobrowolny. Organizatorem jest Urząd Marszałkowski Województwa Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie.

Lidia Orzechowska

eprasa.pl 6ed2495ad6

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu dwa głosy poświęcone naszemu ostatniemu numerowi. Dziękujemy za wszystkie listy, także te z sugestiami tematów wartych podjęcia na naszych łamach.

„Niech jadą?"

Szanowny Pan Redaktor
Łukasz Warzecha

Z uwagą przeczytałam Pański felieton „Niech jadą?" („Do Rzeczy" 43/2017). Pomimo że jestem wykładowcą na wyższej uczelni, utożsamiam się ze „zwykłymi Polakami" (choć dopieszczana przez PiS się nie czuję), o których Pan pisze. I chyba jak każdy „zwykły Polak" zgadzam się, że pensje w naszym kraju (również w służbie zdrowia) są za niskie. Nie zgadzam się jednak na wymuszanie wzrostu płac strajkiem, głodówką czy innym szantażem. Uważam, że zarobki powinny rosnąć w porównywalnym tempie na wszystkich budżetowych płaszczyznach i nie powinno być żadnych uprzywilejowanych grup, które swój awans finansowy próbują przyspieszyć siłą. [...]

Ze zrozumieniem podchodzi Pan Redaktor do protestujących lekarzy, nazywając ich oponentów internetowymi ormowcami władzy. Mnie jednak i pewnie wielu innych „zwykłych Polaków" rezydenci nie przekonują (być może brakuje merytorycznej dyskusji, a być może rzeczywiście cynicznie wykorzystują trudną sytuację służby zdrowia).

Po pierwsze, nie przekonuje mnie argument o wyjątkowej odpowiedzialności. Nie tylko w rękach lekarzy leży życie ludzkie. Maszynista, kierowca czy pilot również bezpośrednio odpowiadają za życie ludzi. [...]

Lekarze uczą się wiele lat. Podobnie jak wykładowcy. Ukończyłam dwa dzienne kierunki studiów, odbyłam studia doktorskie, podczas których przez wszystkie lata otrzymywałam stypendia naukowe, w zeszłym roku obroniłam doktorat z wyróżnieniem. Obecnie jako „młody pracownik naukowy" otrzymuję 2140 zł netto. To nie jest dużo. Podobnie jak młodych lekarzy nie stać mnie na kredyt mieszkaniowy, dostatnie życie ani wakacje i zmuszona jestem po godzinach dorabiać, ale nie przychodzi mi do głowy (ani żadnemu młodemu pracownikowi naukowemu, którego znam) głodówka, zwłaszcza w otoczeniu celebrytów znanych z protestowania przeciwko wszystkiemu. Staramy się rozmawiać i przede wszystkim rozumieć, że wszystkiego od razu naprawić się nie da. Dziwne, że zrozumieć tego nie chcą młodzi lekarze.

I na koniec... Praca lekarza (ani żadna inna) nie jest służbą. To zarobkowa praca taka jak każda inna, która niesie ze sobą swoje blaski i cienie. [...] Słuchając wypowiedzi protestujących lekarzy, często odnoszę wrażenie, że uważają się za wyjątkową grupę, która poświęcając swoje życie i młodość, posiadła jakąś tajemną wiedzę i teraz albo im to wszyscy (podatnicy) finansowo wynagrodzimy, albo przestaną nas leczyć.

Parafrazując towarzysza Lenina, nawet kucharka może leczyć ludzi. Wystarczy, że ukończy studia medyczne. Nic mniej, nic więcej.

Z wyrazami szacunku i życzeniami dalszej owocnej pracy dziennikarskiej
Joanna Rokicka

„Medialny obraz polityków"

Szanowni Państwo, piszę do Państwa w sprawie tekstu Krzysztofa Rybińskiego („Do Rzeczy" 43/2017). Przedstawiona w nim analiza zawiera poważny błąd – bazuje na błędnym założeniu, że Gazeta.pl i „Gazeta Wyborcza" są tożsame.

Portal Gazeta.pl jest portalem bezpłatnych treści, który nie ma nic wspólnego z „Gazetą Wyborczą" – jest osobnym produktem, działającym w innym modelu biznesowym (zasięgowym) i raportowanym w innym segmencie biznesowym niż „Gazeta Wyborcza". Nie pracują w nim dziennikarze ani publicyści „Gazety Wyborczej". Dostarcza on podstawowe, najważniejsze informacje bieżące, a większość treści skoncentrowana jest na rozrywce, sporcie i czasie wolnym.

„Gazeta Wyborcza" ma swój własny serwis – Wyborcza.pl, który działa w modelu płatnym i jest cyfrową emanacją dziennika. To tutaj publikowane są artykuły dziennikarzy „Gazety Wyborczej", które można znaleźć także w wersji papierowej dziennika.

Dlatego też wnioski oparte na analizie treści serwisu Gazeta.pl mogą nie mieć nic wspólnego z wnioskami, które bazowałyby na treściach stworzonych przez dziennikarzy „Gazety Wyborczej", które są publikowane w serwisie Wyborcza.pl.

Z poważaniem
Nina Graboś
dyrektor ds. komunikacji korporacyjnej Agora SA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Ault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Jarosław Sosiński/W. CEJROWSKI LTD.**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl;
tel. + 48 692 46 40 80
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 102 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 6ed2495ad6

Gronkiewicz-Waltz bez kary, ale przed komisją ma stawać

Prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz nie poniesie finansowych konsekwencji tego, że ani razu nie stawiła się na wezwania Komisji ds. reprywatyzacji, by zeznawać w tej sprawie. Wojewódzki sąd administracyjny uznał bowiem, że grzywną nie może zostać ukarana osobiście ani jako prezydent miasta, bo stroną jest samo miasto stołeczne Warszawa.

Gronkiewicz-Waltz była wzywana przez komisję reprywatyzacyjną w sumie już sześć razy. Nie stawiła się nigdy. Komisja zaczęła więc nakładać na prezydent stolicy grzywnę w wysokości 3 tys. zł za każde uniknięcie przesłuchania. W sumie uzbierało się więc 18 tys. zł kar. We wrześniu urząd skarbowy zajął na prywatnym koncie prezydent stolicy ponad 12 tys. zł na poczet grzywien wraz z odsetkami. Przewodniczący komisji reprywatyzacyjnej – Patryk Jaki – mówił wówczas mediom, że to dowód na skuteczność działań komisji.

Okazało się jednak, że komisja nie miała prawa karać prezydent Warszawy. Wojewódzki sąd administracyjny rozpatrzył sprawę dotyczącą pierwszej z nałożonych na nią grzywien. WSA uznał, że w ustawie z 9 marca 2017 r. o szczególnych zasadach usuwania skutków prawnych decyzji reprywatyzacyjnych dotyczących nieruchomości warszawskich, wydanych z naruszeniem prawa, nie ma przepisu, który pozwoliłby karać grzywną organ reprezentujący stronę lub piastuna tego organu. Czyli – brak przepisów, na podstawie których karą można by obciążyć prezydenta Warszawy lub Hannę Gronkiewicz-Waltz osobiście, bo stroną może być wyłącznie samo miasto stołeczne Warszawa.

WSA stwierdził jednocześnie, że komisja reprywatyzacyjna może wzywać na przesłuchania Hannę Gronkiewicz-Waltz. Jej skargę w tej kwestii uznał za niezasadną. Wojewódzki sąd administracyjny zauważył, że o tym, czy należy dopuścić dowód w sprawie zeznań świadka, decyduje komisja i ktoś, kto zostaje wezwany na świadka tej decyzji nie może kwestionować.

Członek komisji reprywatyzacyjnej Sebastian Kaleta zapowiedział, że skoro kary za niestawianie się na przesłuchania obciążać będą mieszkańców stolicy, to złożone zostanie zawiadomienie do prokuratury o możliwości wyrządzenia przez Gronkiewicz-Waltz szkody w majątku miasta. ©℗

Łukasz Zboralski

„LUTER" I 500 LAT REFORMACJI

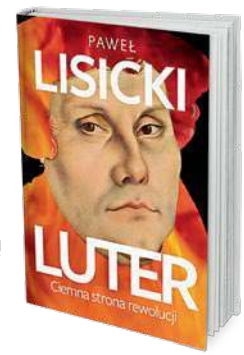

W tym tygodniu, gdy mija dokładnie pół tysiąca lat od słynnego wystąpienia Marcina Lutra. W portalu DoRzeczy.pl dwaj dziennikarze pochylają się nad postacią protestanckiego duchownego i oceną jego działań przedstawioną w najnowszej książce redaktora naczelnego „Do Rzeczy" Pawła Lisickiego „Luter. Ciemna strona rewolucji".

– Niemiecki reformator jest dla ewangelików jedynie nic nieznaczącym narzędziem, którym w określonej sytuacji politycznej posłużył się Duch Święty, by przypomnieć o fundamentach Kościoła, które albo zostały zapomniane, albo odeszły na dalszy plan – pisze Damian Diaz, zadeklarowany ewangelik, na co dzień dziennikarz „Wiadomości" Telewizji Polskiej.

Inaczej sprawę ocenia Jacek Ożóg. – Reformacja to jedno z najsmutniejszych wydarzeń w dziejach świata. Spustoszenie duchowe będące jej skutkiem jest nie do oszacowania – zauważa redaktor naczelny portalu Lux24.pl.

Co wniosła reformacja? Czy krytyka ówczesnego Kościoła wciąż jest aktualna? Jak dzisiaj luteranizm wpływa na Kościół katolicki i pontyfikat papieża Franciszka? Czy udało się to opisać Pawłowi Lisickiemu? ©℗

Odpowiedzi na te pytania i cały dwugłos Jacka Ożoga i Damiana Diaza na DoRzeczy.pl/Luter. Zapraszamy do komentowania!

POLSKA PRZEGRAŁA BATALIĘ O PRACOWNIKÓW DELEGOWANYCH

Pomimo sprzeciwu Polski Rada Unii Europejskiej oraz Parlament Europejski przyjęły w zeszłym tygodniu stanowisko w sprawie zmian w dyrektywie o pracownikach delegowanych.

Rada UE uzgodniła, że okres delegowania będzie wynosił 12 miesięcy, z możliwością przedłużenia w określonych przypadkach o sześć miesięcy. Z kolei europosłowie chcą, żeby okres delegowania wynosił do 24 miesięcy. Według propozycji Parlamentu Europejskiego po wygaśnięciu tego okresu do delegowanego pracownika będą miały zastosowanie wszystkie przepisy kraju przyjmującego, włącznie z koniecznością płacenia składek na ubezpieczenie społeczne, stosowania obowiązującej w danym regionie płacy minimalnej, 13. pensji etc. Taki zapis byłby niekorzystny dla wielu naszych firm. Znacząco podniósłby bowiem koszty pracy, a przez to zmniejszył konkurencyjność polskich przedsiębiorstw.

Polskich przedstawicieli czekają trudne dalsze negocjacje – z naszego kraju pochodzi bowiem najwięcej pracowników delegowanych w całej Unii Europejskiej. Ich liczbę szacuje się na niemal pół miliona. Przyjęcie nowego prawa forsuje m.in. francuski prezydent Emmanuel Macron, który ma poparcie m.in. Niemiec. Władze w Warszawie walczą więc o jak najdłuższy czas delegowania, a także o to, aby nowe przepisy nie miały zastosowania do transportu międzynarodowego.

(jap) ©℗

eprasa.pl 6ed2495ad6

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

We mgle

Wygrana Sebastiana Kurza w Austrii i Andreja Babiša w Czechach to potwierdzenie procesu, który przypomina to, co działo się w Europie sto lat temu. Dawny ład się rozpadał, a w jego miejsce wchodziły partykularyzmy narodowe. Teraz też jesteśmy świadkami wyborczych efektów sprzeciwu społeczeństw środkowej Europy wobec lewicowego eksperymentu zgody na migrację setek tysięcy ludzi z Afryki i Azji.

Reakcją obywateli strefy „posthabsburskiej" jest wybór partii, które mówią „nie" takim eksperymentom. Równie silnie odrzucana jest lewicowa wizja Stanów Zjednoczonych Europy wysnuta przez Guya Verhofstadta – liberalnego fanatyka z Belgii.

Problem w tym, że w to miejsce jak na razie nie wchodzi żadna inna szersza ambitna idea łącząca kraje środkowej Europy.

„Tożsamościowi" kontestatorzy przeciw wszechwładzy Brukseli potrafią się skutecznie porozumieć tylko w sprawie imigracji. W każdej innej bywają już podzieleni. Polska i Węgry łączą zasadę podmiotowości z hasłem kontrrewolucji konserwatywnej. Biznesmen Andrej Babiš i słowacki lewicowiec Robert Fico to cyniczni pragmatycy skłonni do zmiany frontów, o ile ktoś naprawdę dobrze zapłaci.

Sebastian Kurz, lider austriackiej chadecji, to na razie zagadka. Wszystko wskazuje na to, że utworzy koalicję konserwatywną z wolnościowcami, ale może to mieć niedobre dla nas konsekwencje. Kurz może chcieć zapłacić za wolną rękę wewnątrz Austrii dogadywaniem się z Paryżem i Berlinem kosztem reszty państw V4.

W tle jest jeszcze Rosja, która umie takie różnice interesów dobrze rozgrywać na swój użytek. Na dodatek nikt oprócz Polski spośród państw „posthabsburskich" nie uważa imperium Putina za specjalnie duże zagrożenie militarne. Nie zapominajmy wreszcie, że nowy austriacki kanclerz sam ma ambicje, by zostać liderem Grupy Wyszehradzkiej, co – jak można się obawiać – będzie działo się kosztem pozycji Polski. W tak podzielonej grupie trudno będzie prowadzić konsekwentną politykę budowania więzi komunikacyjnych Trójmorza. Ten brutalny fakt jest teraz z lubością wytykany przez polskich wrogów idei wyszehradzkiej.

Ich retoryka jest prosta – polskie rojenia o współpracy V4 to kolejna fanfaronada. Poczwarka znad Wisły znów uroiła sobie, że jest pięknym motylem. Problem w tym, że szydercy z obozu III RP sami należą do świata, który dawno przeminął. Świata stabilnej Unii ze ścieżkami awansu dla grzecznych uczniów brukselskiej szkółki, takich jak Donald Tusk i Janusz Lewandowski. Tego świata już nie ma.

I w tej politycznej mgle musimy cierpliwie szukać sojuszników, z góry zakładając, że wszelkie sojusze w stylu Wyszehradu będą celem ataków Berlina i Paryża. Brzmi mało porywająco? Tak, ale taka jest dziś rzeczywistość Europy. Nikt nie jest tu mądry. Portugalia i Hiszpania zapłacą tak samo wysoką cenę jak my za skrócenie czasu pracy pracowników delegowanych po to, by Macron mógł spełnić swoje populistyczne obietnice wyborcze.

Na razie obserwujemy, czy Sebastian Kurz potrafi patrzeć poza czubek austriackiego nosa, czy błyśnie większą wyobraźnią polityczną. I bądźmy ostrożni, ale i pełni inwencji. ©℗

FOT. GETTY IMAGES

KTO ZABIŁ J.F.K.? TRUMP UJAWNIA CZĘŚĆ AKT

John F. Kennedy, jeden z najbardziej popularnych prezydentów w USA, zginął 22 listopada 1963 r., Kule dosięgły go w Dallas. Oficjalnie za zabójstwem Johna F. Kennedy'ego stał Lee Harvey Oswald, komunista i były wojskowy. Ta wersja do dziś nie podoba się wielu Amerykanom. Donald Trump ujawnił więc ponad tysiąc z niemal 4 tys. dokumentów. O nieodtajnianie pozostałych zaapelowały FBI i CIA. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 6ed2495ad6

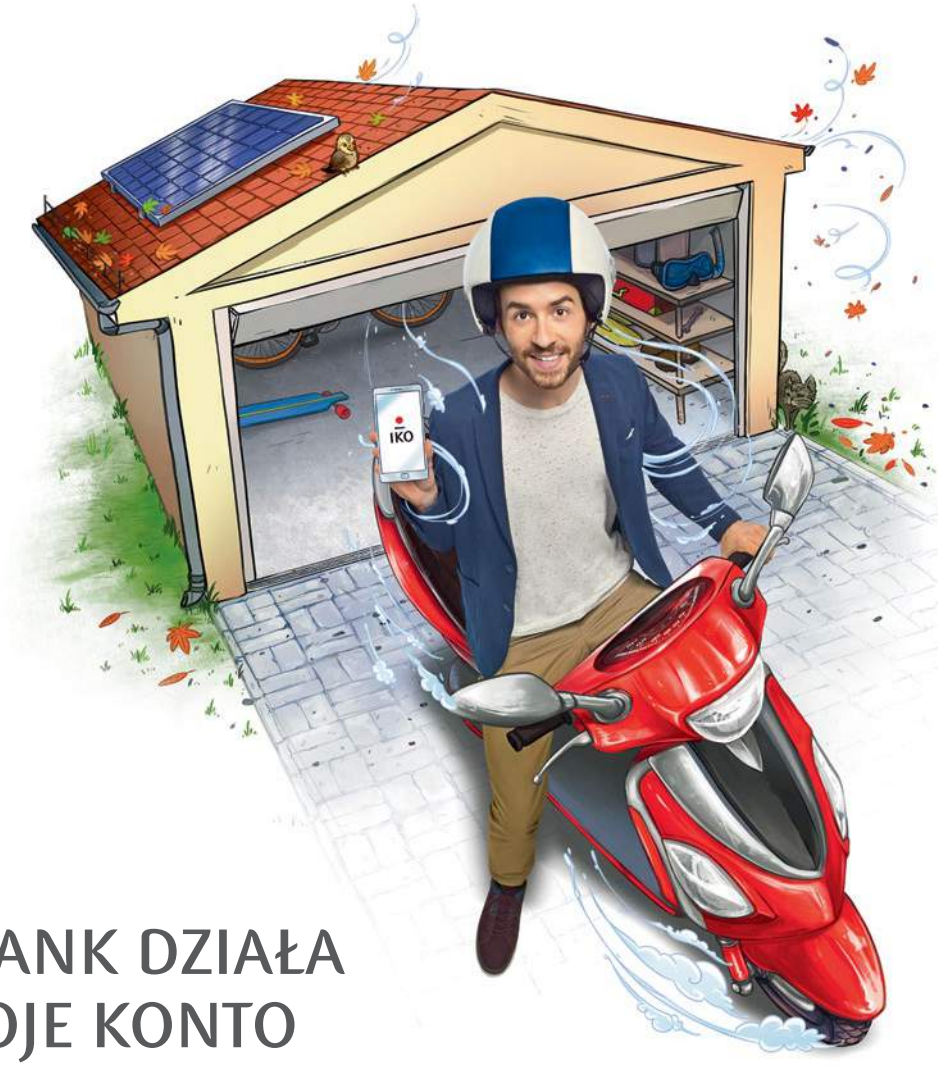

MÓJ BANK DZIAŁA NA MOJE KONTO

PKO KONTO FIRMOWE

Cieszymy się, że zdecydowałeś się działać na własny rachunek.
Od tej pory jesteś przedsiebiorcą, a my dla Ciebie partnerem biznesowym.

Specjalnie dla Ciebie stworzyliśmy PKO Konto Firmowe,
aby pomóc Ci w zarządzaniu finansami Twojej firmy.
Wierzymy, że nasze konto ułatwi Twój debiut w świecie biznesu.

- **0 zł** za prowadzenie konta*
- **0 zł** za pierwszych 30 zwykłych krajowych przelewów internetowych w miesiącu
- **0 zł** za wpłaty we wpłatomatach**

Bank Polski
dzień dobry

The Banker Bank of the Year 2016 POLAND

PKO Bank Polski bankiem numer jeden w Polsce
w prestiżowym konkursie „Bank of the Year 2016"

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora
+48 81 535 66 60 opłata zgodna z taryfą operatora

*Warunek aktywności – realizacja w danym miesiącu co najmniej jednego przelewu internetowego do ZUS i dokonanie operacji bezgotówkowych kartą debetową na kwotę min. 500 zł, w przeciwnym razie opłata za prowadzenie konta wyniesie 25 zł miesięcznie.
**Za wpłaty we wpłatomatach PKO Banku Polskiego (do 50 000 zł miesięcznie).

Szczegółowe informacje o produkcie oraz Taryfa prowizji i opłat bankowych są dostępne w oddziałach PKO Banku Polskiego oraz na stronie www.pkobp.pl.

eprasa.pl 6ed2495ad6

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Prawa niewiary

Świętej pamięci Janusz A. Zajdel proponował, by rozróżniać ateistów od antyteistów. Ateista to człowiek, który nie wierzy w Boga, w związku z czym nie uczestniczy w praktykach religijnych, teologicznych sporach etc. Antyteista natomiast to człowiek, który za punkt honoru wziął sobie robienie Bogu na złość i, jak pisze Zajdel, w Wielki Piątek musi napchać się mięsem, nawet jeśli lekarz ostrzegł go, że będzie potem chorować.

Łamię prawa seksualne kobiety, gdy ją namawiam czy gdy jej odmawiam?

Zgodnie z tym rozróżnieniem zorganizowany w ubiegłym tygodniu w Warszawie Kongres Świeckości należy uznać za przedsięwzięcie antyteistów. Ludzi, którym bynajmniej nie wystarcza to, że nie wierzą w Boga, ludzi, którzy chcą, by ateizm stał się ponownie, tak jak w czasach PRL, wyznaniem panującym. Zebrani ogłosili „manifest świeckości", w którym żądają zerwania konkordatu, usunięcia religii ze szkół, odebrania państwowych dotacji organizacjom „wyznaniowym" i przyznania państwowych dotacji „organizacjom pozarządowym działającym na rzecz praw człowieka, ochrony praw kobiet i ofiar przemocy".

Czy zresztą można się było spodziewać czegokolwiek innego, widząc na sali panią Senyszyn, płk. Mazgułę albo weterana wszystkich możliwych marszów przeciwko PiS, popularnego w Internecie pod pseudonimem Kudłaty – nie wspominając już o licznych działaczkach feministycznych? I tak dziwne, że w manifeście nie było nic o PiS. Znalazło się w nim natomiast żądanie dość tajemnicze: „Surowego karania łamania praw kobiet, w tym praw seksualnych i reprodukcyjnych".

Konia z rzędem temu, kto wyjaśni, jakie są „prawa seksualne i reprodukcyjne kobiety". Czy chodzi, mówiąc mądrze, o „wolność do" czy o „wolność od", czyli czy łamię prawa seksualne kobiety, gdy ją namawiam, czy gdy jej odmawiam? Mniejsza o to, ale co owe „prawa" mają wspólnego ze świeckością, jakkolwiek ją, ateistycznie czy antyteistycznie, pojmować?

Warto zapamiętać to kuriozum jako dowód, że tak jak ogół Polaków wywodzi prawa z Dekalogu, a więc z wiary w Boga, tak antyteiści swoje postulowane „prawa" próbują wywieść ze swojej wiary, wiary w to, że Boga nie ma. Tylko jeśli wierzą, że go nie ma, to dlaczego poświęcają tyle sił, by zrobić nieistniejącemu na złość? ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Jawność z furtką

Porównania do ORMO czy sowieckich donosicieli to w zasadzie jedyna reakcja polityków totalnej opozycji na rządowy projekt ustawy o jawności życia publicznego wprowadzający m.in. osłonę prawną – jaka funkcjonuje w krajach z rozwiniętą polityką antykorupcyjną – dla „sygnalistów", czyli ludzi, którzy wiedzą o nieprawidłowościach i decydują się powiadomić o nich organy ścigania. Boleśnie pokazuje to, jak bardzo opozycja wciąż swoje funkcjonowanie na scenie politycznej sprowadza wyłącznie do roli błaznujących chłopaczków w krótkich spodenkach. Szkoda, bo ustawa o jawności życia publicznego zasługuje na poważną debatę.

Plusy? Sporo. Wykaz prac legislacyjnych będą musiały przedstawiać organy nie tylko państwowe, lecz także samorządowe, a każda osoba, która bierze udział w takich pracach, reprezentując jednocześnie organizację społeczną, będzie zobligowana do ujawnienia, kto finansuje jej działalność. Wreszcie – projekt powiększa zbiór osób zobowiązanych do składania oświadczeń majątkowych i wprowadza jawny rejestr umów cywilnoprawnych zawieranych przez spółki i instytucje publiczne.

Niestety jest kilka zapisów pozwalających urzędnikom na ucieczkę z odpowiedzią na niewygodne pytania – m.in. możliwość odmowy udzielenia informacji pod pretekstem, że jej zakres utrudni działanie danej instytucji, oraz możliwość nieudzielania informacji pod pretekstem enigmatycznego „zagrażania interesom spółki".

Projekt Kamińskiego i Wąsika to krok w dobrą stronę. Jednak warto go dopracować, by furtki w przepisach nie spowodowały, że jawność życia publicznego w Polsce zniknie, zanim się zacznie. ©℗

eprasa.pl 6ed2495ad6

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Lękam się Danaów...

Jawność, podobnie jak osobista wolność obywateli, nie była nigdy oczkiem w głowie PiS. Jeżeli dla kogoś te wartości są istotne, to mógł się ucieszyć, gdy ministrowie Kamiński i Wąsik ogłosili projekt ustawy o jawności życia publicznego, łączącej w sobie różne zagadnienia, dotychczas rozproszone w kilku aktach, oraz wprowadzającej niektóre nowe rozwiązania.

I tu dochodzimy do tego, jaką postawę przyjmujemy wobec władzy – jakiejkolwiek. Są tacy, którzy z zasady danej władzy ufają, bo jest „ich". A są też wieczni malkontenci – do których i ja się zaliczam – którzy nie ufają żadnej władzy i gdy ta robi coś nawet po ich myśli, przypominają sobie natychmiast sentencję: „Timeo Danaos et dona ferentes".

Od którego momentu zaczyna się „znaczące" utrudnienie, a do kiedy jest to tylko utrudnienie zwykłe?

Owszem, wiele uregulowań, zawartych w już publicznym projekcie ustawy, ma sens. Jednak trafiając na art. 21 pkt 2 projektu wyczulony sceptyk łapie się za głowę. Zawarty tam zapis brzmi: „W przypadku gdy wnioskodawca w sposób uporczywy składa wnioski, o których mowa w art. 16 ust. 1 [chodzi tu o wnioski o informację, która nie jest dostępna w Biuletynie Informacji Publicznej – przyp. Ł.W.], których realizacja ze względu na ilość lub zakres udostępnianej informacji znacząco utrudniłaby działalność podmiotu obowiązanego do udzielenia informacji publicznej, podmiot ten może odmówić udostępnienia informacji publicznej".

Na czym polega „uporczywe składanie wniosków"? Czy „uporczywość" zaczyna się od dwóch wniosków o to samo, czy może od trzech lub pięciu? Jaki zakres informacji może znacząco utrudnić działalność podmiotu? I od którego momentu zaczyna się „znaczące" utrudnienie, a do kiedy jest to tylko utrudnienie zwykłe? Oczywiście nie wiadomo. A jeśli nie wiadomo, to znaczy, że mamy do czynienia z wytrychami prawnymi, które w praktyce mogą umożliwić każdej instytucji zatajenie dowolnej informacji, niedostępnej w BIP. Wystarczy, że odpowiedź na pierwszy wniosek będzie wymijająca, więc wnioskodawca złoży kolejny. To już może być zakwalifikowane jako „uporczywość". Poziom utrudniania działalności zaś każda instytucja zdefiniuje sobie sama.

Nie przesądzam, czy to wpadka projektodawców, czy taka była ich intencja. Wiem, że czystość intencji udowodnią, zmieniając pod wpływem krytyki ten zapis. ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA POWYŻEJ 49,00 ZŁ

PREZENT

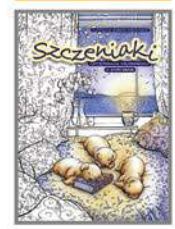

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 5 listopada 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 25,90 zł

2.
~~469,00 zł~~ 275,00 zł

3. 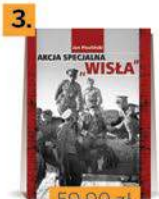

~~59,90 zł~~ 41,50 zł

4.

~~39,90 zł~~ 25,50 zł

5.

~~39,90 zł~~ 22,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 6ed2495ad6

FOT. PAWEŁ GRUNADA

CUD NIESTETY ODKRYTY

Kate Rozz, czyli Katarzyna Gwizdała, po swoim głośnym rozstaniu z aktorem Piotrem Adamczykiem zniknęła gdzieś z show-biznesu. A teraz postanowiła o sobie przypomnieć wywiadem w jednym z magazynów. Opowiada, a jakże, o swoim związku z Adamczykiem. No bo o czym innym może w sumie mówić? – Każdy aktor, i nie mówię tego w negatywnym znaczeniu, jest egoistą, osobą skupioną na sobie, bo ten zawód tego wymaga, jeśli oddajesz mu się w całości – mówi Gwizdała vel Rozz. – A Piotr jest jednym z największych szanowanych polskich aktorów. Mieliśmy burzliwy związek, to prawda. Ale to była też szalona miłość. Po francusku mówi się „un coup de foudre", uderzenie pioruna. Gdy taka miłość walnie w człowieka, racjonalne myślenie znika. Jest cudownie. Czujesz się, jakbyś znów miał 18 lat. Ale nie mieliśmy. Miałam więcej, rozwód za sobą i dzieci. Było mi trudno z tym, że ja i moje dziecko jesteśmy na drugim planie. Najpierw była miłość jak z kina, potem brazylijski serial i głośne rozstanie. Moja bliska przyjaciółka powiedziała coś bardzo trafnego: „Ty nie jesteś problemem do naprawienia, tylko cudem do odkrycia" – relacjonuje. A nie mogłaby pozostać cudem nieodkrytym? Tak tylko pytamy.

AKTORKĄ BYĆ!

FOT. BALAWA PICS/EAST NEWS

Modelka Anja Rubik postanowiła spróbować swoich sił w aktorstwie. Ma jednak pewne obawy z tym związane i podobno bardzo przejmuje się rolą, którą dostała w filmie Borysa Lankosza. Najbardziej obawia się o swoją polszczyznę. Modelka mieszkająca w USA ma bowiem na tym tle pewien kompleks.
– Wynajęła nauczycieli w Nowym Jorku, którzy pracują nad jej dykcją, uczy się też pracy przed kamerą i budowania postaci – ujawnił w „Fakcie" znajomy Rubik. Podobno Anja poprosiła też o pomoc aktorkę Magdalenę Cielecką, z którą ma razem grać w filmie Lankosza. – Rubik przed rozpoczęciem zdjęć wynajęła sztab nauczycieli, rozmawiała też z Magdą, która również będzie grała w tym filmie. Chce, by jej pomagała i doradzała. Ona zawsze podziwiała Magdę i była pod wrażeniem jej talentu aktorskiego. Teraz cieszy się, że będą razem pracowały – relacjonuje osoba z produkcji filmu. Czekamy z niecierpliwością, aż Anja odkryje w sobie pasję do śpiewu. Taka jest bowiem kolej rzeczy. Modelka-aktorka-piosenkarka. Czyli celebrytka.

DODA DEMOLKA

Spójrzcie na przykład na Dodę. Piosenkarka już jakiś czas temu weszła w etap odkrywania talentów aktorskich. Zaczęła od występu w teatrze Tomasza Karolaka, a teraz szykuje się do roli w najnowszym „Pitbullu". Będzie grała królową mafii u boku aktora Marcina Dorocińskiego. Temu ostatniemu zależy na tym, by oboje dobrze wypadli, i w związku z tym ma pewne obawy co do amatorszczyzny Dody. Postanowił więc dać jej kilka złotych rad. – Jest sporo scen, w których Dorota musi być władcza i wściekła. Marcin doradza jej, jak wykrzesać z siebie na zawołanie złość. Ostatnio wpadł na niecodzienny pomysł i zagonił ją do ćwiczeń – mówi osoba z produkcji filmu. Doda potwierdza te informacje. – Marcin dawał mi na planie różne wskazówki – mówi w „Fakcie". – Niedawno na przykład powiedział mi, żebym zrobiła przed sceną dziesięć pompek. Stwierdził, że pomoże mi to w zdenerwowaniu się. Ale ja mu powiedziałam, że to nie będzie konieczne, bo mi wystarczy, że wyobrażę sobie jedną osobę – dodała. Wiadomo, że ma na myśli byłego narzeczonego. Biorąc pod uwagę ich burzliwy romans z sądem i procesami w tle oraz temperament Dody, lepiej może, żeby tej złości z siebie nie wyrzucała na planie filmu. Szkoda scenografii!

O JEDEN MOST ZA DALEKO

Tymczasem polscy celebryci po raz kolejny postanowili się zaangażować w politykę. Oczywiście ci sami. Maciej Stuhr, Anja Rubik, Magdalena Cielecka, Monika Brodka postanowili zająć się edukacją seksualną w szkołach. Oczywiście na złość PiS, który jest winny wszelkiemu złu na świecie. Po obronie demokracji, trybunału, sądów, sędziów, medyków przyszła więc kolej na następny krok.
– Z powodu klimatu, który obecnie panuje w Polsce, brak edukacji seksualnej oraz konsekwentnie realizowany plan rządu, by ograniczyć dostęp do antykoncepcji, zdecydowałam się stworzyć kampanię edukacyjną, na którą będą się składać 60-sekundowe filmiki, których tematem będzie edukacja seksualna – opowiada modelko-aktorka Rubik.
– Wybrałam grupę powszechnie znanych w Polsce osób, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, wywodzących się ze świata sztuki, muzyki, filmu oraz mody z prośbą o wzięcie udziału w projekcie i szerzeniu wiedzy na temat edukacji seksualnej – tłumaczy. W ramach listy lekcji, których mają udzielać celebryci, znalazły się m.in. kwestia masturbacji, pierwszego razu i antykoncepcji. Każdy z celebrytów ma w ramach takiej lekcji opowiedzieć swoją historię. Myśleliśmy, że o takim Stuhrze czy innej Cieleckiej wiemy już wszystko. Obawiamy się jednak, że najgorsze dopiero przed nami. Uważajcie na siebie! ©℗

eprasa.pl 6ed2495ad6

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, definitywnie chyba musimy pożegnać się z naszym zaprzyjaźnionym heterosceptycznym Jesieniem, który witał się z nami co roku o tej porze kubkiem dyniowego latte, z którym można było omówić twórczość Szczepana Twardocha, wyskoczyć na sushi, wymienić się szaliczkami i otagować na insta.

Zamiast tego przyszedł do nas w tym roku ponury Jesień tego kraju. Mroczna i nieprzysiadalna postać, która w jednej ręce trzyma kieliszek wódki, w drugiej w połowie wypalonego papierosa bez filtra, smętnie obserwuje dziewczęta siedzące na drugim końcu sali, nie korzysta z mediów społecznościowych i nigdy w życiu nie jadła innej ryby niż śledź solony prosto z beczki.

To w sumie i tak lepiej, niż gdyby antropomorficzną personifikacją jesieni w tym kraju miała być bujna Pani Jesień – wytwór fantazji spoconych, wąsatych januszów, którzy grzebiąc w ziemi za kartoflami, pocieszali się, iż Jesień jest obiecująco heteronormatywna i niesie im różnego rodzaju dary w podzięce za ich trud. Trudno powiedzieć, która wersja jest mniej europejska, ale nie zdziwimy się, jeśli zobaczymy kiedyś je obie, iż nieszczęścia przecież lubią chodzić parami.

Słyszeliście, iż polskie wilki terroryzują Europę? Otósh podobno większość obecnie żyjących wilków we Francji i w Niemczech to potomkowie osobowilków, które przed laty uciekły na fali emigracji z tego kraju. Ich potomkowie nie chcą się zasymilować i napadają na francuskie oraz niemieckie osoboowce.

W tej sytuacji możemy tylko przeprosić za polskie wilki nienawiści. Jednocześnie nie możemy nie zauważyć gorzkiej prawdy o tym kraju w Europie: sami wysyłamy nasze osobowilki na Zachód, ale nie chcemy przyjmować żadnych uchodźczyń i uchodźców.

Zwróćcie zresztą uwagę na zoologiczną ekspansję tego kraju na Zachód. Nie tak dawno granicę niemiecką przekroczył bez uprawnień osobożubr, wcześniej osobowilki. Dobrze, że Europa ma świadomość problemu, mamy nadzieję, iż uszczelni granicę, iżby nie rozpanoszyły się po niej całkowicie polskie osoby animalne.

Jesteście gotowi do świeckowania Halloween? My już od kilku dni prowadzimy intensywne przygotowania i szyjemy sobie organiczne fairtrade'owe kostiumy, iżby wziąć udział w najbardziej europejskim z tzw. świąt, które my jednak odzieramy z transcendencji, koncentrując się na pomysłowych strojach i psikusach.

W tym roku nie wybieramy się jednak na Podkarpacie przebrani za konwencję antyprzemocową, iż nie mamy ochoty na konfrontację z kablami od żelazek, a zwłaszcza od końcówek z żelazkiem. Postanowiliśmy więc postraszyć trochę rząd, mówiąc: „»500+« albo psikus", co jest trollingiem xD, ponieważ nie dostaniemy i tak „500+", a psikusa i tak zrobimy.

W psikusowych planach mamy więc obronę konstytucji, pisanie listów informacyjnych o sytuacji w tym kraju do Brukseli i głosowanie na PSL xD. Już nie możemy się doczekać, jaka świetna zabawa nas czeka!!!

Zmartwiła nas bardzo wiadomość, iż w Australii zatriumfował fashysm i wybory wygrał jakiś młody wykształcony, ale z mentalnego Tyrolu, czy jak się tam nazywa australijskie podkarpacie.

Wygląda więc na to, iż w regionie powstaje nowa oś: Polska–Węgry–Australia, która staje się oczywistym zagrożeniem dla Europy.

Słyszycie za oknami stukot podkutych buciorów? To właśnie trwa pochód fashysmu. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 6ed2495ad6

dwaj panowie g

Niektórzy się dziwią, że prezydent Andrzej Sebastian przełożył kolejne spotkanie z Naczelnikiem Państwa, znanym też jako Kaczor Dyktator. A my nie. Bo przy okazji tych spotkań mowa jest nie tylko o sądach, lecz także o rozmaitych ministrach. Po co więc rozmawiać teraz, skoro nie wiadomo chwilowo, o których ministrach?

Apropos rekonstrukcji. Krążą wokół niej pyszne plotki. O tym, że Mario Błaszczak miałby zabrać Ance Streżyńskiej cyfryzację, już słyszeliście. Ale znamy lepszą. Otóż rekonstrukcja ma być częścią uspokojenia relacji prezydencko-rządowych. Cyfryzację miałby dostać hetman koronny Antoni w nagrodę za to, że przestanie się czepiać Andrzeja Sebastiana. A szefem MSZ zostanie ktoś nieznaczący, bo całą dyplomację będzie prowadził Krzysiek Szczerski, lecz nadal jako minister prezydencki. To także ucieszyłoby Andrzeja Sebastiana.

Smaczek rządowy. Na posiedzeniu rządu wicepremier Gliński referuje jakąś sprawę w imieniu resortu kultury i dodaje, że potrzebne będą jeszcze uzgodnienia z MSZ. Na to odzywa się Waszczu, znany jako Srebrny Lis Dyplomacji, i mówi: „Ja mogę zapewnić, że nie będzie przeszkód ze strony ministra sprawiedliwości". Zizou Ziobro patrzy dziwnie, a na to premier Bełata do Waszcza: „Panie ministrze, chyba za bardzo uwierzył pan w głęboką rekonstrukcję rządu".

Jest śmiesznie. Dzień po tym, jak przekaziory zaczęły się ekscytować plotą, że premier Bełata ma zostać zrekonstruowana ze stanowiska, CBOS opublikował sondaż, z którego wynika, że jako szefowa rządu cieszy się największym poparciem od początku kadencji. No i problem. Jak to pisał Zbigniew Herbert: „Zakopać cara ze złotym tronem – żal".

Wiecie, jak to jest. Trzeba z czegoś żyć. Po wyczerpaniu naszych notek z ostatnich miesięcy niektóre gazety zaczęły w poszukiwaniu inspiracji czytać także archiwalne numery „Do Rzeczy". Stąd sensacja „Faktu", że Bełata Kempa marzy o stanowisku ambasadora w Watykanie i mocno o nie zabiega. Pisaliśmy o tym latem roku 2016, dodając: „Każdy ma taką Suchocką, na jaką zasługuje". Nie zmieniliśmy tej opinii. Opinii o „Fakcie" zresztą też.

Skoro już o kwestiach religijnych – rząd jest ostatnio bardzo rozmodlony. Wszystko przez to, że wszyscy się modlą, żeby rekonstrukcja objęła pana Jana. Tak się bowiem składa, że spór nadszyszkownika z Brukselą o kornika drukarza staje się nieco zbyt kosztowny na arenie europejskiej.

Mamy dementi. Dobre wiewiórki z resortu sprawiedliwości twierdzą, że inne złe wiewiórki z tego samego resortu to świnie, bo oczerniły niesłusznie wiceministra Patryka Jakiego, sugerując, że przyglądał się tylko pisaniu dużej ustawy reprywatyzacyjnej. Dobre wiewiórki mówią, że Jaki maczał w niej paluchy, i to głęboko, a kto twierdzi inaczej, ten włącza się w kampanię antyjakową. Wierzymy, ale mamy smutną wiadomość dla Patryka o złych wiewiórkach – takich masz, chłopie, kumpli, i to wysoko w resorcie. Nieba by ci przychylili.

Tymczasem w opozycji. Przyłączamy się do poszukiwań nazwy dla wspólnej listy wyborczej. Podoba nam się propozycja ludu twitterowego, że skoro stworzą ją Petru i Schetyna, to nazwa powinna brzmieć PiS. Przypominamy jednak, że jest jeszcze jedna partia opozycyjna, mianowicie PSL. Zatem koalicję stworzą Petru, Schetyna i Kosiniak-Kamysz. Zatem właściwa wersja to PiSK.

Chcieliśmy napisać „Grzesiek się wściekł", ale nie możemy, bo ostatnio wściekłość u Scheta to stan permanentny. Wszystko przez Hankę z Warszawy, która ma już w nosie Peło i nie zamierza łagodzić sytuacji związanych z aferą reprywatyzacyjną. Wściekłość udziela się ludziom Scheta, ale na razie niewiele mogą. Najwyżej wypowiadać imię Hanki z taką samą nienawiścią jak kiedyś Gowina.

My w sprawie protestu lekarzy rezydentów – tematu numer jeden w mediach antkaczystowskich, które już po ośmiu latach rządów Peło i dwóch latach rządów PiS odkryły, że za mało się wydaje na służbę zdrowia.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 6ed2495ad6

Dziwi nas fakt, że wśród licznych komentatorów protestu brakuje ulubionego ostatnio autorytetu TVN24 – Lutka Dorna. Ten znawca tematu mógłby przecież błysnąć jakimś bon motem, równie dobrym jak jego dawny: „Pokaż, lekarzu, co masz w garażu”.

Wszystko, co się da, komentuje za to Włodek Cimoszewicz, król puszczy, dawniej premier. Niespecjalnie przejmujemy się jego komentarzami, bo nie ufamy ludziom o słabej głowie i żołądku. A tak się składa, że kiedyś śp. Joseph Oleksy barwnie nam opowiadał, jak Włodek zarzygał mu na imprezie łazienkę.

Ktoś postanowił zerknąć na profil fejsikowy i odkrył, że niedoszły ekscelencja polubił profil „Nie lubię PiS”

Wracamy do tematu „Facebook a dyplomacja”. Trzeba na niego uważać, bo bywa bronią masowej zagłady. Otóż pewien dyplomata starego chowu chciał pojechać do Manili, stolicy Filipin, w ambasadory. Miał kwalifikacje: zapewniał, że zawsze szczerze nienawidził Radka. Już prawie mu uwierzono, kiedy ktoś postanowił zerknąć na jego profil fejsikowy i odkrył, że niedoszły ekscelencja polubił profil „Nie lubię PiS”. Od tej pory pracownicy MSZ czyszczą swoje profile na potęgę. Ci, którzy nie skasowali ich całkowicie, zaczęli przynajmniej od dokładnego usunięcia z grona znajomych małżeństwa Schnepfów.

Rubryka towarzyska. Niedawno w tabloidach pewną sensację wywołało zdjęcie Haribo, bardziej znanego jako Bartłomiej Misiewicz, z jakąś celebrytką. Nam nie zaimponowało. Nasze wiewiórki przylookały Haribo w znacznie ciekawszych okolicznościach. Nie będziemy pisać dokładnie w jakich. Napiszemy jedynie, że ani mamusia, ani tym bardziej dziewczyna Haribo nie pochwaliłyby odwiedzania takich przybytków.

Rano w radiu na szyi miał krawat. W ciągu dnia – rozchełstany. Wieczorem w telewizji – owinął gardło pieluszką (tak nazywamy to dziwne krakowskie ustrojstwo znane jako fular). Poseł Marek Jakubiak zmiennym jest. ©℗

REKLAMA

business lease
same cars, better care

Mobilność dla Twoich pracowników
Proste rozwiązania
Minimum formalności
Wsparcie w likwidacji szkód

Rozwiązania flotowe dla firm

- Wynajem krótkoterminowy
- Wynajem długoterminowy
- Zarządzanie flotą

Skontaktuj się z nami:
T. +48 22 460 01 66 | info@businesslease.pl | www.businesslease.pl

eprasa.pl 6ed2495ad6

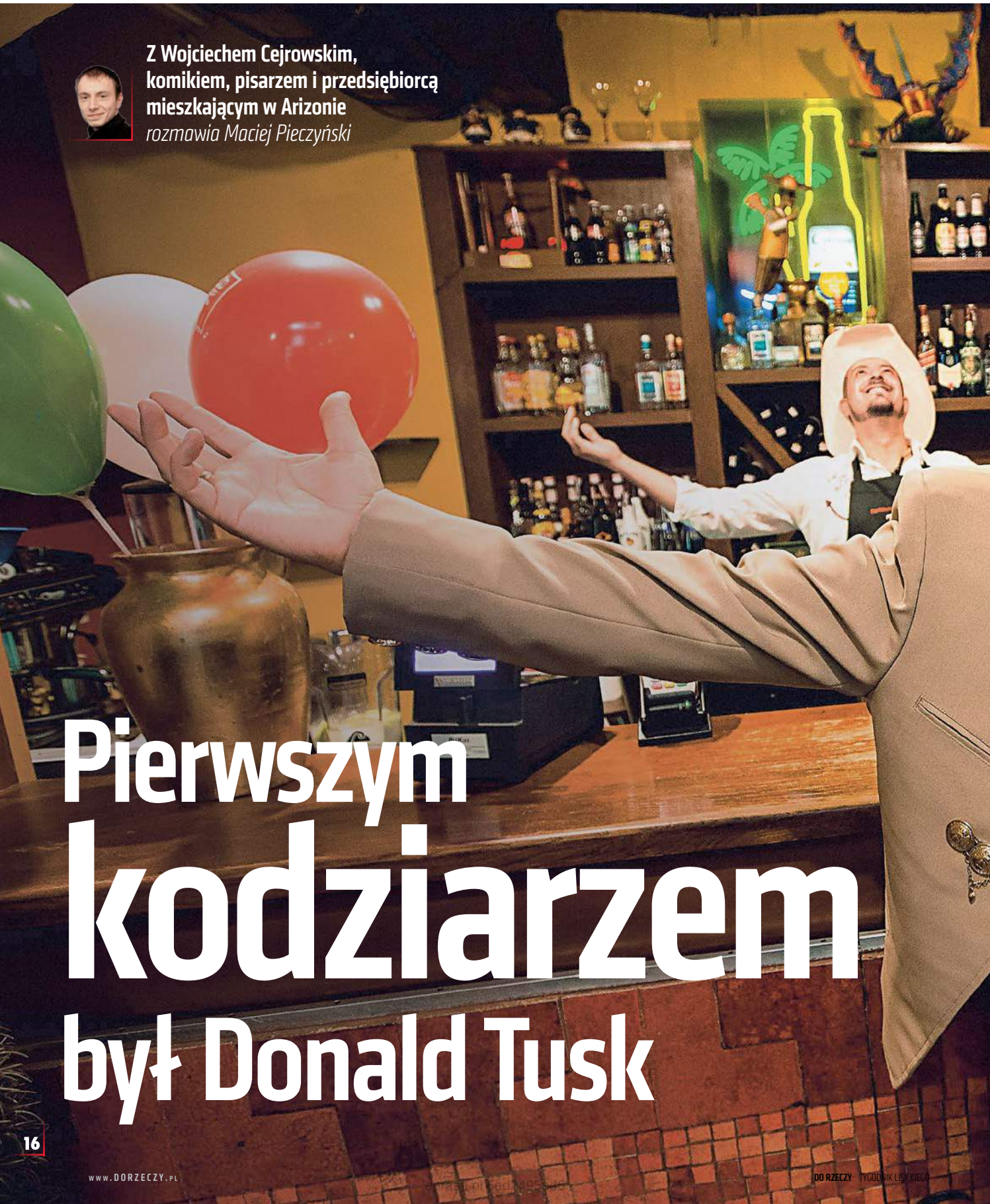

Z Wojciechem Cejrowskim, komikiem, pisarzem i przedsiębiorcą mieszkającym w Arizonie
rozmawia Maciej Pieczyński

Pierwszym kodziarzem był Donald Tusk

FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI/W. CEROWSKI LTD.

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jestem ze Szczecina. Nie mówię po niemiecku, a 1 listopada na szczecińskim cmentarzu odwiedzam polskie groby i pomniki. Zaskakuje to pana?

WOJCIECH CEJROWSKI: Wcale mnie to nie zaskakuje. Szczecin jest w polskich rękach od roku 1945, ponad 70 lat, czyli trzy pokolenia, a Niemcy uciekli lub zostali wysiedleni. Chodzi więc pan na polskie groby, ale pod tymi polskimi grobami są groby niemieckie. Praktyka na cmentarzach jest taka, że po jakimś czasie na grobie opuszczonym wolno postawić nowy. Przez minione 70 lat przykryliśmy więc tysiące niemieckich grobów tysiącami polskich, co nie zmienia faktu, że ten ogromny szczeciński cmentarz był przed wojną największym niemieckim cmentarzem na świecie i tam pod spodem leżą Niemcy.

Szczecin należał do Polski za czasów Mieszka I, Bolesława Krzywoustego, jeszcze w XVII w. szlachta pomorska nie znała niemieckiego. Sama nazwa „Szczecin" jest pochodzenia słowiańskiego, a „Stettin" to tylko jej zniemczona wersja. Mając tę wiedzę, dalej będzie pan nazywał Szczecin „niemieckim" miastem?

Staram się być uczciwy. Szczecin należał do Polski za Mieszka i Bolesława, ale to były epizody, i w dodatku dawno temu. Mieszko przyłącza na lat 50, wkrótce ziemie te odzyskują niezależność, Bolesław przyłącza ponownie na lat 60, ale w roku 1181 Szczecin staje się lennikiem cesarza i od tamtego czasu do roku 1945 Szczecin już polski nigdy nie jest. Ponad tysiąc lat dziejów i tylko te dwa epizody. Niemcy to miasto zbudowali, Sowieci je rozwalili, a Polakom dali gruzy do zasiedlenia. Od roku 1945, owszem, mieszkamy i zarządzamy Szczecinem, odbudowaliśmy miasto, rodzimy się w nim i umieramy. Od roku 1945 Szczecin jest polski, a dla wielu Polaków jest to ich miasto rodzinne, jedyne. Ale... historycznie jest to miasto niemieckie, podobnie jak Lwów jest polski, a nie ukraiński.

Mówił pan kiedyś o „niemieckich murach" miasta. Tymczasem historyczną wizytówką miasta jest Zamek Książąt Pomorskich ze słowiańskiego (a nie germańskiego) rodu Gryfitów, powiązanego z Jagiellonami...

Zamek Książąt, którzy mieli swoje niezależne państwo, 500 lat własnej historii i nigdy nie chcieli przyłączenia do Polski. Można być Słowianinem, nie będąc Polakiem: Słowacja, Czechy, Bałkany... Gryfici mieli niechęć do Polski, za to spore ciągoty w kierunku cesarstwa niemieckiego.

Faktem jest, że przed 1945 r. Szczecin był niemiecki. Jednak na jakiej podstawie można mówić, że jest niemiecki, skoro od 70 lat należy do Polski?

Na takiej samej jak w przypadku volkswagena, którym pan jeździ – to pański samochód, ale jednocześnie jest to samochód niemiecki. I ja też dokładnie w takim kontekście to powiedziałem, a teraz nagle zaczynam odbierać oskarżenia.

Czepia się pan JEDNEGO zdania z mojej rozmowy z niemiecką telewizją. Tej rozmowy, w której przez kwadrans domagałem się zwrotu zagrabionych Polsce dzieł sztuki i zapłacenia reparacji wojennych!!! Padło tam jedno zdanie o Szczecinie oraz setki zdań o reparacjach i zabytkach. To jedno zdanie padło w kontekście rozmowy o historii, o zabytkach. Zabytkowe kamienice w Szczecinie są niemieckie, prawda? Stanowią obecnie polską własność, ale jednocześnie są niemieckie, podobnie jak pański samochód.

Volkswagen, którym pan jeździ, to pański samochód, ale jednocześnie jest to samochód niemiecki. I ja też dokładnie w takim kontekście powiedziałem o Szczecinie, a teraz nagle zaczynam odbierać oskarżenia

Paweł Kukiz stwierdził, że w Polsce, na wzór amerykański, przydałaby się zrzeszająca ludzi o poglądach republikańskich partia, wspierająca prezydenta. Jak pan ocenia ten pomysł?

To nie jest pomysł, tylko stwierdzenie. W Ameryce mamy ustrój prezydencki i nie mamy premiera. Jeśli Kukiz chce zlikwidować urząd premiera RP, to popieram całym sercem. Jeśli chce wprowadzenia w PL ustroju prezydenckiego, to też popieram, przyłączę się i wtedy partia republikańska powstanie sama.

Andrzej Duda i Zbigniew Ziobro spierają się o kształt reformy sądownictwa. Co pan sam by zmienił w polskim wymiarze sprawiedliwości? „Wszyscy won!" – jak chce Ziobro, ponadpartyjne porozumienie w wyborze sędziów, jak proponuje Duda, czy więcej ławników i sędziowie pokoju, zgodnie z pomysłami Kukiza?

Ziobro wcale nie chce zastosować opcji „Wszyscy won!". Gdyby chciał, to już by ją zastosował.

Dudy z kolei nie rozumiem. Czemu wspiera ubeków, przestępców i morderców oraz ich synów i wnuków?! Jak można proponować porozumienie z działaczami zbrodniczego systemu; ze środowiskiem, które służyło sowieckiej władzy okupacyjnej na terenie zwanym PRL? Ja z tamtymi ludźmi porozumiewać się nie chcę.

Ponadto pan Duda został wybrany przez konkretną część Narodu i powinien pracować na rzecz tej konkretnej części, realizując obietnice, które jej złożył. Próba bycia prezydentem „wszystkich Polaków" to sprzeniewierzenie się kontraktowi wyborczemu. Duda ma służyć tym, którzy go wybrali, a nie wszystkim. Ma realizować obietnice złożone wobec swojego elektoratu, a nie oglądać się na interes ubeckiej mniejszości.

Kukiz zaś dobrze gada, jeśli chodzi o sędziów pokoju, a źle, gdy chodzi o ławników. Ława przysięgłych – tak, ławnicy – precz.

Reforma sądownictwa pokazała, że w obozie dobrej zmiany nie ma monolitu. Jednak, paradoksalnie, może to dobrze, bo jedyną konstruktywną opozycją okazali się prezydent Duda z Pawłem Kukizem, a „totalna" traci rację bytu? To dla PiS komfortowa sytuacja.

Nie interesuje mnie komfort PiS. Interesuje mnie, czy PiS wykonuje polecenia tych, którzy PiS wybrali. Niestety, nie wykonuje, bo... szuka komfortu. A ja bym chciał, żeby PiS realizował swoje obietnice nawet za cenę niewygody. PiS nam coś obiecał i teraz powinien wchodzić w konflikty, jeśli one doprowadzą do realizacji zobowiązań.

Pierwsza i najważniejsza jest sprawa aborcji. Obiecali obronę życia, ale jej nie wprowadzają, bo zakaz aborcji to dla PiS temat niekomfortowy. Trzeba było nie obiecywać, wtedy ja bym na was nie głosował i wszystko byłoby OK. Ale... skoro obiecaliście i ja moją połowę kontraktu

eprasa.pl 6ed2495ad6

zrealizowałem, to teraz chcę dostać od was to, co moje. Dopóki nie wprowadzimy instytucji odwołania posła za sprzeniewierzenie się obietnicom wyborczym, dopóty partie będą bezkarnie obiecywać, a potem olewać wyborców.

„Ziobryści" mówią, że Andrzej Duda przestraszył się protestów opozycji i pokazał słabość charakteru, ustępując przed przeciwnikiem. „Kukiści" natomiast – że udowodnił, iż jest prezydentem wszystkich Polaków i samodzielnym politykiem. A pan co sądzi o prezydenckim „wybiciu się na niepodległość"? Polityk o charyzmie i zdolnościach Dudy mógłby być głową państwa w systemie prezydenckim?

Pan Duda nie jest charyzmatyczny ani trochę! Jest miły, kulturalny i grzeczny, ale poza tym nijaki. Sądzę, że nie jest oportunistą, więc te jego beznadziejne próby dogadzania wszystkim wynikają chyba z tego, że stara się działać w dobrym tonie. Duda jest jak gospodarz na weselu córki, a Polsce potrzebny wykidajło. Bycie „politykiem samodzielnym" w sytuacji, gdy kampanię wyborczą prowadziło się pod szyldem PiS, jest nieetyczne, więc nie wiem, za co go chwalą „kukiści". Ja bym nie ufał komuś, kto w kampanii reprezentuje konkretną partię, ale po kampanii zaczyna reprezentować już tylko siebie.

Gdy w Polsce mowa o radykalnej lewicy, często jej postawę i poglądy tłumaczy się tym, że to – używam teraz pańskiego określenia – „komuchy, syny komuchów i wnuki komuchów". A jakich ludzi w Stanach przyciąga Antifa i dlaczego?

W US to też komuchy, syny komuchów i wnuki komuchów oraz uczniowie komuchów wychowywani w koledżach. Ameryka to kraj wolny, mowa nienawiści jest chroniona przez pierwszą poprawkę do konstytucji, wolność zrzeszania się i manifestowania jest pełna (czyli faszystom też wolno legalnie maszerować i zakładać stowarzyszenia typu Antifa), a ponadto w USA, w przeciwieństwie do Europy, wolno założyć każdą partię polityczną, w tym partię komunistyczną dążącą do obalenia przemocą własnego ustroju i państwa. I tak to działa. Faszyści z Antify biją zwolenników Trumpa pałami. Zwolennicy Trumpa na razie nie odpowiadają, licząc na to, że Antifa zostanie uznana za organizację terrorystyczną i wtedy zacznie być ścigana jako przestępca.

„Nagle do twojego miasta przyjeżdżają ludzie pełni nienawiści. Trzeba temu się przeciwstawić" – tak James Anderson, amerykański działacz lewicowy, tłumaczy potrzebę wzmożonej aktywności Antify podczas prezydentury Trumpa. Czy Antifa ma się czemu przeciwstawić?

Nie rozumiem pytania. W jakim sensie czy Antifa ma się czemu przeciwstawić? Wolno im się przeciwstawiać, ile tylko chcą i komu chcą.

W sierpniu w Charlottesville został zorganizowany wiec w proteście przeciwko usunięciu pomnika gen. Roberta E. Lee, dowódcy wojsk konfederacji. Polski czytelnik, który nie jest wybitnym znawcą Ameryki, może zadać sobie pytanie: „Dlaczego amerykańska prawica broni zwolenników niewolnictwa? Przecież konfederaci opowiadali się za niewolnictwem, jego delegalizacja była stawką wojny secesyjnej".

Broni bohaterów narodowych, a nie zwolenników niewolnictwa. Kościuszko chciał rozdać ziemię chłopom, czyli ich uwłaszczyć, a jednocześnie był panem feudalnym. Luter był księdzem, a jednocześnie występował przeciwko klerowi. Niewolnictwo było kiedyś legalne i w ramach tamtego systemu prawnego Jerzy Waszyngton miał niewolników. Bolesław Chrobry był panem feudalnym i rozdawał swoim wasalom całe wioski wraz z mieszkańcami. Czy przez to już nie jest polskim bohaterem?

Skoro konfederaci byli zwolennikami niewolnictwa, to dziwi się pan, że przeciwko ich upamiętnieniom protestują czarnoskórzy Amerykanie? Bo to chyba tak, jakby dziwić się protestom Żydów przeciwko pomnikowi Torquemady w Hiszpanii...

Żydzi nie protestują przeciwko pomnikowi Torquemady... A Murzyni nie protestują w USA przeciwko pomnikowi gen. Lee. Protestuje GARSTKA, i to głównie białych ludzi, z których część jest wynajęta przez Sorosa.

Po drugiej, prawej stronie barykady w Charlottesville stanął ruch alt-right, którego ojcem założycielem jest Richard Spencer, zwolennik supremacji białych, aktywista oskarżany o sympatie neonazistowskie. Nie uważa pan, że jest to organizacja równie radykalna co Antifa, tyle że z przeciwnej strony frontu?

Nie wiem, bo mnie ta organizacja nie interesuje. W USA każdemu wolno się zrzeszać pod DOWOLNYM sztandarem. Na tym polega nasza wolność słowa, wolność obywatelska, że nawet tak obrzydliwe rzeczy jak faszyści z Antify mają prawo się zrzeszać i manifestować. Zakazujemy wybijania szyb i zębów, ale nie zakazujemy szczerzenia zębów w nienawiści oraz wykrzykiwania okropnych haseł.

Za platformę medialną ruchu alt-right uważa się Breitbart News. Szef tego portalu, Steve Bannon, był bliskim współpracownikiem Trumpa. Czy amerykański prezydent jest zagorzałym zwolennikiem ideologii alt-right, czy może to jest tak jak u nas ze stosunkiem PiS do narodowców – „niby patrioci, przydają się, ale na tyle radykalni, że wstydzimy się ich tak otwarcie popierać"?

Trump zwolennikiem jakiegoś ruchu? Pan żartuje. Trump sam stanowi ruch społeczny o globalnym zasięgu, na jego Twitterze jest więcej osób niż u papieża Franciszka. Trump jasno i otwarcie popiera samego siebie, stanowi własną ideologię i nie potrzebuje żadnej partii. Trump do niczego nie należy, to raczej ludzie należą do niego jako do instytucji. A Steve'a Bannona wywalił na zbity pysk, i to już dawno.

Richard Spencer podczas przemówienia po zwycięskich dla Trumpa wyborach miał powiedzieć: „Heil Trump, heil naszym ludziom, heil zwycięstwu". Czy to nie był pańskim zdaniem skandal? Czy Trump nie powinien jednoznacznie odciąć się od tego typu skrajnych środowisk?

Pan go zacytował po niemiecku, a Spencer mówił po angielsku – w ten sposób stwarza pan fejka; fake news. Nieetyczne, proszę pana! Anglicy stosują to samo, lekko archaiczne słowo wobec swojej królowej. Można krzyknąć „Niech żyje..." np. król lub Trump, można też bardziej archaicznie: „Chwała królowi!". Spencer nie posługiwał się językiem niemieckim. Gdyby to zrobił, zostałby natychmiast wybuczany przez publiczność i wyleciałby z roboty od ręki. Wyleciał z pracy za coś innego. Tyle wiem na ten temat, ale ja interesuję się Trumpem, a nie Spencerami. W administracji Trumpa ludzie mają porządnie pracować; gdy tego nie robią, wylatują z roboty. Trump wywala bez zahamowań i za to też go kochamy. Jest PRAKTYCZNY i skuteczny.

Ponad 100 tys. Amerykanów podpisało się pod petycją o uznanie Antify za organizację terrorystyczną na poziomie federalnym. W New Jersey Antifa już ma taki status. Czy to początek końca tej organizacji?

Tak sądzę. I skoro PiS zrobił się miękki jak rozgotowana parówka, to może Kukizy mogłyby podobną procedurę przeprowadzić w Polsce... Antifa jest organizacją groźną, niebezpieczną. Warto doceniać jej siłę, bo kto jej nie doceni, ten zostanie

eprasa.pl 6ed2495ad6

przez Antifę pokonany. Antify należy się bać, jest mocna jak bulterier.

Jak daleko może posunąć się Antifa? Myśli pan, że ma potencjał, by stać się równie niebezpieczna jak islamscy terroryści?

Jest. Och, może jeszcze nie wszyscy członkowie tej faszystowskiej falangi o tym wiedzą, gdyż ich organizacja jest na razie mniej rozpędzona od islamistów, ale ma, w mojej ocenie, podobną organizację, struktury i napęd. Niedocenianie Antify, wyśmiewanie jej czy lekceważenie skończy się dla Zachodu tym, czym skończyło się lekceważenie zagrożenia ze strony islamu.

Stwierdził pan na antenie TVP Info, że amerykańska lewica różnymi sposobami dehumanizuje Trumpa, żeby tym samym oswoić społeczeństwo z wizją zamordowania prezydenta. Podobną taktykę pańskim zdaniem stosuje się w Polsce wobec polityków obozu władzy. W USA ta cała nagonka doprowadziła już do rozlewu krwi. W Polsce też w końcu padną strzały?

Wiele niewyjaśnionych śmierci już było. Strzały nie padają, bo trudniej o broń, ale pobicia i wyzwiska są.

Często porównuje się sytuację w USA i Polsce: wściekłe protesty środowisk lewicowo-liberalnych po tym, jak w demokratycznych wyborach wygrał znienawidzony kandydat prawicy. Jednak w Ameryce płonęły samochody, padały strzały, na wizji bito zwolenników Trumpa... Polska totalna opozycja i jej zwolennicy to w porównaniu z amerykańską Antifą wciąż jeszcze chyba „grzeczni chłopcy"?

W Polsce mamy po prostu mniej swobód obywatelskich, państwo kontroluje obywatela dużo mocniej, więcej zakazuje. W USA mamy nieograniczone swobody obywatelskie, czego efektem ubocznym jest to, co pan opisał. W Polsce policjant nie musi się tłumaczyć, dlaczego i jakim prawem zatrzymał panu samochód do kontroli. W USA nie wolno mnie zatrzymać bez powodu, czyli „prewencyjnie".

Wracając do tej polskiej „totalnej opozycji" i jej metod: przecież to właśnie to środowisko zamordowało ks. Jerzego Popiełuszkę. Ręce mu spętali drutem, a ciało wrzucili do zalewu. To nigdy nie byli „grzeczni chłopcy", czasami tylko takich udawali. Ludzie nazywający siebie Obywatelami RP organizowali „ścieżki zdrowia" na komisariatach policji, Obywatele RP uważają też, że te ścieżki to nic takiego. To nie są „grzeczni chłopcy". Nie docenia pan ich siły i temperamentu.

Wracając do tej polskiej „totalnej opozycji" i jej metod: przecież to właśnie to środowisko zamordowało ks. Jerzego Popiełuszkę. Ręce mu spętali drutem, a ciało wrzucili do rzeki. To nigdy nie byli „grzeczni chłopcy"

Czy KOD to taka polska Antifa?

O KOD trudno mówić, że jest „polski". Oni sami dystansują się od Polski i wolą być członkami międzynarodówki, obywatelami Europy. Pierwszym kodziarzem był, moim zdaniem, Donald Tusk, gdy przemawiał pogardliwie na temat patriotyzmu – że to przeżytek – oraz gdy szydził z mojej Mamusi i jej koleżanek, nazywając je „moherowymi beretami".

A może raczej Obywatele RP przypominają panu Antifę? KOD działa bowiem w ramach prawa, maszerują i krzyczą, a Obywatele RP głośno oraz oficjalnie deklarują, że będą prawo łamać, blokować legalne demonstracje.

To jest ta sama grupa ludzi pod dwiema nazwami. Podobnie było z Unią Demokratyczną, Unią Wolności, Platformą Obywatelską – ostatecznie to ci sami ludzie i ten sam interes od lat.

Dlaczego w USA, które są przecież wzorem postaw demokratycznych i obywatelskich dla całego świata, temperatura sporu politycznego wyprowadza ludzi na ulicę, i to z bronią w ręku? Dlaczego lewica z prawicą nie mogą tam się ze sobą po prostu dogadać?

Na ulice i pod bronią wychodzimy, bo takie nasze prawo – to my jesteśmy suwerenami, a nie władza; policja jest na naszej służbie, a nie na odwrót. Mamy swobody obywatelskie i mamy też prawo spierać się o swoje. Dogadać się z lewicą? Czyli kompromis ze złem? To nie po bożemu i nieamerykańskie.

Niektórym środowiskom w USA przeszkadza już nawet Krzysztof Kolumb, bo gdyby nie odkrył Ameryki, toby nie było cierpień Indian. Chyba podobnie jest z europejskimi katolikami, którzy wstydzą się wypraw krzyżowych?

Kto się wstydzi? Ja nie. A co pańskim zdaniem było nie tak z wyprawami krzyżowymi? Od kiedy to obrona przed islamem lub barbarzyństwem stała się zła? Jest jakaś nowa wykładnia historii? W czasie krucjat elita z całej Europy zjednoczyła się, by odepchnąć barbarzyńców z naszych miejsc świętych. Nie bardzo rozumiem, czego tu się wstydzić.

Amerykańska Antifa zniszczyła pomnik polskich żołnierzy wyklętych w Bostonie, cenzurując zawarte na monumencie treści dotyczące Sowietów. Sam pan przyznał, że sprawcy musieli zadać sobie sporo trudu, żeby ten pomnik znaleźć. Co amerykańskim lewakom do polskiej historii? Chodzi tylko o jakąś uniwersalną walkę z antykomunizmem czy może na celowniku jest Polska jako taka, jako europejska wyspa konserwatyzmu i sojusznik Trumpa?

Raczej chodzi o walkę z antykomunizmem, bo Antifa to komuchy, synowie komuchów itd.

Z kolei w Austrii zniszczono pomnik polskich bohaterów odsieczy wiedeńskiej. Śmiał się pan ze sprawców, że nazwali króla Sobieskiego „nazistą", co świadczy o tym, iż nie mieli pojęcia o historii. Jednak może to nie był efekt niewiedzy – może dziś, w oczach światowej lewicy, każdy, kto kiedykolwiek walczył z islamem, nieważne, czy broniąc się, czy atakując, jest faszystą?

Eee, ale przecież to faszyści zniszczyli ten pomnik.

„Polska jako przedmurze chrześcijaństwa" w obronie przed islamem to zbyt pompatyczne hasło czy może jest w nim trochę prawdy?

Mam nadzieję, że jest. Przy czym chodzi raczej o „Różaniec do granic" niż o PiS. PiS, owszem, nie godzi się na przysyłanie nam islamistów z Niemiec, Macierewicz wzmacnia armię oraz obecność wojskową NATO na terenie Polski, ale to już chyba koniec działań na rzecz wzmacniania przedmurza. Jeśli mamy się obronić przed tą nawałnicą, to potrzeba działań radykalnych, męskich. Schengen należy zamknąć, przywrócić kontrole na wszystkich granicach wewnętrznych Unii, rozpocząć odsyłanie „uchodźców" do krajów, z których przypłynęli, oraz ogłosić, że Europa jest w stanie wojny, a wróg jest już na naszym terenie. Tylko że PiS tego nie zrobi, bo – jak pan sam zauważył wcześniej – PiS szuka sytuacji komfortowych, a deportacje wroga komfortowe nie są.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Podgrzany, nie palony

Na początek zła wiadomość: według szacunków Światowej Organizacji Zdrowia w 2025 roku palić będzie ponad miliard osób. I to mimo powszechnej wiedzy na temat szkodliwości palenia. Dobra wiadomość jest taka, że naukowcom udało się opracować mniej szkodliwą dla zdrowia alternatywę.

O tym, że palenie jest niezdrowe, nie trzeba nikogo przekonywać - wiemy o tym ze szkoły, mediów, kampanii społecznych i oczywiście z samych opakowań. Szkodliwość papierosów polega na tym, że wdychany przez palacza (a nierzadko przez jego otoczenie) dym zawiera wiele toksycznych związków, które zaburzają funkcje komórkowe organizmu i prowadzą do poważnych chorób. W tym do najbardziej znanej choroby palaczy - raka płuc. Mimo to wielu osobom bardzo trudno jest wykreślić ze swojego życia papierosy. Naukowcy przystąpili więc do badań nad mniej szkodliwą alternatywą palenia. Wśród nich są także polscy badacze, a dokładniej zespół prof. Joanny Szczepanowskiej z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, który jako pierwszy na świecie odkrył, że jeśli spalanie tytoniu zastąpimy podgrzewaniem, uzyskamy satysfakcjonujący dla palaczy, ale jednocześnie dużo mniej szkodliwy dla zdrowia efekt. Podgrzewanie uwalnia bowiem ponad dwa razy mniej szkodliwych substancji niż jego palenie.

- Badania wykazały, że ograniczenie szkodliwych bądź potencjalnie szkodliwych substancji dzięki podgrzewaniu, zamiast spalaniu tytoniu, jest zachęcającym podejściem do zmniejszenia stresu mitochondrialnego w komórce związanego z paleniem wyrobów tytoniowych – wyjaśnia prof. Joanna Szczepanowska z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN.

Opracowywaniem produktów zawierających nikotynę, ale jednocześnie pozbawionych toksycznych składników dymu papierosowego, zajęły się też koncerny nikotynowe. Philip Morris International (PMI), który rozpoczął badania nad takim produktem już 10 lat temu, zaangażował przy projekcie ponad 400 naukowców, inżynierów i ekspertów, a do dziś zainwestował w niego ponad trzy miliardy dolarów. W efekcie udało mu się opracować System Podgrzewania Tytoniu (THS2.2, nazwa handlowa to IQOS), który elektronicznie podgrzewa tytoń w temperaturze dużo niższej od temperatury spalania, powodując powstanie aerozolu z nikotyną i mieszaninę związków o znacząco niższej niż w dymie zawartości substancji toksycznych. Wyniki swoich badań Philip Morris International ogłosił we wrześniu br. na 42. Kongresie Federacji Europejskich Stowarzyszeń Biotechnologicznych FEBS (ang. Federation of European Biochemical Societies), który odbył się w Izraelu. Ale czy taki produkt ma szansę się spopularyzować? Doświadczenia pilotażowej sprzedaży na rynkach japońskim i włoskim pozwalają przypuszczać, że IQOS może zastąpić tradycyjne papierosy. W obu tych krajach w ciągu ostatnich trzech lat przestawiło się na niego prawie 1,5 miliona palaczy.

Lidia Orzechowska

FOT. FOTOLIA

THS2.2 czyli IQOS

System Podgrzewania Tytoniu (THS2.2 – nazwa handlowa IQOS), który elektronicznie podgrzewa tytoń w temperaturze znacznie niższej od temperatury spalania, powoduje powstanie aerozolu zawierającego nikotynę oraz mieszaninę związków o znacząco niższej zawartości substancji toksycznych w porównaniu do dymu papierosowego powstałego wskutek spalania tytoniu. IQOS nie wytwarza dymu ani popiołu, lecz aerozol, który ma o wiele mniej intensywny zapach niż dym z tradycyjnych papierosów. Jego stworzenie to rezultat ponad dziesięcioletnich badań w zakresie potencjalnie mniej szkodliwych produktów alternatywnych dla papierosów.

eprasa.pl 6ed2495ad6

Tomasz P. Terlikowski

Narzucanie podziałów politycznych na życie Kościoła to poważny analityczny błąd. Niestety, w partyjnie podzielonym społeczeństwie jest on niezmiernie częsty

Kościół dzieli się

Od jakiegoś czasu regularnie słyszę od niektórych kolegów, niekiedy od polityków, a bardzo często od czytelników, proste pytanie: Jaki jest właściwe stosunek biskupów do dobrej zmiany? Szczególnie mocno wybrzmiewa ono po jakiejś mocnej, antypisowskiej wypowiedzi bp. Tadeusza Pieronka (wtedy zazwyczaj dopełnione jest ono niemym wyrzutem, że inni hierarchowie „wreszcie nie zrobią z nim porządku"), wsparciu udzielonym – wbrew opinii polskiego rządu – uchodźcom i imigrantom albo po proprezydenckich wypowiedziach przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Oczekiwana odpowiedź zakłada zazwyczaj przedstawienie politycznej mapy episkopatu, analogicznej do tej, którą można podzielić społeczeństwo. Biskup A jest za PiS, biskup B za PO, a C za Kukiz'15 (nie wspominając przy tym o biskupach X, Y i Z, którzy są za PSL). Tyle tylko, że takie działanie – choć niekiedy podejmowane, choćby przez „Gazetę Wyborczą" (nieodmiennie próbującą pokazać, iż Kościół jest takim samym graczem politycznym jak inne podmioty społeczne) – nie pozwala ani uchwycić realnych podziałów w episko-

eprasa.pl 6ed2495ad6

po cichu

FOT. PAWEŁ HOROSIEWICZ/FOTOLIA

pacie, ani zrozumieć działania Kościoła, który z samej swej natury musi pozostawać (lub przynajmniej próbować pozostawać) poza bieżącym sporem partyjno-politycznym, a także być głosem tonującym społeczne napięcia.

SYMETRYŚCI Z EPISKOPATU?

Hierarchowie Kościoła w Polsce mają pełną świadomość, że ich wierni głosowali, głosują i będą głosować na różne partie, jasne wsparcie jednej z partii mogłoby więc mocno zaszkodzić i tak osłabianemu laicyzacją Kościołowi. Dlatego od kilku lat wyraźnie widać, że najważniejsi kardynałowie i arcybiskupi bardzo ostrożnie formułują swoje polityczne opinie. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, abp Stanisław Gądecki, często przypomina, że Kościół nigdy nie wspiera jednoznacznie jednej siły politycznej i że musi on różnie oceniać różne posunięcia konkretnej władzy. Nieco (ale tylko nieco) ostrzej tę samą myśl formułuje w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego" prymas Polski abp Wojciech Polak, gdy zaznacza, że Kościół nie powinien mieszać się do polityki. Z tej postawy wynikało także wsparcie, jakiego udzieliło kilku kluczowych biskupów prezydentowi Andrzejowi Dudzie, gdy wetował on część z projektów reformujących sądownictwo.

Nie oznacza to, że nie ma biskupów wypowiadających się w kwestiach politycznych nieco ostrzej. Przykładem może być abp Marek Jędraszewski. Jednak i metropolita krakowski, wbrew dorabianej mu przez liberalne media „gębie", nie jest ani kapelanem PiS, ani kaznodzieją politycznym. Jego kazania, choć ostrzejsze, skupiają się na problemach moralnych, a jeśli czasem wybrzmiewają w nich nuty bliskie ocenom Prawa i Sprawiedliwości, to nie wynika to ze wspólnoty idei politycznych, ale z tego, że PiS zręcznie (przynajmniej w retoryce politycznej) zagospodarowuje idee i emocje moralne ludzi bliskich Kościołowi. W ten sposób więc arcybiskup nie tyle wchodzi w politykę, ile przypomina moralne fundamenty, na których powinna się ona opierać. Interpretowanie tego jako „zaangażowania politycznego" to zaś uleganie myślowym schematom liberalnych lewicowców z „Newsweeka" czy „Gazety Wyborczej", dla której każda wypowiedź dotycząca moralności publicznej to już „PiS-owskość" czy „polityzacja wiary".

Polityczna ostrożność Kościoła hierarchicznego widoczna jest także w tym, że od kilku lat polityczni harcownicy (a nie brakowało ich) wśród biskupów są wyraźnie marginalizowani, a niekiedy wręcz przywoływani do porządku. Tak było w przypadku Marszu w Obronie Demokracji i Wolności Mediów organizowanego przez Prawo i Sprawiedliwość – w skład Komitetu Honorowego wchodzić miało kilku biskupów (m.in. bp Ignacy Dec, bp Antoni Dydycz i bp Edward Frankowski). W tej sytuacji zainterweniował nuncjusz apostolski i biskupi się wycofali… I od tego momentu mocno ograniczyli swoje zaangażowanie partyjne. W efekcie największym medialnym harcownikiem politycznym pozostaje… bp Tadeusz Pieronek,

eprasa.pl 6ed2495ad6

który jednoznacznie wspiera opozycję, gromi PiS, a niekiedy formułuje myśli godne Stefana Niesiołowskiego. Tyle tylko, że on sam jest kompletnie pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia w episkopacie, a jedynym miejscem, gdzie jego głos coś znaczy, jest studio TVN lub redakcja przy Czerskiej.

NIEPOLITYCZNY PODZIAŁ IMIGRANCKI

Analitycznym błędem jest także polityczna interpretacja delikatnej polemiki z partią władzy, jaką biskupi prowadzą w kwestii polityki imigracyjnej czy przyjmowania uchodźców (a przynajmniej organizowania korytarzy humanitarnych). Wbrew zapewnieniom opozycji, a także części mediów postawa taka nie wynika z politycznego wsparcia dla polityki multi-kulti czy z chęci wspierania opozycji, ale ze świadomości, jakie jest w tej sprawie stanowisko Franciszka. Debata w polskim Kościele na ten temat nie koncentruje się więc na kwestiach politycznych, ale na… problemie dostosowania nauczania Franciszka (a także św. Jana Pawła II) na temat imigracji, uchodźców i konieczności solidarności międzynarodowej do polskiej specyfiki oraz sytuacji. I w tej sprawie można dostrzec całkiem realne podziały.

Doskonałym ich przykładem jest niedawny wywiad prymasa Polski abp. Wojciecha Polaka dla „Tygodnika Powszechnego". Wypowiedzi dotyczące przyjmowania uchodźców czy suspensy dla kapłanów, którzy uczestniczyć będą w protestach antyimigracyjnych (pomijam tu fakt, że nawet prymas nie może nakładać suspens ot, tak sobie i w związku z tym są to puste medialne pogróżki, a nie realne zapowiedzi), choć wpisują się w kontekst polskiej debaty politycznej, to w przypadku abp. Polaka wynikają one z przyjętej przez niego samego wizji pontyfikatu Franciszka. Papież jest niezmiernie skupiony na imigracji i przyjmowaniu uchodźców, a prymas Polski jedynie mu w tym wtóruje. Nie jest w tym zresztą osamotniony. Identyczne opinie, oparte zresztą na tym samym źródle inspiracji, formułuje choćby bp Krzysztof Zadarko, przewodniczący Rady Episkopatu Polski ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek. „Jeśli mówimy o obcych przybywających do Europy spoza naszego kręgu kulturowego, to najczęściej mamy do czynienia z muzułmanami, mamy do czynienia z obrazami, które są jednoznacznie kojarzone z fundamentalizmem i terroryzmem islamskim. Reakcja Kościoła w Polsce rozbija się pomiędzy pojęciami brata i siostry a terrorystą. Dla nas, chrześcijan, wyzwaniem jest zobaczenie w osobie uchodźcy Chrystusa. Mamy moralny obowiązek przyjęcia tych, którzy uciekają ze swoich krajów" – stwierdził biskup w czasie sympozjum na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. „Oficjalne wypowiedzi Kościoła mówią o obowiązku przyjmowania uchodźców bez względu na wyznawaną przez nich religię czy przynależność etniczną lub narodowościową. Natomiast Kościół nie wypowiada się, jak ma wyglądać polityka migracyjna państwa polskiego" – uzupełniał biskup. I to ostatnie zdanie doskonale pokazuje, że w wypowiedziach tych wcale nie chodzi o polemikę partyjną, ale o… wierność Franciszkowi.

Trzeba zresztą powiedzieć, że tak radykalna wizja jest wśród polskich biskupów raczej rzadkością. Większość z naszych hierarchów, choć przyjmuje stanowisko papieża i nie polemizuje z nim, jednocześnie przedstawia odrębną od papieskiej wizję pomocy osobom dotkniętym działaniami militarnymi na Bliskim Wschodzie czy uciekinierom z Afryki Północnej (którzy w sensie ścisłym uchodźcami nie są). Otwarcie, choć bardzo ostrożnie, mówił o tym choćby abp Marek Jędraszewski, metropolita krakowski. – Dlaczego to, co jest już nieszczęściem innych krajów, ma się stać także nieszczęściem naszego? Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że to nie tylko problem uchodźców, to zderzenie kulturowe – mówił, ostrzegając przed sprowadzaniem imigrantów, abp Marek Jędraszewski. Nie oznacza to jednak, że metropolita krakowski jest przeciwny pomocy. Jego zdaniem powinna się ona jednak odbywać na miejscu. Wielu biskupów w krajach Bliskiego Wschodu, przypominał arcybiskup, nawołuje do tego, by pomoc była dawana na miejscu, aby tym samym zahamować exodus chrześcijan. – W przeciwnym razie te kraje przestaną być chrześcijańskie. Powstał nawet projekt, by zapraszać młodych stamtąd na studia do nas, żeby mogli wrócić do siebie już jako elita intelektualna. Mam nadzieję, że zyskamy tutaj wsparcie państwa, bo bez niego nam, jako Kościołowi, ciężko jest w takich sprawach działać. Jednak tacy wykształceni, młodzi ludzie na miejscu są bardzo potrzebni – tłumaczył abp Jędraszewski. I wiele wskazuje na to, że takie jest właśnie stanowisko większości biskupów, a także księży katolickich. Medialne groźby suspensy, które zostały „wymuszone" na abp. Polaku przez prowadzącego wywiad dla „Tygodnika Powszechnego" dziennikarza, nie mogą tego zmienić.

Jednak i to nie jest wcale efekt politycznych sympatii polskich biskupów, a coraz częściej wyrażana, także wśród zachodnich biskupów, opinia. Przed nieograniczoną imigracją przestrzegają także biskupi z Czech, starsze pokolenie biskupów włoskich, a także biskupi z Węgier. Powodem nie jest zaś sympatia do politycznej prawicy, ale ocena tego, do czego prowadzi polityka multi-kulti, a także analiza laicyzujących się społeczeństw.

Głęboki i istotny z punktu widzenia przyszłości polskiego Kościoła spór dotyczy wprowadzenia w życie wskazówek zawartych przez papieża Franciszka w „Amoris laetitia"

CO Z „AMORIS LAETITIA"?

O wiele głębszy i istotniejszy z punktu widzenia przyszłości polskiego Kościoła spór dotyczy wprowadzenia w życie wskazówek zawartych przez papieża Franciszka w „Amoris laetitia". O sporze tym w przestrzeni publicznej w zasadzie nie słychać. Kardynałowie, arcybiskupi i biskupi jak ognia unikają choćby delikatnego, publicznego wspomnienia o tym, że istnieje jakiś spór, że papież cokolwiek zmienił, a pytani o to prywatnie wznoszą oczy do nieba i sugerują, by „problem" przeczekać, zamilczeć, pozbawić znaczenia. Tyle tylko, że jest to zwyczajnie niemożliwe. Już teraz nieoficjalnie mówi się o tym, że Watykan ma naciskać na polski episkopat, by ten wreszcie oficjalnie określił własne rozumienie „Amoris laetitia".

eprasa.pl 6ed2495ad6

Prace nad tym dokumentem trwają i choć oficjalnie wszyscy wypowiadający się biskupi przekonują, że Kościół w Polsce pozostanie wierny nauczaniu św. Jana Pawła II (co oznacza, że nie dopuści rozwodników w ponownych związkach do komunii świętej), to jednocześnie jedność – jak pokazują reakcje na tekst Marco Tosattiego w „La Nuova Bussola Quotidiana" – wcale nie została jeszcze osiągnięta. O czym mowa? Kilka dni temu na włoskim, bliskim myśleniu o Kościele Benedykta XVI i św. Jana Pawła II, portalu opublikowano tekst, którego autor przekonywał, że polscy biskupi za moment wydadzą dokument, w którym – wbrew stanowisku episkopatów Niemiec, Malty, Filipin, Argentyny, a także znaczącej liczbie biskupów z Włoch, ze Stanów Zjednoczonych czy z Francji, wspieranych nie do końca oficjalnie przez papieża Franciszka – przypomną, że osoby rozwiedzione w ponownych związkach nie mogą przystępować do komunii świętej, jeśli nie rozpoczną życia w czystości. Takie stanowisko jest prostą konsekwencją wierności św. Janowi Pawłowi II i wydawać by się mogło oczywiste w Polsce. A jednak kilka godzin po tej publikacji głos zabrał rzecznik Konferencji Episkopatu Polski, ks. Paweł Rytel-Andrianik, który wyjaśnił, że prace nad dokumentem nie są zakończone i że sformułowania Marco Tossatiego są nieprecyzyjne. Nie, nie oznacza to, że rzecznik prasowy zaprzeczył, iż prace zmierzają w tym kierunku, ale… ostrożnie – na włoskie potrzeby medialne – zdystansował się od doniesień.

Dlaczego? Powody mogą być dwa i o obu się nieoficjalnie w środowiskach kościelnych mówi. Pierwszy jest oczywisty: wśród biskupów trwa dyskusja na temat tego, na ile twardo przypomnieć stanowisko św. Jana Pawła II i tym samym sprzeciwić się dominującej interpretacji „Amoris laetitia". Część ma opowiadać się za miękkimi, niejasnymi sformułowaniami, część chce mocnej manifestacji wierności papieżowi Polakowi, ale są już też tacy (tak twierdzą księża, z którymi rozmawiałem), nieliczni, którzy najchętniej przyjęliby liberalne stanowisko wobec adhortacji i nie wchodziliby w spór. Drugi powód jest także dość oczywisty – otóż wśród polskich hierarchów toczy się spór o to, czy da się przeczekać dyskusję i zachować praktykę duszpasterską bez jasnego wyrażania opinii. Dlaczego biskupi mieliby nie chcieć zabierać głosu w tej sprawie? Aby nie gorszyć wiernych, by nie pokazywać, że toczy się jakaś dyskusja, i wreszcie, by nie wchodzić w konflikt z episkopatami Niemiec czy Włoch.

PENTEKOSTALIZACJA – SZANSA CZY ZAGROŻENIE?

Coraz bardziej otwarty charakter (i to jest pewien wyjątek) ma zaś dyskusja na temat swoistej „charyzmatycznej rewolucji" (nazywanej także „pentekostalizacją chrześcijaństwa"), jaka ma miejsce w Kościele w Polsce. Tutaj wyraźnie widać linie podziałów (wcale nieoczywistych). Część biskupów, jak choćby arcybiskupi Henryk Hoser i Grzegorz Ryś czy bp Edward Dajczak, całym sercem wspiera charyzmatycznych kaznodziejów (nie tylko duchownych, lecz także świeckich), zaprasza ich do katedr, a także na formację seminaryjną i namawia kapłanów, by przejmowali charyzmatyczne wzorce działania i pobożności. Inni, by wymienić tylko bp. Andrzeja Czaję czy ostatnio abp. Marka Jędraszewskiego, wzywają do ostrożności w przyjmowaniu pewnych wzorców, a nawet ostrzegają przed pentekostalizacją katolicyzmu.

Najmocniej na temat pentekostalizacji wypowiada się bp Czaja, odpowiedzialny za doktrynę w Konferencji Episkopatu Polski. Jego zdaniem, choć „pentekostalizm może być pewną szansą dla katolików i wielu innych denominacji chrześcijańskich", ponieważ „od chrześcijan pentekostalnych możemy się uczyć spontaniczności, otwartości, zapału misyjnego, chęci przekazywania słowa Bożego", to jednocześnie stanowi on zagrożenie. Powód? Antyintelektualizm, mesjanizm narodowy, elementy gnostyckie w pobożności czy ewangelia zdrowia i dobrostanu. Wszystkie te elementy pozostają – zdaniem biskupa – w sprzeczności z katolicką tradycją i jako takie powinny być oceniane oraz eliminowane z katolickiej pobożności.

Ostrożniej i odnosząc się tylko do niektórych elementów pobożności, na temat pentekostalizacji wypowiada się abp Marek Jędraszewski. Jego zdaniem trzeba uważać, by nie wyrzucić z Kościoła teologii i nie pozostawić w nim jedynie uwielbienia, emocji, wspólnego śpiewu czy wznoszenia rąk. – Co to ma wspólnego z Kościołem, który założył Jezus Chrystus? Tymczasem mamy do czynienia z pewnymi tendencjami, które bazując na emocjach, jakby od wewnątrz ten Kościół chciały w nowy sposób ukształtować. Trudno to pogodzić z nauczaniem Kościoła, z jego poczuciem tożsamości – podkreślał abp Jędraszewski.

Nie jest to jednak stanowisko powszechne. Wielu biskupów nie tylko zaprasza charyzmatycznych kaznodziejów do swoich katedr (czego doskonałym przykładem było spotkanie z Marcinem Zielińskim w warszawsko-praskiej katedrze św. Floriana), lecz także organizuje dla swoich kapłanów czy kleryków rekolekcje z udziałem choćby o. Antonello Cadeddu czy o. James Manjackala. Inni angażują się w propagowanie wielkich wydarzeń, u których podstaw leży głębokie przekonanie, że Polska ma do odegrania ważną duchową rolę w świecie. „Różaniec do granic" czy „Wielka pokuta" wyrastają przecież z takiego właśnie rozeznania, a nie ma co ukrywać, że bardzo wielu biskupów i kapłanów je wspierało. Powód także jest dość oczywisty. Przede wszystkim duchowość charyzmatyczna często przyciąga do Kościoła nowych wiernych, daje ludziom mocne doświadczenie Boga żywego, a do tego misyjnie rozgrzewa wielu kapłanów i zakonników.

POZA SPOREM POLITYCZNYM

Ucieczka od bezpośredniego sporu politycznego, który ma w Polsce charakter wyraźnie plemienny, jest – z perspektywy Kościoła – jedynym rozsądnym rozwiązaniem. I nie chodzi tylko o to, że w ten sposób Kościół zachowuje możliwość bycia arbitrem, mediatorem czy głosem rozsądku w debacie publicznej, ale raczej o to, że w ten sposób koncentruje się on na tym, co z jego punktu widzenia jest najważniejsze, czyli na ewangelizacji, duszpasterstwie i formacji, a nie na medialno-politycznej nawalance. Dlatego to dobrze, że polscy biskupi dyskutują raczej na temat środków ewangelizacji, duszpasterskich pomysłów Franciszka, niż debatują nad politycznymi decyzjami PiS i komentarzami do nich opozycji. Im mniej będzie bezpośredniego partyjnego zaangażowania w Kościele, a im więcej dyskusji na temat teologii i duszpasterstwa, tym lepiej dla katolicyzmu w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Łukasz Warzecha

Czy Jarosław Kaczyński naprawdę mógłby zastąpić Beatę Szydło, a swoim następcą uczynić Zbigniewa Ziobrę?

Prognozowanie wydarzeń politycznych to w polskich warunkach zajęcie wysoce ryzykowne. Od razu zatem zapowiadam: w poniższej publicystycznej zabawie w długoterminowe prognozy mogę się pomylić nie raz, a 10 albo i 20 razy. I nie można tego wykorzystywać przeciwko mnie.

Przynajmniej od momentu, gdy prezydent Andrzej Duda zawetował ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa i Sądzie Najwyższym, w obozie władzy powstał potężny ferment. Byłby on zresztą prawdopodobnie i tak nieunikniony w miarę zbliżania się kolejnych wyborów. Różnego rodzaju ruchy odśrodkowe, osobiste ambicje, próby moszczenia sobie miejsca na przyszłość są standardem w przypadku każdej władzy. Zwłaszcza zaś takiej, która nie czuje się zagrożona, zatem może swoje siły poświęcić na wewnętrzne utarczki i rywalizacje.

Jakie zatem mogą być warianty rozwoju sytuacji? Przypomnijmy, że kalendarz polityczny określają daty kolejnych wyborów: samorządowe w 2018 r., w 2019 r. do Parlamentu Europejskiego (relatywnie najmniej istotne) oraz parlamentarne, zaś w 2020 r. prezydenckie.

KACZYŃSKI PREMIEREM?

Najmodniejsza ostatnio wśród komentatorów przepowiednia i – jak się zdaje – realnie rozważany wariant zmian. Stawiam, że wciąż mało prawdopodobny.

Po pierwsze – obecna pozycja nieformalnego naczelnika państwa jest dla Kaczyńskiego znacznie wygodniejsza niż pozycja szefa rządu. I tak jest faktycznie najważniejszą osobą w polskiej polityce, a unika całej niezwykle uciążliwej oraz najzwyczajniej fizycznie wyczerpującej formalnej strony funkcjonowania jako szef rządu. Oraz formalnej, a także w części politycznej odpowiedzialności za jego poczynania.

Po drugie – nie jest zalewany potokiem szczegółowych informacji, a zarazem może wydawać polecenia bez uwzględniania uwarunkowań, które podnoszone są na posiedzeniach Rady Ministrów. Ma być zrobione i tyle.

Po trzecie – ma wciąż jeden z najwyższych poziomów nieufności. Ostatnie badanie CBOS pod względem zaufania stawia go dopiero na szóstym miejscu, z 42 proc. zaufania, po prezydencie, pani premier, Pawle Kukizie, Mateuszu Morawieckim i Zbigniewie Ziobrze. Nadal pozostaje zaś wysoki odstetek osób, które mu nie ufają – 44 proc. – pod tym względem ustępuje jedynie Grzegorzowi Schetynie i Antoniemu Macierewiczowi.

Kaczyński wie też świetnie, że w wyborach 2015 r. dobry wynik Andrzeja Dudy i PiS wynikał ze złagodzenia kursu oraz wizerunku samego prezesa PiS. Gdyby miał teraz objąć urząd premiera, sprawowałby go zapewne do wyborów w 2019 r. To oznacza, że polityk budzący skrajne emocje byłby jedyną twarzą obozu rządzącego, bez tonującego wpływu Beaty Szydło.

Czy ten wpływ jest niezbędny? Aby po prostu wygrać wybory parlamentarne – zakładając, że opozycja nie wytoczy do tego czasu jakiejś wunderwaffe, a na to się

eprasa.pl 6ed2495ad6

Polityczne puzzle

FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

raczej nie zanosi – nie trzeba sięgać tak wysoko jak w przypadku wyborów prezydenckich. Można więc założyć, że Jarosław Kaczyński na pierwszym planie nie byłby tutaj przeszkodą dla wygranej PiS.

Tyle że prezes z pewnością myśli o tym, aby w drugiej kadencji powtórzyć samodzielną większość, a nawet – zapewne wspólnie z koalicjantem ad hoc – mieć większość konstytucyjną, czyli dwie trzecie głosów. A to z Kaczyńskim na czele rządu, mimo notowań sięgających dziś 40 proc. głosów, może być w 2019 r. trudne do osiągnięcia.

Po czwarte – nie wydarzyło się w gruncie rzeczy nic, co w oczach opinii publicznej uzasadniałoby nie tylko wymianę na stanowisku premiera, lecz także nawet bardzo głęboką rekonstrukcję rządu.

Wszystko to przemawia przeciwko takiemu wariantowi rozwoju wypadków i za pozostaniem przez Kaczyńskiego na wygodnej pozycji szefa wszystkich szefów, lecz formalnie jedynie szeregowego posła. Polityka jednak bywa czasami nieracjonalna. Niedawno pojawiła się informacja, że Beata Szydło systematycznie szlifuje swój angielski. Polityczna plotka głosi, że Jarosław Kaczyński już dawno obiecał obecnej szefowej rządu start do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. Z tym że w tej wersji można by też założyć, iż faktycznie zmęczona Beata Szydło doprowadzi gabinet Zjednoczonej Prawicy do, załóżmy, końca przyszłego roku, a po niej przejmie go nie Kaczyński, ale Mateusz Morawiecki, jako twarz sukcesu gospodarczego i zarazem dużych transferów socjalnych, który doprowadzi rząd do jesiennej elekcji.

ODRZUCENIE ANDRZEJA DUDY?

„Adrian" – jak zaczęli prezydenta Andrzeja Dudę nazywać nawet niektórzy radykalni politycy PiS – zerwał się ze smyczy i dlatego może nie zostać kandydatem PiS w 2020 r. To teza popularna zwłaszcza wśród tych publicystów, którzy za prezydentem nie przepadają i uznają go za głównego hamulcowego radykalnych, a ich zdaniem koniecznych zmian. To jednak także wariant mało prawdopodobny.

Po pierwsze – bardzo trudno uzasadnić niewystawienie na drugą kadencję popularnego prezydenta, który ma w ręku wszelkie atuty: ugruntowaną pozycję, możliwości promocji, jakie daje urząd, oraz ogromną rozpoznawalność. I wielkie zaufanie: we wspomnianym sondażu Andrzej Duda jest na pierwszym miejscu – ufa mu aż 74 proc. respondentów. Nieufność deklaruje 15 proc., co w tej klasyfikacji nie stawia go wprawdzie na ostatnim miejscu, ale ma za to rekordową rozpoznawalność na poziomie 100 proc. O ile decyzję o niepopieraniu Andrzeja Dudy na drugą kadencję gładko przełknęliby twardzi wyborcy PiS, o tyle ta grupa z całą pewnością nie wystarczyłaby do zwycięstwa w wyborach prezydenckich. Szczególnie gdyby twardej opozycji udało się wystawić jednego kandydata, który zbierze głosy wszystkich przeciwników obecnej władzy. A mogłoby ich być wiele, gdyby rok wcześniej PiS wygrał ponownie wybory parlamentarne. Wówczas Andrzej Duda tym bardziej musiałby walczyć o jak najmocniejsze zaczerpnięcie z grupy wyborców umiarkowanych.

Po drugie – gdyby Andrzeja Dudę miał zastąpić inny kandydat PiS, dla tychże właśnie umiarkowanych wyborców byłoby jasne, że stoi za tym założenie, iż będzie on dla PiS wygodniejszy niż Duda, czyli bardziej uległy. A to z kolei może ich odstręczać od głosowania na takiego kandydata.

eprasa.pl 6ed2495ad6

Po trzecie – w wyborach parlamentarnych 2019 r. wsparcie prezydenta dla PiS, choćby dyskretne, będzie istotne. Żeby PiS mógł je uzyskać, Andrzej Duda musi mieć z kolei jasność co do poparcia go przez macierzystą partię na kolejną kadencję.

Podobnie jednak jak w poprzednim wątku i tutaj możliwy jest niespodziewany rozwój wypadków. Politycy są tylko ludźmi. Czy nie można sobie wyobrazić, że sam Andrzej Duda, choćby z powodów rodzinnych, nie będzie chciał ponownie kandydować? A przecież gdyby tak miało być, oznaczałoby to, że PiS traci możliwość wywierania na niego nacisku. Jedynym realnym lewarem jest tu bowiem właśnie kwestia wystawienia go na kolejną kadencję.

Co z powołaniem „partii prezydenckiej", która – zdaniem niektórych – mogłaby pozwolić Andrzejowi Dudzie na samodzielny start w wyborach bez oglądania się na PiS? To wariant skrajnie mało prawdopodobny i jeżeli ktoś bierze go w Pałacu Prezydenckim na poważnie, to robi ogromny błąd. Owszem, prezydent powinien zbudować własny obóz polityczny i swoje środowisko – i to właśnie robi – żeby uzyskać częściową niezależność wobec ugrupowania Kaczyńskiego. Jednak start przeciwko innemu kandydatowi obozu konserwatywnego i zarazem kandydatowi (lub kandydatom) opozycji oznacza bratobójczą walkę, najpewniej przegraną przez obu konserwatywnych pretendentów.

ZIOBRO NAJLEPSZE MA PRZED SOBĄ?

Dzisiaj to najlepiej radzący sobie minister rządu Beaty Szydło – zarówno organizacyjnie, jak i politycznie. Momentami można odnieść wrażenie, że to prezydent tańczy do melodii granej przez szefa resortu sprawiedliwości. Dla bardziej radykalnego skrzydła wyborców PiS sprawa jest bowiem jasna: Ziobro miał znakomity pomysł na reformę sądownictwa, a rozwodnił go Duda. Ziobro jest dobry, Duda jest zły. Dawna „zdrada" Zbigniewa Ziobry – odejście z PiS i stworzenie Solidarnej Polski – poszły w niepamięć. Obojętnie, jak skończyłby się teraz spór pomiędzy obozem rządowym a prezydenckim o reformę wymiaru sprawiedliwości, Ziobro w każdym przypadku wydaje się wygranym. Co prawda nie zgromadzi w swoim ręku gigantycznej władzy, jaką dawały mu pierwotne projekty ustaw o KRS i SN, ale wciąż będzie prokuratorem generalnym i organizatorem pracy sądów. Politycznie zaś pozostanie „człowiekiem, który chciał dobrze, ale mu nie pozwolono".

To, paradoksalnie, może być dla Ziobry nawet lepszym wariantem, niż gdyby jego reformy doszły do skutku. Wtedy bowiem mógłby być rozliczany z tego, jaki wywrą skutek na polskie sądownictwo. Teraz rozliczany nie będzie. Konsekwencje działania ewentualnie uchwalonych ustaw obciążą prezydenta.

Nie ma wątpliwości, że ambicje Zbigniewa Ziobry są znaczące. Sięgają zapewne przywództwa w obozie Zjednoczonej Prawicy i wygląda na to, że minister sprawiedliwości stara się realizować je bardzo ostrożnie oraz umiejętnie. Znacznie umiejętniej niż w pierwszym etapie swojej politycznej działalności. Jarosław Kaczyński musi być przekonany – w granicach swojej naturalnej nieufności oczywiście – o lojalności Ziobry, który w dodatku w ramach polityki utrzymywania równowagi w obozie władzy stanowi przeciwwagę dla obozu Mateusza Morawieckiego. Czy to jednak wystarczający punkt wyjścia do walki o schedę po prezesie, gdy ten – choćby ze względu na wiek – będzie zmuszony ograniczyć swoją aktywność polityczną?

Zbigniew Ziobro to dzisiaj najlepiej radzący sobie minister rządu Beaty Szydło – zarówno organizacyjnie, jak i politycznie

Ziobro, budując wokół siebie bardzo konsekwentnie spójny obóz zwolenników politycznych, medialnych oraz mając własnych ludzi w części spółek Skarbu Państwa, z pewnością jest na dobrej pozycji wyjściowej do sprostania takiemu wyzwaniu. Na przeszkodzie stoi na razie to, że minister sprawiedliwości wciąż formalnie przewodzi własnemu, odrębnemu ugrupowaniu, ale nietrudno sobie wyobrazić, że wobec politycznej szansy z tej odrębności zrezygnuje. Tyle że awans Ziobry do roli następcy Jarosława Kaczyńskiego – jeśli w ogóle, to na pewno nie wcześniej niż po wyborach 2019 r., a może dopiero po elekcji prezydenckiej 2020 r. – oznaczać by musiał poważne napięcia albo otwarty konflikt w obozie rządzącym. Nie tylko z Mateuszem Morawieckim, którego pozycja, jak wiele wskazuje, będzie się umacniała, lecz także z prezydentem. W którymś jednak momencie Jarosław Kaczyński taką decyzję będzie musiał przecież podjąć. Wyznaczenie Ziobry byłoby odejściem od zasady równowagi, ale też właśnie Ziobro mocno i systematycznie pracuje na swoją pozycję.

MORAWIECKI JAKO KACZYŃSKI 2.0?

Po drugiej stronie równania w stosunku do Ziobry w obozie władzy jest Mateusz Morawiecki, również mozolnie budujący swoją pozycję polityczną i instytucjonalną. Trudno orzec, czyj punkt wyjścia był tutaj słabszy: czy Ziobry, przywróconego do łask po separacji z PiS, czy Morawieckiego, przychodzącego całkowicie spoza polityki, z podejrzanego dla wielu działaczy partii świata bankowości, w dodatku byłego członka Rady Gospodarczej przy premierze Donaldzie Tusku.

Słabość Morawieckiego w stosunku do Ziobry polega na tym, że o ile w wymiarze sprawiedliwości kryteria sukcesu lub jego braku są względnie płynne i dyskusyjne, o tyle w gospodarce – mimo możliwości manipulowania statystykami – są jednak znacznie bardziej wymierne i pozycję Morawieckiego może gwałtownie zburzyć ekonomiczne tąpnięcie, nawet gdyby było ono wynikiem działania czynników od niego niezależnych. Ponadto Ziobro jako pogromca złych sędziów bardziej przemawia do twardego elektoratu PiS niż Morawiecki – erudyta i intelektualista, który nawet jeśli próbuje być swojski i podwija rękawy, to wypada w tym dość pretensjonalnie i nieautentycznie.

Jeśli jednak Polska będzie sobie dobrze radzić gospodarczo, to Morawiecki może zyskać brakujące mu dzisiaj punkty w wyścigu po schedę po prezesie. Jego ewentualna rywalizacja z Ziobrą byłaby też zasadniczym sporem o kształt partii – bardziej rewolucyjny i być może populistyczny czy technokratyczny oraz przesunięty do centrum.

Oczywiście żaden z zarysowanych scenariuszy może się nie zrealizować. W polityce, tak jak w prognozach pogody, także działa efekt motyla, a zdarzenia pozornie nie do pomyślenia stają się faktami. I to bywa najciekawsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Fundusze Europejskie
Infrastruktura i Środowisko

Unia Europejska
Fundusz Spójności

Kanał Gliwicki - rusza II etap modernizacji drogi wodnej

Kompleksowa modernizacja śluz na Kanale Gliwickim wchodzi w ostatnią fazę. Spośród sześciu tego typu obiektów na szlaku żeglugowym, śluzy Rudziniec i Kłodnica odzyskały już dawną świetność, a w obrębie śluz Łabędy i Dzierżno trwa kontynuacja prac. Jednocześnie modernizacja rozpoczyna się na dwóch kolejnych śluzach drogi wodnej – w Sławięcicach i Nowej Wsi. Prace na tych obiektach potrwają do początku 2021 roku. Dzięki realizacji projektu „Modernizacja śluz odrzańskich na Kanale Gliwickim, na odcinku w zarządzie RZGW Gliwice – przystosowanie do III klasy drogi wodnej – etap II", zwiększy się niezawodność drogi wodnej oraz bezpieczeństwo ruchu.

Nowa Wieś

Sławięcice

Z Górnego Śląska do Bałtyku

Kanał Gliwicki ma już blisko 80 lat. Powstawał w latach 1933-1939, choć pełną zdolność żeglugową uzyskał faktycznie dopiero w roku 1941. Ta „wodna autostrada", łącząca Górny Śląsk z Odrą (a co za tym idzie z bałtyckim portem w Szczecinie) zastąpiła Kanał Kłodnicki o znacznie mniejszej przepustowości.

Ambitny projekt przedsięwzięcia zakładał wykorzystanie najnowocześniejszych wówczas technologii z zakresu budownictwa hydrotechnicznego. Technologie te dotyczyły m.in. śluzowania z unikatowym systemem oszczędzania wody na śluzach i zaopatrywania w nią kanału.

Niezrównane dzieło inżynierii początku XX wieku

Kanał Gliwicki do dziś pozostaje ważnym dziełem inżynierii hydrotechnicznej. Przeprowadzono go w głębokim wykopie, a częściowo także w nasypach. Zaczynał swój bieg od Odry w Kędzierzynie-Koźlu, by po prawie 41 km, zakończyć go w porcie w Gliwicach. Różnica wysokości lustra wody między tymi skrajnymi stanowiskami wynosi 43,6 m. Pokonuje się ją dzięki systemowi 6 dwukomorowych śluz, które dzielą kanał żeglugowy na siedem odcinków. Wszystkie one mają długość 71,5m i szerokość 12 m, różnią się natomiast spadem. Najmniejsza różnica poziomów występuje na śluzie Łabędy – 4,2 m, gdzie na jedno śluzowanie zużywa się 3,9 tys. m^3 wody. Największą różnicę poziomów spotykamy na śluzie Kłodnica – 10,4 m, a jedno śluzowanie wymaga tu 9,5 tys. m^3 wody.

W okresie powojennym urządzenia techniczne śluz podlegały bieżącym konserwacjom i remontom. Niemniej ich zasadnicze elementy konstrukcyjne pracowały niezmiennie od czasu oddania Kanału Gliwickiego do użytku. Tym samym nieuchronnie modernizacja stała się koniecznością.

Modernizacja z myślą o przyszłości

Kanał Gliwicki i jego infrastruktura techniczna to wciąż funkcjonalny i strategiczny dla żeglugi śródlądowej szlak.

Z myślą o przyszłości drogi wodnej i znaczeniu wodnego transportu śródlądowego przebiega realizacja projektu „Modernizacja śluz odrzańskich na Kanale Gliwickim, na odcinku w zarządzie RZGW Gliwice – przystosowanie do III klasy drogi wodnej – etap II". Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Gliwicach podpisał 18 października 2017 roku umowę z wykonawcą na modernizację śluz Kanału Gliwickiego, położonych po opolskiej stronie szlaku. Wartość prac modernizacyjnych na śluzach Sławięcice i Nowa Wieś wyniesie 60,3 mln zł, a zadanie zostanie wykonane do początku 2021 roku.

Modernizacja zakłada przebudowę i rekonstrukcję awanportów (miejsc, gdzie jednostki pływające oczekują na wejście do śluzy), remont komór wraz z dnem oraz odnowienie wszystkich budowli inżynieryjnych śluz. Śluzy uzyskają nowe wrota, automatykę sterującą oraz instalacje elektryczne. Uporządkowaniu ulegnie również infrastruktura wokół obiektów – drogi dojazdowe, instalacje wodociągowe i kanalizacyjne. Modernizacja zabytkowych obiektów realizowana będzie w uzgodnieniu z Opolskim Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków.

Jak podkreślają przedstawiciele Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Gliwicach, prace modernizacyjne nie zakłócą żeglugi na Kanale Gliwickim – komory śluz będą wyłączane z użytkowania na okres modernizacji pojedynczo.

Całkowity koszt realizacji II etapu modernizacji śluz odrzańskich Kanału Gliwickiego wyniesie ponad 110 mln zł z czego 93 mln zł pokryje dofinansowanie z Unii Europejskiej.

18 października 2017 r. - podpisanie umowy z wykonawcą prac budowlanych przez Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Gliwicach na modernizację śluz Kanału Gliwickiego.

Projekt "Modernizacja śluz odrzańskich na Kanale Gliwickim, na odcinku w zarządzie RZGW Gliwice - przystosowanie do III klasy drogi wodnej - etap II" jest współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Funduszu Spójności w ramach POIiŚ 2014-2020.

eprasa.pl 6ed2495ad6

Rafał A. Ziemkiewicz

Totalna prostracja

Partia Grzegorza Schetyny nie tylko nie pozyskuje zwolenników. Nie zauważa nawet, że zaczyna się kruszyć jej twardy elektorat

Od teraz nie jesteśmy już totalną opozycją, lecz totalną propozycją – oznajmił Grzegorz Schetyna na konwencji swojej partii, proponując wyborcom wiele obietnic. Obietnic już na pierwszy rzut oka mało wiarygodnych. Dlaczegóż na przykład mieliby Polacy uwierzyć, że PO szczerze chce rozszerzenia programu „500+", na którym nie zostawiała suchej nitki, albo że naprawdę odbuduje emerytalny filar kapitałowy, który sama zniszczyła?

Opozycja czy „propozycja" PO nawet nie próbuje ukryć, że nadal myśli się w niej na sposób zaprezentowany kiedyś publicznie przez byłego eurokomisarza Janusza Lewandowskiego, który indagowany przez szkolną dziatwę o obiecane złote góry z rozbrajającym cynizmem rzekł, że „te durne raczej" obietnice „to była przecież kampania wyborcza". Nieco podobnie zachowała się teraz Julia Pitera, która komentując konwencję swej partii w Radiu RMF FM, gdy okazało się, że sama nie rozumie jednej ze składanych w programie PO obietnic i nawet o niej nie słyszała (chodziło o tajemniczy „bon turystyczny"), odpaliła, że programów i tak poza dziennikarzami nikt nie czyta i nie chodzi o to, tylko o „ogólną wizję".

Ogólna wizja PO nie uległa zmianie, jest prosta i jasna: „Powstrzymamy marsz PiS w kierunku państwa totalitarnego!", „Odzyskamy władzę", „Odsuniemy ich od rządów". W istocie jest to wciąż jedyny wyraźny przekaz „totalnej opozycji": chodzi o to, żeby nie rządzili oni, bo oni to średniowiecze, reżim gorszy od Stalina itd. Jednak ostatnie dwa lata pokazały, że to przekaz dalece niewystarczający nie tylko do wygrania z PiS, lecz także nawet do utrzymania przy sobie wyborców z roku 2015.

Skądinąd Platforma nie zmienia swej „antypopulistycznej" retoryki i nie przestaje pozować na partię wolnego rynku – jakby puszczała oko do swego „żelaznego" wyborcy: „Wy, nasi zwolennicy, jesteście ludźmi na poziomie, ale wiecie, żeby wygrać z populistami, musimy jakoś zbajerować tych matołów, co ich sobie PiS kupił za »500+«". Być może jest to skuteczny sposób, by przekonani wyborcy bez oporu przełknęli skrajny populizm swej „prorynkowej" partii, ale w szerszym odbiorze PO wydaje się zachowywać wobec „roszczeniowych" Polaków jak sławny Radziwiłł „Panie Kochanku", rozdający w „Pamiątkach Soplicy" prezenty ze słowami: „Naści, durniu!" czy „Darujęć, kpie!". Tyle że magnat obrażając, nie obiecywał gruszek na wierzbie, ale rzeczywiście obdarowywał.

Jeśli więc konwencja miała otworzyć PO drogę do pozyskania „centrowego" elektoratu i przyłączenia go w przyszłości do swych żelaznych, antypisowskich wyborców, analogicznie do tego, co udało się w 2015 r. Prawu i Sprawiedliwości, to trudno wróżyć tej próbie sukces. Ujawnia ona raczej zjawisko, które psychologia nazywa prostracją – skrajne wyczerpanie psychiczne, stan całkowitego załamania.

EROZJA

W stanie totalnej prostracji partia Grzegorza Schetyny wydaje się nie zauważać, że nawet ten żelazny elektorat zaczyna się jej kruszyć. I że zamiast marzyć o rozszerzeniu stanu posiadania przez oczarowanie wyborców „głosujących portfelem" (pomińmy już, jak głupio to robi), musi zmierzyć się z zagrożeniem utraty tego, co jeszcze ma.

Jak dotąd Platforma swój „twardy" elektorat usilnie coraz bardziej „utwardzała". Czuła się do tego zmuszona przez konkurencję – lewicę i Nowoczesną, których liderzy cieszyli się większą niż Schetyna życzliwością nienawidzących

eprasa.pl 6ed2495ad6

FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/FORUM

PiS mediów, a mniej mieli do stracenia. Polityczna konkurencja drogę do zwycięstwa widziała w przyjęciu narracji maksymalnie radykalnej, w przelicytowaniu PO w nienawiści do „reżimu" i wezwaniach do „obrony demokracji". A że na dodatek także „liberalne" media tą samą metodą walczyły o uwagę „antypisowskiego" odbiorcy, w szybkim czasie narracja „totalnej opozycji" doprowadzona została do groteski i absurdu.

Dwa dni przed konwencjami partii opozycyjnych doszło do nieszczęścia, które pokazało różnorakie skutki tej sytuacji. Pod warszawskim Pałacem Kultury podpalił się 54-latek, rozrzuciwszy wcześniej odezwę wyliczającą kilkanaście „zbrodni reżimu", przeciwko którym chciał w ten dramatyczny sposób zaprotestować. Cała lista jest doskonałym streszczeniem propagandy „totalnej opozycji" i jej mediów z ostatnich dwóch lat – rozmontowywane praworządności, niszczenie Puszczy Białowieskiej, pozbawianie Polaków wolności itd. Niewspółmierność propagandowych frazesów, których chyba sami ich twórcy nie odbierali zbyt poważnie, do tragedii, jaką jest samobójcza śmierć w płomieniach (desperata zdołano odratować, ale uszczerbek na zdrowiu jest znaczny), sprawiła, że część obozu „totalnej opozycji" zawahała się przed wykorzystaniem samospalenia do rutynowej walki z rządem. Druga część, bardziej radykalna, ochoczo skorzystała z okazji, aby wykreować desperata na świętego męczennika – działacze Partii Razem i radykalnych odprysków KOD zaczęli odprawiać w miejscu zdarzenia uroczyste warty i apele, a po całej Warszawie palić znicze i rozkładać kopie wspomnianej odezwy „zrozpaczonego patrioty" (określenie red. Żakowskiego), radykalnie antypisowskie media zaś budować narrację mającą zdjąć z niego odium szaleństwa (owszem, od ośmiu lat leczył się psychiatrycznie, ale nie ma to związku z jego czynem – ogłosił portal OKO.press).

SZALEŃCZY RADYKALIZM

Skutek polityczny postępku niedoszłego samobójcy jest jednak taki, że w miarę dotąd zgodny anty-PiS zaczął obrzucać się nawzajem oskarżeniami. Coraz bardziej oszalały z nienawiści do Kaczyńskiego i Dudy redaktor naczelny „Newsweeka", Tomasz Lis, zirytowany faktem, że „przełomowy moment w walce z reżimem" (określenie prof. Hartmana) nie stał się tego dnia jedynką „Faktów" i osią programu TVN24, co gorsza, następnego dnia goszczono w stacji Beatę Szydło i traktowano ją z elementarnym szacunkiem należnym premier, zaatakował stację z Wiertniczej, iż nadaje „przekazy dnia z Nowogrodzkiej" i że jej nową linią „realizowaną od jakiegoś już czasu" jest podlizywanie się władzy.

Sam Lis jednak też dał się w radykalizmie przelicytować. Chociaż już prawie każda okładka jego tygodnika jest antyrządowym plakatem, to nigdy np. nie wpadł na pomysł, by pociągnięcie do odpowiedzialności osób, które próbowały zakłócić manifestację ONR (co nie byłoby możliwe, gdyby na manifestację tę zgody nie wydała wiceprzewodnicząca PO Hanna Gronkiewicz-Waltz), porównać na którejś z nich z „procesem szesnastu". A tak właśnie zrobiła w poniedziałek po konwencjach partii opozycyjnych „Gazeta Wyborcza".

Radykalny anty-PiS pogrąża się w szaleństwie, pławi się w pełnych ognia odezwach przeciwko przemocy władzy, łamaniu praw człowieka, masowych represjach, wszystko to z pogardą dla rzeczywistości podobną do tej, z jaką prof. Balcerowicz niestrudzenie grzmi o gospodarczej katastrofie i bankructwie, do którego doprowadzili Polskę Kaczyński z Morawieckim. To ostatnie też jest dla PO pewnym kłopotem, bo swoim „głównym ekonomistą" uczyniła bliskiego Balcerowiczowi dr. Andrzeja Rzońcę, w ślad za swym mistrzem ignorującego elementarne dane o polskiej gospodarce, nawet gdy pochodzą z instytucji zachodnich.

Wszystko to trochę przypomina bajkę Stanisława Lema o elektrycerzu Rtęciogłowie, posiadającym takie sprzężenie zwrotne, że zainkasowane ciosy tylko go utwardzały – aż w końcu utwardziły tak, iż zapadła się pod nim ziemia. Stale utwardzany twardy elektorat PO jest już tak twardy, że Platforma staje się dla niego za miękka. Z kolei rozsądniejsi liberałowie, choć ich sympatia do PiS nie wzrasta, zniechęcają się do PO, widząc, jak ściągana jest przez radykałów na margines śmieszności, tracąc szanse na odegranie w przyszłości jakiejkolwiek roli. Tutaj z kolei dobrym przykładem jest wywiad Marcina Mellera dla Onetu, w którym były redaktor naczelny „Playboya" stawia PO te same zarzuty, które pięć lat temu stawiali PiS rozgoryczeni publicyści konserwatywni: że Schetyna i jego ludzie w ogóle nie myślą o odzyskaniu władzy, wystarcza im, że dzięki utrzymywanym w permanentnej histerii świrom mogą sobie dostatnio żyć z „walki z reżimem".

PO – usiłując być jedynym antypisem i nie mając na to żadnego nowego pomysłu, chcąc zachować status partii liberalnej i pozyskać elektorat „roszczeniowy", utrzymać przy sobie radykałów kipiących od antypisowskiej histerii i funkcjonować jako poważna partia parlamentarna – staje się w istocie „totalną prostracją" i brnie w ślepy zaułek. Wciąż ma pieniądze i struktury, ale jeśli nadal będzie wszystkich rozczarowywać, to wykreowanie na kilka miesięcy przed wyborami parlamentarnymi jakiejś nowej „demokratycznej" siły, na wzór En Marche! Macrona, może ją zupełnie zniszczyć. A jak głoszą plotki, „motorówka", która takiego Macrona ma w odpowiedniej chwili liberalnym wyborcom dostarczyć, jest już przygotowywana, choć casting na niego samego na razie nie przynosi rezultatów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Nie płakałem po Sroce

Piotr Gociek

Wymiana dyrektor Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej to dobry początek. Jednak by rozbić koterie w polskim kinie, potrzebne są dużo większe zmiany. I odporność na lobbing w szeregach dobrej zmiany

Należało się. Nie tylko za podpis pod bezpodstawnym donosem na Polskę – rzecz sama w sobie skandaliczna, gdy chodzi o szefa państwowej instytucji, jaką jest Polski Instytut Sztuki Filmowej. Magdalena Sroka nie powinna kierować instytutem przede wszystkim dlatego, że podobnie jak jej poprzedniczka Agnieszka Odorowicz pilnie dbała o to, by PISF był zabawką do wyłącznego użytku wąskiego kręgu krewnych i znajomych królika. Kinowy establishment w Polsce to kasta jeszcze bardzie nadzwyczajna od sędziowskiej – dostać się do niej można jedynie poprzez proces kooptacji ze strony jej zasiedziałych członków.

JAK TEN BIZNES DZIAŁA

Polski Instytut Sztuki Filmowej dysponujący wielomilionowym budżetem działa wedle mechanizmów, które znamy z innych obszarów kultury III RP, choćby z wydawniczo-recenzenckiego matriksa konglomeratu „Wyborcza"–„Polityka"–„Newsweek"–TVN plus kilka/kilkanaście zaprzyjaźnionych wydawnictw. Kto zyska akceptację tego klubu, ten już o rozgłos martwić się nie musi: recenzje, wywiady, promocja, nagrody (z Paszportami „Polityki" i nagrodą Nike włącznie). Do niedawna dochodziły do tego automatycznie dotacje i granty z ministerstw oraz instytucji państwowych, a także przyznawane niemal z automatu wsparcie Instytutu Książki wysyłającego delikwentów na zagraniczne targi i dofinansowującego przekłady.

Dla rynku filmowego istnienie PISF jest jednak ważniejsze od opisanego wyżej combo wzajemnej adoracji na rynku wydawniczym, bo biznes filmowy jest bardzo drogi – tutaj nawet góra pochlebnych recenzji nie jest w stanie zamienić się w strumień gotówki płynący z kas kinowych. Najważniejsza jest dotacja. Producentów i reżyserów działających z powodzeniem poza systemem można policzyć na palcach jednej ręki – jednym z takich wyjątków jest np. Patryk Vega.

Zmieniają się komisje, ale zasady zostają te same: w tym roku Jurek, Kasia i Agnieszka dadzą pieniądze Jankowi, w kolejnym Janek, Jurek i Kasia dadzą pieniądze Agnieszce. Osoba kierująca PISF jest w tym układzie kluczowa, bo niezależnie od rekomendacji komisji samodzielnie decyduje o wysokości dotacji. Proszę przejrzeć uważnie informacje o dofinansowanych projektach znajdujące się na stronie internetowej instytutu. Mniej ważne jest to, czy figurują tam oceny „dobry", „bardzo dobry", „przeciętny". Najważniejsza jest ta rubryczka, w której pojawia się decyzja szefa PISF.

Aby poddani nie buntowali się nadmiernie, król musi rządzić w miarę łaskawie. Prominentne figury salonu dostają więc pieniądze duże, a rozmaicie początkujący adepci – małe, ale jakieś jednak dostają. I biznes się kręci. Zawsze lepiej zmilczeć i dostać się na karuzelę z małym ciasteczkiem w dłoni, niż w ogóle wylecieć z placu zabaw. Łykając okruszki, można zaś łypać z zazdrością na lepiej ustawionych, którzy dostają tort. Większości filmów dotowanych przez PISF zwykły widz nie widział nawet na oczy, bo są to produkcje

eprasa.pl 6ed2495ad6

hermetyczne, niszowe, „festiwalowe" – ale pieniądze rozdzielono, bo koledzy i koleżanki muszą przecież z czegoś żyć i coś tam muszą wpisać do CV jako „projekt zrealizowany".

Czasem słusznie, bo projekt dobry, ale czasem tylko za poprzednie zasługi, a bywa, że i za wysługę lat oraz cierpliwość. No i za słuszność. Scenariusz odrzucony w jednym roku wraca po kosmetycznych przeróbkach za rok, czasem za kilka lat – i sprawa załatwiona. Tak było z projektem „Kadisz" Pasikowskiego: skandalicznie tendencyjny i zły scenariusz poleżał kilka lat w szufladzie, gdzie magicznie zamienił się w „Pokłosie" – i już dotację dostał. Jerzy Stuhr poawanturował się trochę w mediach, że zły PISF nie chce mu dać pieniędzy na film „Obywatel" – i już sytuacja się zmieniła. Chociaż każdy, kto widział tę produkcję, musi przyznać, że lepiej było przyznać dotację na ekranizację książki telefonicznej. Najnowszy przykład nieznośnej, słabej agitki dofinansowanej „za zasługi" to film Andrzeja Jakimowskiego „Pewnego razu w listopadzie", surowo recenzowany tydzień temu na łamach „Do Rzeczy" przez Andrzeja Horubałę.

Lista projektów uznanych za niesłuszne, więc przez PISF ukatrupionych, jest powszechnie znana: „Smoleńsk" Antoniego Krauzego jest najgłośniejszym przykładem. I najbardziej dowodzącym hipokryzji gremiów decyzyjnych PISF. Nawet jeśli oceniający scenariusz eksperci mieli prawo uznać go za tendencyjny (ja tak nie uważam), to dlaczego za tendencyjne nie uznawali serii filmów fałszujących historię relacji polsko-żydowskich: „Pokłosie", „Ida", „Ziarno prawdy", „W ciemności"? To tylko część problemu. Dlaczego bowiem PISF dofinansowuje zwyczajnie głupie filmy, takie jak musical „#WszystkoGra"? Nie protestuję z nienawiści do komercji, cenię dobrze zrobione kino rozrywkowe. Chodzi mi tylko o równość szans – jeżeli chała Agnieszki Glińskiej mogła dostać pieniądze, to Patryk Vega powinien tym bardziej, bo jego chały lepiej się ogląda.

WYWRÓCIĆ STOLIK

Czas najwyższy przewrócić ten stolik i dymisja szefowej PISF jest bez wątpienia krokiem w dobrym kierunku. Tak samo jak rozsądnym krokiem było rozszerzenie listy ekspertów PISF przeforsowane przez Ministerstwo Kultury kierowane przez prof. Piotra Glińskiego. Proszę sobie poczytać w archiwach histeryczne nagłówki „Wyborczej" i TVN z tamtego czasu: „Prawicowi publicyści na liście ekspertów PISF". No i jakoś niebo się nie zawaliło. Inna sprawa, że kierownictwo instytutu uważnie pilnowało, żeby „nieprawomyślni" eksperci trafili głównie do drugorzędnych komisji dzielących pieniądze na filmy dokumentalne albo na stypendia scenariuszowe. Prawdziwa kasa, czyli tzw. duża produkcja, została w rękach tych co zawsze.

Miałem zaszczyt przez cały rok 2016 pracować jako ekspert w jednej z komisji PISF i nauczyłem się przez ten czas o funkcjonowaniu polskiego biznesu filmowego więcej niż przez 20 lat pisania recenzji i jeżdżenia na festiwale. Przede wszystkim zobaczyłem na własne oczy, jakie pieniądze są w grze, nawet na początkowych etapach produkcji. Wnioski, w których pan X życzył sobie 150–200 tys. zł za scenariusz plus dopisywał 50 tys. na „poprawki scenariuszowe", plus jeszcze drugie tyle na „zbieranie materiałów", nie należały do rzadkości. Dowiedziałem się też, że najlepiej dostać pieniądze na napisanie scenariusza, który nie zostanie zrealizowany – ot, wychodzi z tego wtedy takie ekstrastypendium artystyczne.

Zobaczyłem też – niestety – jak mało dobrych scenariuszy trafia do PISF i jak żenujące propozycje potrafią przysyłać nawet uznani twórcy. Dziwnym trafem powracały po jakimś czasie opatrzone pochwalnymi recenzjami wewnętrznymi innych ekspertów. Zadziwiło mnie to, jak wiele projektów to koprodukcje, które o pieniądze z polskiej instytucji państwowej nie powinny się ubiegać – bohaterowie, miejsce akcji, fabuła nie miewali nic wspólnego ani z Polską, ani z polską kulturą. Bez wątpienia potrzebne są tu ostrzejsze sita.

CO DALEJ?

Minister kultury poszerzył grono ekspertów, zmienia szefa PISF, obóz dobrej zmiany szuka nowych sposobów na stymulowanie produkcji filmowej i prowadzenie polityki historycznej wspólnie z polityką kulturalną. Wykorzystuje istniejące instytucje, próbuje nowych pomysłów – właśnie ogłoszono wyniki konkursu na scenariusz filmu o historii polski. Inicjatorem był wicepremier Gliński, wykonawcą – Narodowe Centrum Kultury. Co dalej?

To najważniejsze pytanie. Widzę dwa cele, które są ze sobą na pozór sprzeczne: po pierwsze trzeba zaostrzyć kryteria przyznawania dotacji i skończyć z finansowaniem „za wysługę lat i dawne zasługi". Już słyszę wycie „Wyborczej", „Polityki" i TVN, kiedy wprowadzimy tę zasadę: „Dobra zmiana rujnuje polskie kino, popatrzcie, ile się kiedyś produkowało, a ile teraz!". Cel drugi to jednoczesne zwiększenie polskiej produkcji filmowej przez wzmocnienie tego, co najbardziej kuleje: inteligentnego mainstreamu kinowego. Wzmocnienie – mówię – ale nie zastąpienie nim produkcji ambitnych i poszukujących. PISF po prostu musi wspierać pełne spektrum przedsięwzięć.

Jednak sam PISF nie wystarczy. Telewizja publiczna musi być na tyle silna, by stanowić drugą nogę systemu produkcyjnego – szczególnie jeśli chodzi o wspomniany przeze mnie inteligentny kinowy mainstream, który po dystrybucji kinowej wieść powinien długie drugie życie w telewizji. Jednocześnie likwidowanie politycznego przechyłu w lewo nie może iść w parze z nadmierną pobłażliwością dla propozycji drugiej strony światopoglądowego sporu. A takie zagrożenie istnieje. Od wygrania przez PiS wyborów rozmaici filmowi pieczeniarze zasypują PISF propozycjami chałtur patriotycznych, których jedynym uzasadnieniem jest, „że Piłsudski (ewentualnie wpiszcie inne nazwisko) wielkim Polakiem był, więc należy mu się film". Wśród propozycji nadesłanych na konkurs scenariuszowy NCK (czytałem, byłem jednym z jurorów) ze zgrozą odkryłem rozmaite projekty „słuszne po nowemu" (często firmowane przez ludzi z prawej strony), których poziom profesjonalizmu pozostawiał niestety wiele do życzenia.

Najlepiej dostać pieniądze na scenariusz, który nie zostanie zrealizowany. Ot, wychodzi z tego wtedy takie ekstrastypendium artystyczne

Nie mam złudzeń – obecna władza będzie (już jest) tak jak poprzednia przedmiotem lobbingu ze strony „swoich". Rozbicie układów w PISF może się okazać tylko dobrym złego początkiem, jeśli słuszne będzie wygrywało z dobrym. Przed resortem kultury zadanie trudniejsze, niż komukolwiek się tam wydaje. Łatwo powiedzieć „nie" nowemu „Pokłosiu". Jednak czy równie twarde „nie" usłyszą producenci nowej „Bitwy pod Wiedniem"?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

FOT. MAKSYMILIAN RICAMONTI/FORUM

Z Krzysztofem Ziemcem, dziennikarzem TVP1, publicystą
rozmawia Wojciech Wybranowski

To był akt zemsty

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Skąd się wziął pomysł na napisanie książki o Ukraińcach wysiedlanych w ramach akcji „Wisła” w 1947 r.? Temat trudny i drażliwy.

KRZYSZTOF ZIEMIEC: Z serca, z wrażliwości na ludzką krzywdę, po prostu tak mnie w domu ukształtowano. I od razu chciałbym zaznaczyć, że nie mam z tymi wydarzeniami nic wspólnego, tzn. ani nie mam ukraińskich korzeni, ani nawet nie pochodzę z tamtych stron. Chciałem pokazać, jak jednostka jest bezsilna w obliczu odgórnych, często bardzo brutalnych decyzji politycznych. To siedziało we mnie głęboko od lat 80., kiedy po raz pierwszy wyjechałem w Bieszczady i tam dowiedziałem się, co działo się na tych ziemiach.

Hejterów nie przekonasz. Mogę się założyć, że częste będą głosy w rodzaju: „Banderowiec Ziemiec, długo się maskował”.

Też myślałem, że taka sytuacja może się zdarzyć, ale mam nadzieję, że jednak nie. Jeśli zajrzą do książki, to szybko się przekonają, że tak wcale nie jest i że ta książka opisuje relacje świadków tamtych wydarzeń. To jest reportaż, w którym ani nie chciałem, ani nie próbowałem niczego zmieniać, stawać po którejś ze stron.

Pomyślałem sobie, że mam ostatnią szansę, by losy tych świadków historii, ludzi przecież w podeszłym wieku, często stojących już nad grobem, uwiecznić. Ocalić od zapomnienia. To przecież część naszych polskich losów. Nie chciałem, by była to książka historyczna ani publicystyczna. To zbiór dziennikarskich opisów, w których nie oceniam, nie moralizuję. Moim zamiarem było – i myślę, że udało mi się to zrealizować – po prostu dotrzeć oraz porozmawiać z ludźmi, których w ramach akcji „Wisła” wysiedlono z ojcowizny. Tak, by bez polityki i politykierstwa przedstawić ich losy takimi, jakie były naprawdę.

Rozdrapujesz rany, szkodzisz pojednaniu polsko-ukraińskiemu. Takie argumenty słyszą ci, którzy przypominają o ukraińskich zbrodniach na Wołyniu. I one padną zapewne pod twoim adresem.

Wydaje mi się, że wprost przeciwnie. Ta książka nie jest pisana z żadną tezą i każdy, kto ją przeczyta od początku do końca, będzie miał tego świadomość. Raczej tworzę pewną mozaikę wspólnych i trudnych losów oraz kultur. Opisuję Polskę tużpowojenną. Ludzie, z którymi rozmawiam, świadkowie wydarzeń sprzed lat nie mają dzisiaj w większości do Polski i Polaków żalu, nie czują niechęci. Chociaż oczywiście słychać pewne zdziwienie: „Dlaczego wobec nas zastosowano odpowiedzialność zbiorową? Dlaczego tak okrutnie potraktowano nas, którzy nie mieliśmy z bandami UPA nic wspólnego, a jedyną naszą winą było to, że czasami dawaliśmy im jedzenie, bo jak nie, toby nas rozstrzelali, albo zawiniliśmy tym, że mówiliśmy po ukraińsku, a nie po polsku, albo że chodziliśmy do cerkwi, a nie katolickiego kościoła?”. Zaraz jednak dodają: „Tak musiało pewnie być”. Jest to pewna zgoda na historyczny akt, na który

eprasa.pl 6ed2495ad6

nie mieli wpływu. W ich wspomnieniach pojawia się za to często coś, co określiłbym zwrotem „akt zemsty". Chodzi o to, że trafiali na listy do wywózki, bo padli czasem ofiarą pomówień sąsiada, któremu być może w jakiś sposób się narazili, a który po wojnie zadenuncjował ich UB jako tych, którzy pomagali bandom UPA. Bardzo często była to zemsta, która nie miała nic wspólnego z rzeczywistością.

Jeżeli nie członkami band UPA, jeżeli nie krewnymi ani bliskimi banderowców, to kim są w takim razie bohaterowie twojej książki? Kogo KBW i PRL-owskie władze wysiedlały w ramach akcji „Wisła"?

To bardzo trafne pytanie i myślę, że odpowiedź na nie obali zarzut, który postawiłeś na początku rozmowy – że książka jest proupowska. Nie zdradzę tajemnicy reporterskiej – tego, jak do nich dotarłem – ale przyznam, że musiałem wykonać setki telefonów. Bardzo często docierałem do ludzi starszych, którzy nie bardzo wiedzieli, o co mi chodzi, nie rozumieli, dlaczego rozpytuję o historie sprzed lat. W sumie dobrze się stało, bo dotarłem w efekcie do osób, które albo były ofiarami akcji „Wisła" i którym po latach udało się wrócić do rodzinnych miejscowości, albo tymi, którzy jako rdzenni Polacy przeżyli coś, co daje im podstawy do twierdzenia, że akcja „Wisła" i deportacje Ukraińców były dla nich wszystkich zbawieniem. Dlaczego? Ponieważ trafiłem też do ludzi, którzy byli ofiarami band UPA. W książce znajdziesz wspomnienia np. starszej pani, która straciła matkę, dziadka i babkę, gdy w 1946 r. banda banderowców wpadła do nich do chałupy w celu wybicia ich wszystkich. Zgasło światło, ona uciekła z malutką siostrzyczką na rękach i schowała się w polu, przesiedziała tam całą noc i uniknęła śmierci. Cudem, bo był moment, gdy bojówkarz UPA wyczuł, że coś jest nie tak, że ktoś w tym jeszcze nieskoszonym polu się ukrywa, bo słyszy oddech. Ów żołnierz chrząknął głośno i po ukraińsku powiedział: „Kto tam jest? Odezwać się, bo będę strzelał". I wtedy odezwał się inny żołnierz UPA: „To ja, załatwiam się. Chcesz zapalić, to idź do chałupy, tam są papierosy". Kobieta, Polka, z którą rozmawiałem, mówiła, że trwało to kilka sekund, ale dla niej była to wieczność. Dla takich jak ona akcja „Wisła" była wybawieniem od kolejnej groźby śmierci. Podobnie – co może niektórych dziwić – teraz po latach mówią też sami Ukraińcy, bo przymusowe przesiedlenia paradoksalnie oznaczały dla większości z nich też wybawienie od życia w ciągłym strachu.

Mówisz, że twoi rozmówcy często byli niewinnymi ofiarami PRL-owskich represji, że nie mieli nic wspólnego z UPA, ale na Podkarpaciu ciągle silny jest strach przed ukraińskimi nacjonalistami. Ktoś tam dziś odbudowuje pomniki upowskie, wypisuje antypolskie hasła...

Nie przemilczam tego, jest to też jeden z wątków mojej książki. Mieszkając w centralnej Polsce, nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak to, o czym mówisz, jest tam żywe. W książce jedna z pań wspomina, że gdy była mała, w lasach paliły się światełka. Pytam: „Dlaczego?". Ona mówi, że nie bardzo wie, ale „w lasach były zawzięte walki, tyle ludzi zginęło, może ktoś palił im znicze". Dopytuję: „Kto? Polacy? Ukraińcy?". Na to ona: „Nie wiem, panie, ale może Ukraińcy, bo jak się zaczęła ta »rozróba« w Kijowie – tak nazwała Majdan – to wie pan, ile tu teraz osób głowy podniosło i są dumni, że są Ukraińcami?". I mówiła to z pewną obawą i niechęcią. Mam wrażenie, że to, o czym wspomniałeś, a co przez lata było trochę na siłę zakopywane, o czym nie wolno było mówić, teraz rzeczywiście w niektórych środowiskach odżywa. Ludzie, którzy byli przesiedleni, z kolei wspominają, że oni – szczególnie przez pierwsze lata po deportacji – mieli absolutny zakaz powrotu do ojcowizny; zresztą bardzo często nie mieli gdzie wracać, bo ich dobytek spalono. Co więcej – mieli zakaz mówienia, skąd są i dlaczego zostali wysiedleni np. na dawne Prusy. Tam z kolei uprzedzano miejscowych, że przyjadą do nich ci straszni banderowcy, więc lepiej, aby uważali. Zastraszano w ten sposób wszystkich. Z rozmów, jakie odbyłem, wynika, że być może rzeczywiście trochę powraca poczucie własnej tożsamości, przynależności do ukraińskiej społeczności, czego musieli się wyzbyć, że wracają te wspomnienia sprzed lat i niektórzy Polacy się tego zjawiska obawiają. Chociaż nie wiem, czy słusznie.

Wchodzisz w buty „symetrysty". Teraz, kiedy Polacy po latach odkrywają na nowo historię ukraińskich zbrodni na Podolu i Wołyniu, ty przypominasz o akcji „Wisła", której notabene w żaden sposób nie można porównywać do wołyńskiego ludobójstwa.

Nie widzę niczego złego w „symetryzmie". Reporter, który chce być uczciwy, musi widzieć wszystko szerzej. Pojechałem w Bieszczady z dyktafonem i notesem w ręku, nie do końca wiedząc, kogo spotkam. Myśląc, że porozmawiam z tymi, którzy zostali wysiedleni. A okazuje się, że w końcu powstała książka również o tych, którzy zostali na miejscu, ale bardzo mocno przeżyli to, co widzieli w 1947 r. i tuż po wojnie. Piszę też w mojej książce, że decyzje o akcji „Wisła" zapadły najprawdopodobniej w Moskwie, nawet nie w Warszawie, nie próbuję pudrować historii, tylko pokazać ją taką, jaka była. Dzisiaj, po 70 latach, nie do końca zdajemy sobie sprawę, jak niemal filmowym „Dzikim Zachodem" były wówczas tereny południowo-wschodniej Polski i dawnych Prus Wschodnich, gdzie się później znaleźli. Gdzie naprawdę obok band UPA grasowały bandy zwykłych brutalnych rabusiów, ochraniane często przez lokalne urzędy UB oraz miejscową milicję, które kradły, gwałciły i paliły.

Pamięć o Wołyniu wraca dopiero teraz, odżywa w młodym pokoleniu Polaków. A jak to wygląda w przypadku dzieci osób wysiedlonych w akcji „Wisła"?

Dobre pytanie. Niestety, ich dzieci mają to… w nosie. Nie są w większości tym zainteresowane. Albo wyjechały za granicę i jako ludzie o ukraińskich korzeniach np. dobrze zostały przyjęte przez Kanadę, albo wyjechały z malutkich miasteczek do pracy w dużej aglomeracji i ułożyły sobie życie wśród Polaków i nie chcą do tego wracać. Pytałem o to. Odpowiedź młodych była ta sama: „Dajcie spokój, nie chcemy do tego wracać. Było, minęło". Może trzeba kilku pokoleń, by to wróciło, tego nie wiem.

A ty po spotkaniu z ludźmi, którzy z jednej strony padli ofiarą ukraińskich band i z drugiej tych, którzy stali się ofiarami PRL-owskich represji, widzisz możliwość pełnego pojednania Polaków i Ukraińców?

Tylko prawda nas pojedna. To stara i mądra sentencja. Żeby tak się jednak stało, potrzebna jest wola obu stron. Z doświadczeń ludzi, których spotkałem, widzę, że zadra jest, i to po obu stronach, ale mimo wszystko chęć pojednania jest znacznie większa. Absolutnie wszyscy podkreślają jednak, że do II wojny żyli w zgodzie i asymilacji. Tworząc wspólnie wyjątkowy koloryt II RP.

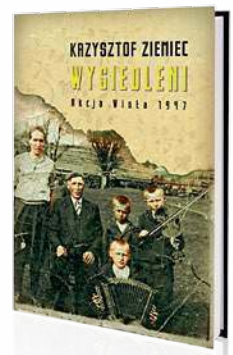

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragmenty książki Krzysztofa Ziemca „Wysiedleni. Akcja »Wisła« 1947" wydanej nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka znaleźć można na stronie: www.dorzeczy.pl.

eprasa.pl 6ed2495ad6

W jednym z ostanich odcinków „Ucha prezesa" zasugerowano romans między Borysem Budką a Kamilą Gasiuk-Pihowicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ucho na zakręcie

Marcin Makowski

„Ucho prezesa" to satyryczny fenomen. Żaden fenomen nie trwa jednak wiecznie. Szczególnie gdy zaczyna zjadać własny ogon

Antoni Dudek we wstępie do „Historii politycznej Polski 1989–2015" pisze, że wśród historyków w różnych wersjach krąży następująca anegdota: „Co by się stało, gdyby po katastrofie, która zniszczyła naszą cywilizację, odnaleziono tylko jedno źródło do dziejów Polski w początkach XXI w.? Na przykład rocznik »Gazety Wyborczej« albo »Naszego Dziennika«?". Wniosek jest dosyć oczywisty. Przypadek zadecydowałby o tym, kto będzie głównym bohaterem przyszłych podręczników – Donald Tusk czy Jarosław Kaczyński. Od pewnego czasu nurtuje mnie jednak nieco inne pytanie: Co by się stało, gdyby zamiast prasy ktoś odnalazł pełne archiwum „Ucha prezesa"?

Oczywiście kabaret to nie medium informacyjne. Gdyby jednak oceniać dzieło Roberta Górskiego jedynie po opinii polityków opozycji, można by przyjąć, że akurat on jeden posiada tajemnicze właściwości profetyczne. Odsłania kulisy partyjnych gierek, demaskuje brudne zagrywki władzy, ba! – wpływa na rzeczywistość. W końcu pojęcie „adrianizacja prezydentury" zostało wykreowane właśnie przez „Ucho…", które z gagu o prezydencie Dudzie pokornie czekającym na swoją kolejkę do pokoju prezesa Kaczyńskiego uczyniło temat wagi państwowej. Trudno jednak uważać, że obóz prezydencki zdecydował się na emancypację z powodu kabaretu.

Niestety, przeświadczenie o realnym wpływie na polską scenę polityczną, podsycane zresztą przez polityków Zjednoczonej Prawicy, którzy udowadniając swoje poczucie humoru, ochoczo komentowali w mediach kolejne odcinki serialu, z czasem stało się jego największym obciążeniem. Twórcy, a wraz z nimi opinia publiczna, uwierzyli, że uczestniczą w wyjętym spod cenzury spektaklu, który być może coś tam pomylił z kotem szefa PiS pijącym mleko, ale jednak wiernie oddaje niedostępne dla zwykłego śmiertelnika relacje wewnątrz obozu władzy. Nasi postapokaliptyczni rodacy oglądając „Ucho prezesa", musieliby zatem założyć, że prawica była zjednoczona jedynie z nazwy, na premier wybrano bezwolną marionetkę, natomiast prezydent to pocieszna polityczna wydmuszka bez charakteru. Z kolei większość ministrów, poza demonicznym Antonim Macierewiczem, nie kiwnie palcem, bez woli przedstawianego w entourage'u bondowskich „geniuszy zła" Kaczyńskiego. Gdzieś w tym wszystkim znajduje się jednak sporo prawdy o mechanizmach władzy.

A MIAŁO BYĆ TAK PIĘKNIE

Tak przynajmniej było, jeśli chodzi o pierwszy sezon kabaretu. Od czasu do czasu dobrze oddawał nerw polskiej polityki. Przede wszystkim jednak rozładował tkwiący w sporej części społeczeństwa ładunek antypisowskich emocji. Prezes zaczął bardziej śmieszyć, niż przerażać (co z czasem okazało się przemawiać na jego korzyść), prezydent budził politowanie, gabinet ministrów

eprasa.pl 6ed2495ad6

przypominał pocieszne „The Muppet Show". Każdy czymś się wyróżniał, a adekwatny dobór aktorów podkręcał wrażenie realizmu. Niestety, im dalej w las, tym więcej wątków zdawało się rozjeżdżać z aktualną polityką. Kluczowa w zrozumieniu kryzysu formy „Ucha prezesa" wydaje się przerwa wakacyjna pomiędzy sezonami.

Właśnie wtedy wydarzenia prześcignęły nie tylko wyobraźnię wielu polityków, lecz także oczekiwania scenarzystów. Przecież wszystko było poukładane, każdy znał swoją rolę, serial funkcjonował jak naoliwiona maszyna. Wystarczyło dorzucać kolejnych znanych polityków, okazjonalnie podśmiechując się również z opozycji, w której wszyscy chcieli siedzieć na fotelu lidera. Może poza Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, który zamiast chwytów poniżej pasa, marzył o naiwnej ponadnarodowej zgodzie. Gdy zatem przyszły weta, a za nimi konflikt w obozie prawicy i trudne do wyjaśnienia strefy wpływów oraz wzajemnych antypatii w – zdawałoby się – autorytarnym monolicie, Robert Górski z kolegami bezradnie rozłożyli ręce. I popełnili ten sam grzech co satyrycy dwa tysiące lat wcześniej. Wybrali dosłowność.

Od razu uspokajam, nie mam zamiaru ciągnąć w tym momencie państwa za uszy przez wzloty i upadki komedii antycznej, ale jeśli historia może być nauczycielką życia, to może również wskazywać ślepe uliczki polskich kabaretów. Otóż komedie i satyry starogreckie oraz rzymskie właściwie od początku brały na tapetę wątki polityczne i społeczne. W jakiejś mierze Arystofanes, Plaut czy Terencjusz odtwarzali przecież swoiste „Uszy dyktatorów, senatorów i cezarów". Z czasem, w nurcie, który znawcy sztuki określają jako „komedia średnia", rozwinęła się również komedia charakterów. W amfiteatrze, bez względu na to, kogo by akurat krytykowano i jakie zachowania społeczne wyszydzano, znajdował się archetyp sprytnego niewolnika, zakochanego młodego chłopaka, despotycznego i skąpego ojca, heretyka czy ulicznego pieniacza. Zaczęto odważnie przedstawiać pałacowe intrygi, które w starożytnym Rzymie wyewoluowały w prawdziwą krytykę zepsutych obyczajów ludzi władzy. W tym sensie cieszący się na scenie immunitetem aktorzy mogli powiedzieć więcej. Niejednokrotnie przy tym wstawiając się za niższymi warstwami społecznymi oraz zwracając uwagę na podły los niewolników.

Ten rodzaj politycznie zaangażowanego kabaretu, określanego ze względu na zakładane przez występujących na scenie togi jako fabula togata, urósł do miana „rzymskiej komedii narodowej". Właśnie dlatego że pod płaszczem humoru sytuacyjnego oraz przerysowania przywar – tak jak na początku „Ucho prezesa" – ukazywał tematy istotne i uniwersalne. Pokusy gromadzenia władzy, ślepe uliczki propagandy, małostkowe relacje i motywacje polityków. Portretował ludzi bezwolnych oraz tych, którzy po trupach dążą do celu. Jednak, aby robić to dobrze i utrzymać uwagę kapryśnego odbiorcy, zwłaszcza gdy wydarzenia polityczne zaczynają raptownie przyspieszać, również w Grecji oraz Rzymie zaczęto z czasem chodzić na kompromisy. W tym celu powstał inny gatunek – fabula atellana. Nie był już tak wnikliwy, opierał się głównie na krótkich scenkach satyrycznych, często pospiesznie improwizowanych. Był bardzo rubaszny, przewidywalny, schematyczny i odtwórczy. Czy coś to państwu przypomina?

KTO SIĘ PIERWSZY OBLIŻE?

Pewna cienka granica, dzieląca politycznie zaangażowaną satyrę od rubasznego kabaretu, została przekroczona w odcinku 22 pt. „Gdzie jest lider?". Chociaż cały drugi sezon od początku cierpiał na brak myśli przewodniej, z której naprędce uczyniono radykalizację samego tytułowego prezesa, to romans Borysa Budki i Kamili Gasiuk-Pihowicz był nie tyle bulwersujący, ile po prostu słaby. O tym, że Grzegorz Schetyna nie przepada za Ryszardem Petru (i odwrotnie), a Wiejska jest za mała, aby pomieścić ego obu panów, wiemy nie od dziś. Zamiast jednak skupić się na punktowaniu realnych rozbieżności, postanowiono sięgnąć po wątek z rękawa.

Namiętne uczucie, które bez żadnej zapowiedzi połączyło serialowego „młodego wilczka" PO i Myszkę Agresorkę Nowoczesnej, nijak nie przystaje do autentycznych relacji między partiami. Nikt tam przecież nawet hipotetycznie nie czeka na egzotyczny alians ponad podziałami. Każdy, co zrozumiałe, na pierwszym planie stawia swoje prywatne wpływy i interesy, dlatego jeżeli już Budkę i Gasiuk-Pihowicz miałyby łączyć jakieś emocje, to raczej te, które na mniejszą skalę odzwierciedlają ambicje ich partyjnych przełożonych. Zamiast tego otrzymaliśmy nieco obleśny romans, jak wyjęty z licealnego korytarza, na którym zakochana para gra w grę, w której jedząc pączki na czas, przegrywa ten, kto pierwszy się obliże. I nie jest to jakaś moja gnuśna fantazja, tylko opis jednej z najsłabszych scen w całym serialu.

NADĄŻYĆ ZA POLITYKĄ

Niestety, od pewnego czasu właśnie w tym kierunku zmierza „Ucho prezesa". Chociaż nigdy nie należało do dzieł subtelnych i nie miało litości dla prawicowych polityków, to z czasem wobec braku pomysłów przerysowywanie ich wizerunków przestało być środkiem stylistycznym, a zaczęło być celem samym w sobie. Agata Kornhauser-Duda wrzeszczy na prezesa i jest zazdrosna o atrakcyjną prezydent Chorwacji. „Widziałam, jak do ciebie mruga, a ty się na nią gapisz jak kura na robaka i czekasz, aby go połknąć" – mówi do męża. Każdy, kto poznał ludzi, z którymi pracowała pierwsza dama, wie, że to kobieta stanowcza i pewna siebie, ale równocześnie niezwykle ciepła oraz empatyczna.

Zupełnie niepodobna do przedstawionej przez Roberta Górskiego hetery, która jako jedyna w całym serialu nie daje dojść do słowa Jarosławowi Kaczyńskiemu. Właściwie każdy, może poza świetnie sportretowanym przez Andrzeja Seweryna Jarosławem Gowinem, przypomina w drugim sezonie swoje wynaturzone alter ego, a nie lekko podkręconą karykaturę. Zbigniew Ziobro ujawnia zapędy totalitarne, Jarosław Kurski jak osiedlowy cwaniaczek broni stylu TVP przed wystraszonym własnego cienia Krzysztofem Czabańskim. Beata Szydło zacina się jak za mocno nakręcona pozytywka. „Jak kurczak pieje, to jeszcze nie jest kogut" – mówi Kaczyński o prezydencie Dudzie, który powinien przecież czekać na korytarzu, a nie czeka. „Miałeś chamie złoty róg" – rzuca na odchodne Mariusz Błaszczak, widząc siedzącą na miejscu prezydenta słomianą kukłę. I w żaden sposób, poza naciskiem żony, nie potrafiono tej wolty wyjaśnić. Ot, polityka wyprzedziła kabaret. I jakoś nie mam pewności, że „Ucho prezesa" będzie umiało ową politykę dogonić. A szkoda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Kamienowanie Pazury

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

Łukasz Zboralski

Cezary Pazura publicznie wsparł modlitewną akcję. I od razu został zaliczony do religijnych ortodoksów oraz zwolenników obecnej władzy. Próbował się tłumaczyć, ale skala ataków chyba go przerosła

Czerwone sofy w programie TVN. Cezary Pazura zasiada na jednej jako gość Kuby Wojewódzkiego. Jest śmiesznie, bo prowadzący wyciąga z najnowszej autobiograficznej książki aktora ciekawe wspomnienia z dzieciństwa. Komediowy aktor ze znaną widzom gestykulacją i modulowaniem głosu opowiada o tym, jak mama ubierała go w sukienki czy jak wmuszała mu jedzenie, nawet gdy siedział na nocniku. Jest też wulgarnie, bo w programie roznegliżowane panie przynoszą wodę i prowadzący oraz goście nie ukrywają, że proszą o coś do picia tylko po to, aby sobie popatrzeć na kobietę jak na zwierzę w zoo.

Jest tak jednak tylko do czasu, bo w końcu Wojewódzki zmienia ton i zahacza pytaniem o akcję „Różaniec do granic", którą Pazura publicznie wsparł. Prowadzący potępia „ostentację" w modlitwie. Aktor z kamienną miną musi tłumaczyć, że Kościół to wspólnota i że czasem ta wspólnota razem się modli. – Ale ty wziąłeś udział w inkwizycji – atakuje dalej Wojewódzki, zarzucając, że modlitwa różańcowa była prowadzono po to, aby do Polski nie wpuszczać ludzi innego wyznania. Dokłada zarzuty o polityczny koniunkturalizm, czego dowodem ma być sam fakt wystąpienia aktora w telewizji publicznej.

Pazura podkreśla, że nie jest zaangażowany po żadnej stronie politycznego sporu. W końcu, jakby rozpaczliwie, dorzuca, że wolność w demokracji polega na tym, iż każdy może występować, gdzie chce, i popierać akcje, jakie chce.

Jednak gdy Wojewódzki wtrąca, że w Polsce nie ma wolności, bo łamana jest konstytucja, aktor nie wytrzymuje i wypala: – Ale wiesz, kto ci napisał tę konstytucję? Komuniści ci napisali!

„MODLĘ SIĘ O ZDROWY ROZSĄDEK"

Program Wojewódzkiego był tylko kolejną sytuacją, w której Cezary Pazura musiał ostatnio tłumaczyć się ze swojej religijności i odżegnywać od politycznego klasyfikowania. Zapewne jedną z ostatnich.

Aktor wyraźnie ma już tego dość. – Rozmawiałam z Cezarym i poprosił, żeby przekazać, iż nie wypowiada się już więcej na temat tej akcji i jakichkolwiek poglądów politycznych – odpowiada nam jego żona Edyta Pazura.

eprasa.pl 6ed2495ad6

Trudno mu się dziwić, bo w kraju, w którym dla wielu istnieje tylko jeden mur i dwie strony barykady, taki ktoś jak Pazura – wymykający się jednoznaczności – na siłę został przypisany do jednej ze stron politycznego rozdarcia społecznego.

Wszystko zaczęło się niewinnie. Organizatorzy wielkiej modlitwy różańcowej poprosili Pazurę o jej wsparcie. Zgodził się i za darmo wystąpił w klipie. A w spocie pokazał swój drewniany różaniec, tłumacząc, że modli się na nim zawsze o miłość. Dodawał, że choć o różańcu mówi się „broń", to on tego słowa nie lubi, bo broń ludziom służy też do atakowania innych.

– Dlatego wolę mówić o różańcu, że jest moją tarczą, na której spotykam się z Matką Boską i dzięki której mam porozumienie z całym światem, bo kocham świat i ludzi – tłumaczy w reklamówce akcji. I dodaje: – W tajemnicy powiem, że modlę się też o zdrowy rozsądek, który gdzieś z nas wszystkich wyparował. A zdrowy rozsądek to poczucie piękna, uśmiech, zadowolenie i przede wszystkim miłość oraz zrozumienie dla drugiego człowieka, czyli, jak my mówimy, katolicy, do bliźniego.

KATOL I OBŁUDNIK

Zdrowego rozsądku jednak zabrakło. Pazura, postrzegany do tej pory jako rozrywkowy aktor, często utożsamiany z kreacjami, jakie stworzył w filmach czy serialach, dla niektórych okazał się nagle katolem, fanatykiem i obłudnikiem. Prawicowcy przyjęli go więc nagle jako „naszego", a nielubiący rządów PiS jako wroga.

Jak przedziwna to sytuacja, najlepiej świadczy fakt, że w obronę Pazurę wziął nawet „Newsweek", w którym Elżbieta Turlej rozmawiając ze znajomymi aktora, udowodniła, iż od zawsze był religijny i raczej się z tym nie krył.

Jednak Cezary Pazura wciąż musiał się tłumaczyć. I chyba głównie dlatego, że organizatorzy akcji różańcowej – fundacja Solo Dios Basta – powiedzieli, że modlitwa 7 października, nawiązująca wprost do 100. rocznicy objawień fatimskich, będzie modlitwą o nawrócenie Polaków i pokój na świecie, a także w intencji ochrony przed zagrożeniami: możliwością wybuchu konfliktu zbrojnego w Europie i islamizacją. To ostatnie stało się najbardziej kontrowersyjne w kraju, w którym sporo ponad 90 proc. mieszkańców określa się jako katolicy. Tym bardziej że w medialnych przekazach przesłanie podkręcano i utożsamiano z niechęcią do osób innych wyznań, z zamykaniem się na potrzebujących, nietolerancją i kołtuństwem.

STUHROWI I INNYM

Po raz pierwszy Pazura odpowiadał na zarzuty o reklamowanie akcji jeszcze przed różańcowym wydarzeniem – 3 października w programie „Minęła 20" w TVP Info. Wtedy mówił, że zarzuty dotyczące jego religijności raczej go śmieszą i bawią, ale nie oburzają, bo każdy może mieć swoje zdanie. – Ja się przecież ze swoją religijnością nigdy nie kryłem – mówił. – Nie wiem, skąd nagle takie odkrycie, że Pazura zrobił się katol czy obłudnik. Od siódmego roku życia byłem ministrantem. Nawet byłem prezesem ministrantów – wspominał.

Jednak w oczach niektórych Pazura zamiast się wytłumaczyć, tylko dolał oliwy do ognia. Chociaż nie dyskredytował czarnych marszów kobiet i podkreślał, że na tym polega demokracja, że każdy może głosić, co chce, to jednocześnie wyraźnie opowiedział się jako katolik przeciw aborcji.

A jeszcze dodał, że wojna religijna na świecie wciąż trwa. I w swoim kabarecie naśmiewa się z gender.

„Ty śmieciu PiS-owski" – napisał do Pazury na Facebooku jeden z radnych z Białogardu. Pazura odpowiedział mu na swoim profilu i prosił, by nie wciągać go w debatę polityczną.

Pazurze dostaje się nie tylko od lewicowców za akcję z różańcem. Ci z prawej strony wytykają mu np., że ma już trzecią żonę

Niedługo potem Pazura tłumaczył się ze wsparcia różańcowej akcji na antenie Radia Zet. Znów nie mógł się nadziwić temu, że każdy, kto wspiera jakieś działania religijne czy dobrze się wyraża o Kościele, automatycznie jest przypisywany prawej stronie politycznej, a niewierzący – lewej.

A za chwilę musiał odpowiadać na zarzuty Jerzego Stuhra, który w felietonie w „Gazecie Krakowskiej" skrytykował i akcję, i kolegę. „Jeżeli chociaż jeden głos w modlitwie owego różańca do granic był z intencją, że jest to modlitwa przeciwko islamizacji (a mój kolega Cezary Pazura mówił sam, że on będzie się modlił, żeby islamu w Polsce nie było) – to taki różaniec jest bluźnierstwem" – napisał Stuhr.

Pazura na swoim profilu facebookowym odpowiadał, że nigdy takich słów nie wypowiedział, i poprosił Stuhra o „nierozpowszechnienie podobnych bzdur".

RAZY Z PRAWA, RAZY Z LEWA

Pazura jest dziś jak Adaś Miauczyński – bohater, którego kreował w filmie Koterskiego „Nic śmiesznego". Co by zrobił, zawsze wyjdzie źle i czego się dotknie, zbierze razy.

Nienawistne komentarze wylewają się na niego w sieci od lewicowców – bo śmiał przyznać się do tego, że jest katolikiem. Równie mocno znienawidzili go przeciwnicy rządu PiS. Ci głównie za wsparcie dla akcji różańcowej, którą postrzegają jako akcję polityczną (dowodem jest wsparcie finansowe od spółek Skarbu Państwa).

Jednak i z prawej strony Pazurę spotykają przykrości. Chociaż dziś na jego Facebooku roi się od gratulacji, podziękowań i wsparcia, to jednak wielu nie może pogodzić się z tym, że ktoś po dwóch rozwodach może publicznie mówić o swojej wierze. Całkiem niedawno i tym Pazura dawał odpór na swoim kanale YouTube. Po raz pierwszy zaprosił tam do rozmowy swoją trzecią żonę, Edytę. I choć oboje deklarują się jako wierzący, a pani Edyta wspominała nawet, że chodziła do katolickiej szkoły, to zdystansowali się od skrajnych postaw. Krytykujących ich związek określili jako fanatyków, osoby świeckie, które próbują być bardziej święte od papieża.

Pazurze dostaje się zresztą nie tylko za trzy żony. Przypomniano mu również nagrania telewizyjne, w których przed wyborami prezydenckimi opowiadał się za Aleksandrem Kwaśniewskim.

Gdy w ubiegłym tygodniu Wojewódzki, naśladując modlitewny zaśpiew, wytknął Pazurze, że przez zaangażowanie się w religijną akcję „leży medialnie", aktor odśpiewał: – Media wiedzą swoje, a ja to pie...

Teraz zamilkł i o akcji nawet nie chce już rozmawiać. Każdy, kto rzucił w Pazurę kamieniem, powinien to przemyśleć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Radosław Wojtas

Życie za życie

25-latek z warszawskiej Falenicy zadźgał swoich rodziców na oczach młodszego rodzeństwa. W Polsce podobnych zbrodni jest rocznie nawet kilkanaście. Kim są ludzie, którzy odbierają życie tym, od których sami je dostali?

Ulica Walcownicza w warszawskiej Falenicy, części prawobrzeżnej dzielnicy Wawer. 17 października ciszę zapadającego wieczoru przerywa przeraźliwy kobiecy krzyk. Ludzie wyglądają przez okna, wychodzą na osiedlową uliczkę. – Te odgłosy, które usłyszeli sąsiedzi, były wstrząsające – relacjonuje później na antenie TVN24 Mariusz Ciarka, rzecznik Komendy Głównej Policji. Hałas dobiega z jednego z domków stojących w równym rzędzie wzdłuż tej uliczki. Mieszka w nim absolwent Politechniki Warszawskiej prowadzący własną pracownię projektową z żoną nauczycielką i trojgiem dzieci. Rodzina jak każda – relacjonują później sąsiedzi, choć przyznają, że niezbyt zintegrowana z sąsiadami i być może borykająca się z pewnymi problemami, bo do kłótni dochodziło tam dość często.

Chwilę później uliczka tonie w niebieskiej poświacie policyjnych „kogutów". Przyjeżdża też karetka, załoga wbiega do domu architekta. Wychodzi niespiesznie. Podjęto próby reanimacji, ale było za późno. Stwierdzono zgon małżeństwa G. Za to policjanci wyprowadzają najstarszego z trojga rodzeństwa – 25-letniego Mateusza G.

WEŹ SIĘ W GARŚĆ!

Mateusz G. wygląda na stereotypowego informatyka. Łagodna twarz, okulary w cienkiej oprawce, krótko przystrzyżone włosy. Sprawia wrażenie grzecznego, nieśmiałego chłopca. Studiował na Politechnice Warszawskiej. Sąsiedzi w rozmowie z dziennikarzami, którzy pojawili się na ul. Walcowniczej tuż po tragedii, mówili, że Mateusz rzucił studia. Rodzice naciskali, by wziął się w garść, wrócił na uczelnię lub znalazł pracę.

Prokuratorskie śledztwo ma wyjaśnić, czy to właśnie kolejna sprzeczka o przyszłość Mateusza była zapalnikiem, który pchnął go do zbrodni. Mężczyzna chwycił nóż i rzucił się na ojca. Zadał mu kilka ran kłutych. Na pomoc mordowanemu Krzysztofowi G. ruszyła żona, ale wtedy jej najstarszy syn skierował ostrze przeciw niej. To krzyk Moniki G., która zdołała wybiec na taras i tam zginęła, słyszeli sąsiedzi oraz rodzeństwo mordercy. Córka próbowała jeszcze tamować krwawienie matki, ale bezskutecznie. Razem ze swoim nieletnim bratem została objęta pomocą psychologa.

– Chłopiec względnie inteligentny, znał podobno kilka języków obcych, no ale przerwał studia, nie pracował, ma lat 25 i wygląda to tak, jakby marnował swoje życie. Rodzice, widząc to, w trosce o jego przyszłość zaczęli mu zwracać uwagę. Czynili to codziennie, u niego kumulowały się negatywne uczucia wobec rodziców, że on jest właściwie przez nich prześladowany, nie umiał zmienić swojego trybu życia i to doprowadziło go do podjęcia zamiaru dokonania zabójstwa – mówi prof. Brunon Hołyst, dyrektor Instytutu Kryminalistyki

eprasa.pl 6ed2495ad6

Mateuszowi G. postawiono zarzut zabójstwa rodziców. 25-latek odmówił składania zeznań FOT. TOMASZ OZDOBA/NEWSPIX.PL

i Kryminologii Uczelni Łazarskiego. Doktor Jerzy Pobocha, prezes Polskiego Towarzystwa Psychiatrii Sądowej, zwraca uwagę na fakt rzucenia studiów przez Mateusza G. – Wydaje się, że w tym przypadku nie było poważnej patologii osobowościowej, jednak coś się musiało dziać, skoro wcześniej uzyskiwał lepsze wyniki w nauce, później jakoś mu to gorzej wychodziło. Prawdopodobnie było tak, że chłopak żył w „cieplarnianych warunkach", pod kloszem, izolowany od wszelkich problemów życia codziennego i jego prawdziwe cechy osobowościowe nie miały okazji się ujawnić. Jednak emocje narastały, doszło do spięcia, hamulce puściły i doszło do tragedii – mówi dr Pobocha.

Morderca został przesłuchany, ale odmówił składania wyjaśnień.

WICEMINISTER I SYN

– Przypadków morderstw dokonywanych na rodzicach mamy w Polsce ok. 10–15 przy ok. 600–700 zabójstwach rocznie, więc nie jest to duży odsetek. Jednak jest to bardzo skomplikowane społecznie i niebezpieczne zagadnienie. Dlatego że jesteśmy wychowani w tradycji europejskiej, gdzie starsze osoby, a szczególnie rodziców, należy szanować, ale tak się często nie dzieje – mówi prof. Hołyst.

Jak dodaje, często są to zbrodnie popełniane pod wpływem impulsu wyzwalającego narastającą agresję, ale zdarzają się mordy planowane, popełniane z zimną krwią i wyrachowaniem. Tak było w przypadku Zuzanny i Kamila, którzy na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem w 2014 r. zabili rodziców chłopaka. Ojciec Kamila był pułkownikiem straży granicznej. Po awansie spod Białej Podlaskiej dojeżdżał do pracy w Warszawie. Przysługiwał mu pokój, ale chciał być blisko rodziny, więc ok. 160 km drogi w jedną stronę pokonywał niemal codziennie. Jego żona uczyła języka rosyjskiego. Znajomi rodziny mówili, że syn miał wszystko. Również sympatię, która pchnęła go do zbrodni. Na początku dla żartów, później na poważnie rozważali zabicie rodziców Kamila, którzy sprzeciwiali się ich związkowi. Pewnej nocy stanęli nad łóżkiem śpiącego małżeństwa z nożami w rękach. Uderzyli jednocześnie, dobijając próbującego walczyć ojca i ratującą się ucieczką matkę.

Jedno piekielnie precyzyjne pchnięcie wystarczyło 13-letniemu Antkowi do zabicia ojca policjanta. Na przejażdżkę samochodem z tatą w 2013 r. zabrał duży kuchenny nóż. W pewnym momencie wbił go w klatkę piersiową ojca. Z auta wysiadło trzech synów umierającego mężczyzny. Najstarszy z nich rozpłakał się i krzyczał: „Zabiłem ojca". – To było przestraszone dziecko, ciche, spokojne – opisywała w 2013 r. zachowanie chłopca po przybyciu służb na miejsce zbrodni Joanna Kącka, rzecznik łódzkiej policji. Rodzice Antka byli po rozwodzie. Chłopcy ponoć niechętnie spotykali się z ojcem.

W 2010 r. z rąk syna zginął Eugeniusz Wróbel, podsekretarz stanu w Ministerstwie Transportu w latach 2006–2007. Po zabiciu ojca nożem morderca poćwiartował ciało piłą łańcuchową, zawinął w tapety i wyrzucił do zalewu.

Profesor Brunon Hołyst, pionier polskiej wiktymologii, czyli nauki zajmującej się m.in. badaniem roli ofiar w przestępstwie tłumaczy: – W rodzinach patologicznych trudno obarczać dzieci pełną odpowiedzialnością. Oczywiście one powinny ponieść odpowiedzialność karną i ponoszą, ale w pewnym sensie ofiary stworzyły pewne okoliczności przyczyniające się do zabójstwa, mówimy wtedy o „quasi-winie ofiary". Tymi okolicznościami mogą być alkoholizm w domu, rozwód rodziców czy obsesyjne wywieranie presji na dzieciach.

PRZEGRYWAJĄC Z DEMONAMI

Nie zawsze wina leży po stronie sprawców czy ofiar, ale powodem mordu jest choroba psychiczna. Zdaniem dr. Jerzego Pobochy, który od lat jest biegłym sądowym, wśród najniebezpieczniejszych chorób jest schizofrenia, często rozpoznana dopiero po tragedii. – Opiniowałem przypadek chłopaka, który w latach 90. w Szczecinie w ciągu kilku minut, jednym ciągiem, zamordował swoją matkę i jej dwie siostry. Zapalnikiem była drobna sprzeczka, a prawdziwym powodem rozpoczynająca się schizofrenia. W latach 70. do makabrycznej zbrodni doszło w Siedlcach, gdzie również chory na nierozpoznaną jeszcze wtedy schizofrenię nie tylko zabił matkę, lecz także wbił w jej mózg przez gałki oczne łyżeczki od herbaty tak głęboko, że wystawały jedynie ich końcówki. Został uznany za niepoczytalnego – mówi dr Pobocha.

Trudno spoglądać na własne dziecko jak na potencjalnego mordercę, ale pewne symptomy powinny niepokoić. – Trzeba odróżnić młodzieńczy bunt, zerwanie z autorytetami od prawdziwych problemów. W naszych realiach najczęstszą przyczyną są narkotyki, a w szczególności dopalacze. To jest tak, jakby dziecko chodziło z granatem w kieszeni, który w każdej chwili może wybuchnąć. Jeżeli dziecko dziwnie się zachowuje, ma zmienioną twarz, staje się nagle bez powodu agresywne, wybucha, niszczy meble, grozi, śpi długo nie wiadomo czemu, nie chce się uczyć czy nie chce pracować, to powinna się zapalić lampka ostrzegawcza – mówi dr Jerzy Pobocha.

Jak jednak dodaje, problemem w Polsce jest brak skutecznych procedur w postępowaniu z potencjalnie niebezpiecznymi chorymi psychicznie. – Nie ma u nas, trzymając się języka wojskowego, sił wczesnego reagowania, żeby tych ludzi uchronić. Trzeba postulować, że coś takiego powinno być. Właściwie wszystko jest w zasięgu ręki, ale nie ma kto uruchomić procedury. Policja nic nie zrobi – prokuratura też – dopóty, dopóki nie popełniono przestępstwa. Lekarz pierwszego kontaktu najczęściej się boi lub nie do końca się zna, psychiatrów mamy w Polsce za mało, a poza tym trzeba się do nich zgłosić. Nie mamy co liczyć, że mówiąc choremu: „Idź do psychiatry", spotykamy się z jakimś radosnym okrzykiem: „Świetny pomysł! Że też ja na to nie wpadłem, że psychiatra by mi się przydał" – konkluduje dr Pobocha.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Genotyp polski

Z Elżbietą Cherezińską, pisarką
rozmawia Krzysztof Masłoń

KRZYSZTOF MASŁOŃ: Od dłuższego czasu słyszymy o ekranizacjach pani książek. Kiedy się ich doczekamy?

ELŻBIETA CHEREZIŃSKA: Trwają prace scenarzystów nad zmianą „Korony śniegu i krwi" w serial. Prawa do ekranizacji kupił Paweł Mantorski działający w porozumieniu z Włodzimierzem Niderhausem. WFDiF to solidna firma, a z tego, co wiem, scenariusz jest na etapie zaawansowanym.

Pani się do tego nie dotyka?

Na pewnym etapie się dołączę, ale jeszcze nie teraz, choć nie ukrywam, że bardzo jestem ciekawa, co powstanie z „Korony…".

Rozumiem jednak, że nie będzie pani współscenarzystką i producenci użyją formuły: „Na podstawie powieści…".

Tak, przynajmniej na tę chwilę obowiązuje to ustalenie. Inaczej wygląda to w przypadku „Hardej"; właśnie zabieram się do pisania scenariusza.

„Harda" będzie fabularnym filmem, nie serialem. Czy wyłącznie polskim, czy powstanie w wyniku koprodukcji? Pytam o to, bo dzieje tytułowej bohaterki „Hardej" – Świętosławy, piastowskiej księżniczki i skandynawskiej królowej – są związane z historią wielu krajów europejskich, także Anglii.

Rzeczywiście, historia Świętosławy jest elementem pewnej międzynarodowej układanki politycznej i film o tej siostrze Bolesława Chrobrego aż się prosi o zagraniczną współpracę, ale od czegoś trzeba zacząć. Na pewno od scenariusza. Przy tym nie ma tu żadnego pośpiechu, żadnej

FOT. FORUMCWIAZD.COM.PL

eprasa.pl 6ed249

partyzantki, żadnego „hura". Prace literackie muszą przebiegać w swoim tempie.

Czy Telewizja Polska zwróciła się do pani z ofertą realizacyjną? Krążą na ten temat sprzeczne informacje.

W swoim czasie TVP wyraziła chęć ekranizacji „Legionu", ale sprawa utknęła w martwym punkcie. Żadna poważna rozmowa na ten temat się nie odbyła.

Już niebawem ujrzymy za to na szklanym ekranie serial, a właściwie telenowelę „Korona królów". Też o Piastach, ale bez pani udziału. Tutaj „Korona", tam „Korona" – o pomyłkę łatwo.

Na swojej stronie facebookowej zamieściłam informację, że nie mam nic wspólnego z tą realizacją będącą w zamierzeniu polską odpowiedzią na tureckie „Wspaniałe stulecie". Nie mam nic przeciwko temu, by takie telenowele powstawały, mają one swoją widownię, ale to nie moi Piastowie, nie mój Łokietek, nie mój – powiem poufale – Władek. Nie moja Jadwiga, nie mój Kazimierz. I tak dalej.

Dodam tylko w tym miejscu, że od strony literackiej „Koronę królów" firmuje matka chrzestna „M jak miłość" i „Barw szczęścia", Ilona Łepkowska. A panią chciałbym zapytać o osobisty stosunek do wspomnianego Władka, bohatera niedawno wydanej, ostatniej części trylogii „Odrodzone królestwo". Po lekturze 1000-stronicowej „Płomiennej korony" doszedłem do wniosku, że z jakichś powodów Łokietek, ten fizycznie niezbyt pociągający mężczyzna, jest dla pani postacią wyjątkową.

Ponieważ jest niepojęte, jak ten człowiek z tak złamanym życiorysem osiągnął tak wiele. Przecież on już sprzedał prawa do polskiej korony Czechom, zaliczył dziesiątki mniejszych i większych upadków, a uparcie się z nich podnosił. Poza tym uwiódł mnie ten wieczny chłopiec, którego w nim dostrzegam. Fascynuje mnie zresztą ze stu różnych przyczyn.

Jakich? Wydawać się może, że ten okres naszych dziejów, wychodzenia z rozbicia dzielnicowego, nie jest najbardziej imponujący. To jeszcze nie Grunwald, Łokietek o potędze może najwyżej marzyć.

I te marzenia są wspaniałe. Jego lata to już nie okres heroiczny, budowania potęgi przez Chrobrego czy Śmiałego i jeszcze nie czas chwały, która przypadnie Jagiellonom. Polska Łokietka powstawała z upadku. I powstała, na skutek zdumiewającego biegu zdarzeń dziejących się i na naszych ziemiach, i w innych państwach, na obcych dworach. Chciałabym, żeby moi czytelnicy też odbierali tę historię podobnie do mnie; że wiele razy mogła ona potoczyć się zupełnie inaczej, a jednak utorowała sobie taką właśnie drogę. Łokietek dziesiątki razy mógł się nie pozbierać, wyjść z tarapatów: mogli go zmieść Krzyżacy i prawie im się to udało – za sprawą Gdańska – to samo mogli uczynić mieszczanie krakowscy pod przywództwem wójta Alberta, a gdyby w Czechach nie skomplikowała się sytuacja polityczna, to oni sprawowaliby władzę w Krakowie, bo dla nich ten krakowski tron był jeszcze cieplutki, jeszcze niedawno na Wawelu siedział Wacław. Wyliczajmy dalej: mogły pogrążyć Łokietka bunty wewnątrz rodziny, zła sytuacja gospodarcza po utracie Gdańska, wreszcie zmiana na tronie węgierskim, gdzie władzę zdobył pierwszy z Andegawenów, Karol Robert, rozprawiając się z sojusznikiem Łokietka, węgierskim możnowładcą Amadejem Abą. Jest mocno prawdopodobne, że spoiwem tamtej przyjaźni była… miedź. Amadej Aba wydobywał ją na swoim terenie, a Łokietek jak konwojent osłaniał transport drogocennego surowca Wisłą do Gdańska, czerpiąc z tego bardzo przyzwoity dochód, dzięki czemu mógł prowadzić wojny. A przecież nasz Władek potrafił się przestawić i to właśnie z Karolem Robertem, tym samym, który pozbawił władzy i życia jego przyjaciela, położył podwaliny pod przyszły długoletni sojusz Polski oraz Węgier.

Oddając Karolowi Robertowi swoją córkę Elżbietę za żonę.

Która okaże się świetną królową. Dla Węgier zrobi kawał dobrej roboty, a nas pozbawi dziedziców piastowskich po Kazimierzu. Miał przecież legalne córki, siostra go jednak, powiedziałabym, wykolegowała. W końcu sama sprawowała w Polsce regencję, wprowadziła do nas Andegawenów, a małżeństwo jej wnuczki Jadwigi z Władysławem Jagiełłą rozpocznie panowanie w Polsce nowej wielkiej dynastii. No co tu dużo mówić, to był przewrót kopernikański, nadanie naszej historii zupełnie nowej perspektywy.

Gdyby ta historia potoczyła się nieco inaczej, domniemywać można, że na tronie w Krakowie nie mielibyśmy Węgrów – myślę tu o Ludwiku – ale Czechów.

To właśnie decydowało się w XIV stuleciu, gdy koronę zdobywał Łokietek. A mógł ją zdobyć dla siebie Jan Luksemburski, który jednak był wtedy jeszcze młodym królem oraz nieopierzonym dyplomatą, a przecież minie nie tak znów wiele lat i w Europie nic się już nie osiągnie bez poparcia papieża ani króla czeskiego.

Niewątpliwie sytuacja międzynarodowa układała się wówczas po myśli Łokietka, ale budzi podziw jego konsekwencja w staraniach o koronę, po którą równie dobrze mogli sięgnąć inni książęta wywodzący się z tego samego szczepu piastowskiego.

Szczepu królewskiego, o czym pamiętają wszyscy: i porozbijani na niezliczone frakcje książęta śląscy, i książęta mazowieccy, którzy muszą współdziałać z Litwą, Rusią, a przejściowo i z Krzyżakami, i bratankowie Władysława na Kujawach. Do tego wszystkiego to Łokietek pierwszy zderzy się, twarzą w twarz, z – jak ją nazywam – korporacją krzyżacką. Ma ona akurat swoje pięć minut i to tu, u nas, bo w Europie epoka zakonów rycerskich się kończy, templariuszom wytoczono proces, Ziemi Świętej nie odbito i na skutek tego wszystkiego Krzyżacy przenoszą stolicę z Wenecji do Malborka, wcześniej zdobywając Gdańsk. Uważają, że chwycili nas w swoje pazury i już nie puszczą. I to przypada na naszego małego księcia, a mamy tu do czynienia ze zderzeniem cywilizacji. Zakon jest w zupełnie innym punkcie rozwoju, co przypomina współczesną nam sytuację Amerykanów w Afganistanie. Mają w ręku wszystkie atuty, wszelkie narzędzia, by unicestwić kryjących się w górach bojowników talibów, a jednak nie mogą tego osiągnąć.

Czas Łokietka to już nie okres heroiczny, budowania potęgi przez Chrobrego czy Śmiałego, i jeszcze nie czas chwały, która przypadnie Jagiellonom

Łokietek był za słaby, by pobić Krzyżaków.

Toteż nie stawał z nimi w polu, tylko prowadził wojnę partyzancką, która rozpoczęła się zaraz po jego koronacji. Na otwarte starcie z nimi, na Grunwald, trzeba będzie czekać jeszcze 90 lat. O tym, co działo się przez te wszystkie lata, napiszę

eprasa.pl 6ed2495ad6

w następnej książce. W „Płomiennej koronie" wypuszczam dopiero pierwsze nitki, jak tę o pierwszym naszym sojuszu z pogańskimi Litwinami i wybraniu córki Giedymina – Aldony Anny – na żonę dla syna Łokietka, Kazimierza. Zależało mi natomiast na tym, by jak najszerzej i najdokładniej przedstawić tło koronacji Władysława oraz zabiegi dokonywane, by do niej doszło. A był to majstersztyk ówczesnej dyplomacji, niezależnie od tego, że za papieską zgodę trzeba było zapłacić wysoką cenę; myślę tu o świętopietrzu. To było jednak nasze być albo nie być.

I tej korony nie straciliśmy przez następne stulecia, aż do rozbiorów.

Co zawdzięczamy temu małemu zakapiorowi, Władysławowi Łokietkowi, który intuicyjnie chyba wyczuł znaczenie tej korony, dla umniejszenia jej rangi krakowską zwanej.

W zabiegach u papieża o jej uzyskanie wybitną rolę odegrał, co pani podkreśla, biskup włocławski Gerward, postać nieco kontrowersyjna.

Mnie on uwiódł poniekąd przez kontrast ze świetlistym Jakubem Świnką, wzorcowym patriotą, ojcem narodu. Gerward Leszczyc był kimś zgoła innym. Najważniejsze były dla niego pieniądze; to był człowiek interesu, jego żywiołem było „kupić – sprzedać", skupował upadające klasztory, bo była tam dobra ziemia, i pozbywał się ich z niemałym zyskiem. A w męża stanu zamienił się dopiero, gdy mu Krzyżacy na dziesięcinę wleźli. Nie pisnął słowa na zabór przez nich Gdańska, dopiero gdy okazało się, że mu dziesięciny z zajętych ziem przepadają, zawrzał gniewem i zrobił się z niego polski patriota. Pomyślałam sobie, że w tej mojej wielowątkowej opowieści powinno się znaleźć miejsce i dla takich jak on – bohaterów przemienionych. Możemy się bowiem śmiać z korzeni jego patriotyzmu, ale z czegoś wyszedł i do czegoś doszedł.

A z papieżem o polską koronę zawarł deal.

Tak. Ubił z nim interes.

Swoją drogą, ciekawe jest, jak potoczyłyby się nasze losy, gdyby Łokietek nie zdobył korony. Może powstałaby jakaś Czechopolska?

Nie brakuje malkontentów, którzy uważają, że powinniśmy wtedy ściśle związać się z Zachodem, i pewnie taka wizja by im odpowiadała. Moim zdaniem przeszłość mamy za sobą taką, a nie inną, raz nam daną i należy radować się nią.

Czyli historia alternatywna niespecjalnie panią pociąga?

Jeśli zabieramy się do pisania własnej wersji historii, to znaczy, że z góry przekreślamy tę, która się zdarzyła. A ja nie chcę jej przekreślać, bo mam ją w genach. Te polskie klęski i polskie zwycięstwa to jest nasz genotyp. Jeśli z tych pierwszych potrafimy wyciągnąć wnioski, a z tych drugich odczuwać dumę, to z naszych dzieci i wnuków powstaną kolejne świetne pokolenia Polaków. Jeśli nie, to… Oby tak się nie stało.

Lektura pani „piastowskich" książek pokazuje, jak wielkie znaczenie miało przyjęcie chrztu, jaką ogromną rolę modernizacyjną pociągnęło za sobą.

Zawsze podkreślam, że aby zrozumieć, czym było chrześcijaństwo we wczesnośredniowiecznej Europie, trzeba posługiwać się sformułowaniem „korporacja". Przyjęcie chrztu było wyborem nowoczesnego stylu sprawowania władzy. To była zupełnie nowa jakość. Władca jako pomazaniec boży dostawał do dyspozycji odrobinę siły nadprzyrodzonej i dziedziczność dla swej dynastii. Opłacało mu się więc inwestować w budowę katedr i kościołów, widomych oznak także jego władzy. Z kolei zamki służyły do obrony, ale dodawały również splendoru. Dzięki temu tamta Europa pierwszych katedr znaczyła szlak cywilizacyjny. Władca do pomocy uzyskał kler, potrafiący czytać i podnoszący na dworach poziom wykształcenia oraz kultury. Zatem z całą pewnością wybór chrześcijaństwa był opowiedzeniem się za modernizmem. Oznaczał, że nie patrzymy wstecz, nie składamy jak nasi dziadowie ofiar starym bóstwom, lecz stawiamy na nowego, nieznanego Boga. Ryzykujemy – taki totolotek – ale olśniewa nas to, że wraz z tym nowym Bogiem uzyskujemy cały aparat nowoczesnych środków sprawowania władzy.

> **Czuję się w tej epoce jak ryba w wodzie. Czegokolwiek się w niej tknę, to mnie ciekawi. To taka wciąż dziecięca ciekawość**

Zdumiewające jest np., jak Litwini instrumentalnie traktowali chrzest. Byli tam tacy władcy, którzy chrzcili się parę razy, każdorazowo żądając – tak to ujmę – lepszego pakietu negocjacyjnego. Oni już wiedzieli, że chrześcijaństwo jest przyszłością Europy, że dla nich stanowi obronę przed agresywnym zakonem krzyżackim, ale dodatkowo chcieli coś jeszcze ugrać dla siebie. Tym bardziej że nie mogli liczyć na poparcie swoich poddanych, a przecież wybierając tak, a nie inaczej, stawali w poprzek społeczeństwa. Być może było tak i u nas, w czasach Mieszka, ale nie ma jednoznacznych źródeł, żeby to stwierdzić. A dla władców litewskich wybór był następujący: albo z tym nowym Bogiem nam się uda, albo utną nam głowy i złożą je pod drzewem. Koniec, kropka.

Odnoszę wrażenie, że nie tylko lubi pani Piastów…

Ja ich kocham.

… to już wiemy, ale w ogóle pociąga panią średniowiecze.

Czuję się w tej epoce jak ryba w wodzie. Czegokolwiek się w niej tknę, to mnie ciekawi. To taka wciąż dziecięca ciekawość. Trudno to sobie uzmysłowić, jak wielkim motorem życia była wtedy religijność. Jak grzyby po deszczu powstawały, określane przez papiestwo jako sekty, ruchy takie jak waldensów czy beginek. Są one dowodem na to, że dla ówczesnych społeczeństw wiara była czymś niezwykle żywym. Gdy jeden czy drugi wizjoner wychwycił błędy w naukach kleru i potrafił przekonać, że powinno czcić się Boga inaczej, pociągał za sobą tysiące ludzi. Takie czy inne wyznawanie wiary stawało się dla nich treścią życia, bo to, że mogliby nie doświadczyć zbawienia, że groziłyby im męki piekielne, było czymś najstraszniejszym. Całkowicie zmieniali życie, osobiste, zawodowe, wszystko, bo skoro papież się mylił, to oni muszą ratować swoje dusze. I ratować świat – prawdziwi boży szaleńcy.

Chodziłem do szkoły w latach, gdy średniowiecze postponowane było jako epoka ciasna, zabobonna, w której „każdy święty miał swoje wykręty". Niestety, ta prymitywna edukacja, mająca wyraźnie antykościelny charakter, pozostawiła po sobie ślady.

No tak, ciągle ma średniowiecze łatkę wieków ciemnych. Z przyganą powiada się: „Masz średniowieczne poglądy". Nie dostrzegając wielkości tamtej epoki ani jej surowego piękna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

PIOSENKA MOŻE ZACHĘCIĆ DO MYŚLENIA, ALE NIE MOŻE GO ZASTĄPIĆ

SCENARIUSZ I REŻYSERIA ALICJA ALBRECHT

MŁYNARSKI

ZDJĘCIA TADEUSZ KIENIEWICZ DŹWIĘK REMIGIUSZ BOTIUK MONTAŻ MACIEJ SZYDŁOWSKI ANIMACJA DARIA KOPIEC KIEROWNIK PRODUKCJI MAREK CZPAK, MARCIN MARCZYK OPRACOWANIE MUZYCZNE JOANNA FIDOS UCZWIĘKOWIENIE WOJCIECH CHUDZIŃSKI
KOREKCJA OBRAZU RADOSŁAW MATULKA MAKE-UP ANNA CZYŻYKIEWICZ, MARTA MURAWSKA ASYSTENT REŻYSERA ANNA KAŹMIEROWSKA, ANNA SZAWIEL DYSTRYBUCJA BEST FILM

PRODUKCJA BLUE SCREEN KOPRODUKCJA TVP MFF WSPÓŁFINANSOWANIE SPONSOR FILMU PZU ATM cinema color DSM

PIOSENKA FINAŁOWA

W KINACH OD 3 LISTOPADA

eprasa.pl 6ed2495ad6

Taron Egerton jako Gary „Eggsy" Unwin
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Szpiedzy nie dają rady

Wojciech Engelking

Na ekrany kin zawitał sequel „Kingsmana" – najlepszego pastiszu kina szpiegowskiego ostatnich lat. Pastisz pastiszem, problem w tym, że nie da się nie zauważyć, iż od jakiegoś czasu filmy szpiegowskie dotyka kryzys, który zmienia je w urocze ramoty

Jeżeli można mówić o jakiejkolwiek zalecie zimnej wojny, to o tej jednej: dzięki oziębłym relacjom Zachodu z krajami po drugiej stronie żelaznej kurtyny anglosaskie kino popularne rozwinęło się tak jak nigdy wcześniej.

Kino popularne – ale też kino propagandowe. Dla najmłodszych czy też najmniej wymagających widzów propaganda realizowała się w ekranizacjach komiksów o superbohaterach: przykładowo w animowanym „Spider-Manie", w którym rodziców głównego bohatera, agentów amerykańskiego wywiadu, zabili w Moskwie KGB-iści. Starsi i szukający w kinie wroga nieco bardziej realnego niż fikcyjne potwory otrzymali rozrywkę wyższych lotów – filmy szpiegowskie, w których Rosjanin stał się nieomal emblematyczną figurą. Mógł to być Rosjanin zły – jak gen. Gieorgij Koskov z „W obliczu śmierci" z Daltonem w roli Jamesa Bonda – i mógł to być także Rosjanin niejednoznaczny: przykładowo grany przez Seana Connery'ego komandor Ramius z „Polowania na »Czerwony październik«". Zawsze jednak Rosjanin musiał być.

To, że CIA i MI6, a także Pentagon współpracowały i współpracują z filmowcami, dla nikogo nie jest tajemnicą: w 1996 r. amerykańskie służby ogłosiły, że od dawna działa w nich specjalny departament rozrywki, którego zadaniem jest pomaganie artystom tak, by stali się de facto PR-owcami agencji. Współpracownikiem służb był wszechwładny szef amerykańskiej cenzury z lat 50., Luigi Luraschi; to na prośbę służb Joseph Mankiewicz zmienił zakończenie „Spokojnego Amerykanina". Stałym gościem w bazie w Langley wciąż pozostaje także autor wielokrotnie filmowanych thrillerów – Tom Clancy.

Dlaczego więc kino szpiegowskie znajduje się obecnie w kryzysie, skoro cały czas ma tak potężnych mocodawców? Z prostego powodu, który znamy z filmów o Bondzie: film szpiegowski nie jest dobry dlatego, że dobry czy ciekawy jest pozytywny bohater. Jest dobry dlatego, że ciekawy i pociągający jest w nim złoczyńca.

W STREFIE CIENI

Wiktor Pielewin powiedział raz, że nie rozumie, dlaczego po upadku Związku Sowieckiego zlikwidowano KGB – w końcu była to światowa marka, jeśli chodzi o PR-owski wydźwięk. Rosyjski pisarz miał rację: bez KGB-istów (czy nawet byłych KGB-istów) kino szpiegowskie straciło lokomotywę, która dotychczas je ciągnęła. Nowy wróg, który rozplenił się w świecie realnym i fikcyjnym po zburzeniu muru berlińskiego, nigdy nie zyskał demonicznej aury radzieckiego szpiona – bo i właściwie nie wiadomo, kto miałby być tym wrogiem dla współczesnych szpiegów.

Tak stwierdza grana przez Judi Dench M, szefowa brytyjskiego wywiadu, w „Skyfall" – ostatnim z jej Bondów: „Nie wiemy, kim są nasi przeciwnicy. Nie ma ich na mapie, nie są narodami. Są jednostkami i mieszkają w strefie cieni". Problem w tym, że owa strefa cieni, najatrakcyjniej nawet widzowi pokazana – przykładowo: w formie organizacji Spectre, o której najpotężniejsze wywiady nie mają pojęcia, a która zarządza światowym biznesem kryminalnym – nie ma twarzy. I najnowszy „Kingsman" tylko to potwierdza.

Pierwszy z filmów na podstawie serii komiksów Marka Millara i Dave'a Gibbonsa opowiadał historię nastolatka z brytyjskiego proletariatu – mieszkańca osiedla pod Londynem, z matką będącą stałą klientką opieki socjalnej i ojcem, który dawno temu zaginął. Życie Eggsy'ego odmieniło się, gdy spotkał granego przez Colina Firtha Harry'ego Harta, pseudonim Galahad – agenta Kingsman, prywatnej agencji wywiadowczej z siedzibą przy Savile Row w Londynie. Tak, właśnie przy tej Savile Row, przy której od XIX w. urzędują najznamienitsi męscy krawcy i szewcy: każdy z agentów Kingsman bowiem zachowuje się i wygląda jak stereotyp brytyjskiego dżentelmena. Nosi szyty na miarę garnitur

eprasa.pl 6ed2495ad6

i parasol, a za hasło do tajnej siedziby służy mu ocena modeli męskich butów: „Oksfordy, nie brogsy". Jako jeden z kingsmanów Eggsy uratował świat przed amerykańskim miliarderem granym przez sepleniącego Samuela L. Jacksona, który chciał zniszczyć naszą cywilizację w imię walki z globalnym ociepleniem.

O ile pierwszy „Kingsman" był znakomitym pastiszem klasycznych Bondów – z czasów, zanim agent 007 zaczął nosić garnitury od Toma Forda – o tyle najnowszy, zatytułowany „Złoty krąg", przenosi akcję do Stanów Zjednoczonych, w których potężny kartel narkotykowy pod wodzą granej przez Julianne Moore Poppy zamierza zabić wszystkich narkomanów, by doprowadzić do legalizacji swoich produktów (pomysł co najmniej oryginalny). Garnitury i parasole z pierwszej części zostają zastąpione dżinsowymi kurtkami oraz kowbojskimi kapeluszami, bo jak MI6 ma CIA, tak kingsmani mają w USA siostrzaną organizację Statesman.

Po seansie nowego „Kingsmana" nie można się pozbyć wrażenia, że nie tak znowu udany, jak w przypadku pierwszej części, pastisz filmów o dobrych i złych szpiegach to jedyne, na co jego twórców teraz stać. Dlatego też ani jako kino szpiegowskie, ani jako film akcji najnowszy „Kingsman" nie przekonuje. Strefa cieni, którą mogłaby reprezentować bohaterka Julianne Moore, ani nie przeraża, ani nie pociąga.

GDZIE SZUKAĆ WROGA?

Czy w związku z tym, że wróg, którego odbiorca filmu mógłby uznać także za swojego, zniknął, kino szpiegowskie czeka wyłącznie tworzenie pastiszy dzieł ze swoich złotych lat w rodzaju „Kingsmana" lub też ekranizacji powieści, które powstały, gdy wróg w postaci sowieckiej Rosji wciąż był silny? Wręcz przeciwnie, bo chociaż wróg w postaci Rosji dzisiejszej nie jest w zbiorowej wyobraźni Zachodu żywy (nawet akcję serialu na podstawie bardzo aktualnej sprawy Anne Chapman twórcy zdecydowali się umieścić w latach 70., czyniąc z niej agentkę KGB, a nie FSB), to strefa cieni silniejsza jest tam, gdzie także pozytywny bohater nie będzie musiał być jedynie bladym odbiciem swojego przeciwnika – w serialach.

Produkcje takie jak amerykański „Homeland", „Nocny recepcjonista" (także adaptacja powieści Le Carré, jednakowoż uwspółcześniona) czy świeża izraelska „Fauda", dostępna na polskim Netflixie, wynoszą klasyczne szpiegowskie historie na poziom wcześniej nieznany – pozwalają bowiem pokazać postać pozytywną jako zmagającą się z demonami o wiele groźniejszymi aniżeli szpion szkolony przez uczniów Ławrientija Berii.

Demonami takimi mogą być choroba – przykładowo zaburzenia dwubiegunowe, z którymi walczy Carrie Mathison z „Homelandu" – czy małżeńska zdrada, która ciąży nad życiem Dorona Kavillo z „Faudy". Ich bohaterowie to nie dzielni mężczyźni w garniturach z Savile Row czy piękne kobiety z berettą zaczepioną na podwiązce, lecz faktyczni mieszkańcy strefy cieni, ci, o których nikt przy zdrowych zmysłach nie powiedziałby, że są agentami. Dobrze by było, żeby i kino zaczęło korzystać z doświadczeń mniejszego ekranu – bądź co bądź film szpiegowski to sól popkultury, która udatnie kształtuje zbiorową świadomość, jak to się w czasach zimnej wojny okazało. Szkoda byłoby kształtować tę świadomość tęsknotą za czasami, gdy wróg był jasno określony, i dawać widzom – uroczą, bo uroczą – ale jednak ramotę, a nawet jej pastisz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Prestige MJM
NOVOTEL HOTELS & RESORTS
Jedynka POLSKIE RADIO
TYGODNIK POWSZECHNY wprost RZECZY VIVA! GAZETA BANKOWA Presto T3 Multikino
GOLD HITS TOYA onet cgm.pl DlaWas.info VIXON STRÖER

eprasa.pl 6ed2495ad6

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Kołysanka Pięknego Władzia

★★★☆☆☆

REŻ. KRZYSZTOF LANG
„ACH ŚPIJ, KOCHANIE"
POLSKA 2017

wyst. Tomasz Schuchardt, Andrzej Chyra, Karolina Gruszka

W odróżnieniu od zwyrodnialców, rozsławionych przez hollywoodzkie produkcje, Mazurkiewicz mordował wyłącznie dla pieniędzy. A tych stale mu brakowało, bo co zabrał ofiarom, to przegrywał w szulerniach. Słabość do hazardu zgubiła również reżysera Krzysztofa Langa. Chciał odpocząć od romantycznych komedii, kręcąc dreszczowiec, skompilowany z „Milczenia owiec" i tuzina innych tytułów. Arcydzieła raczej w ten sposób nie powstają, lecz była szansa na wcale zgrabną fabułę. Zwłaszcza że historia dostarczyła filmowcom wręcz wymarzonego antybohatera.

Piękny Władzio – gwiazdor krakowskich salonów i ulubieniec pań – potrafił zadawać szyku. Dlaczego w ówczesnej zbiedniałej, powojennej Polsce nikogo nie dziwiło, że „pan sędzia" rozbija się po mieście oplem i obraca sumami niewyobrażalnymi dla przeciętnego śmiertelnika? Odpowiedź jest prosta: okupacja, powojenny chaos oraz przetasowania związane z instalacją „ludowej demokracji" dla jednych były tragedią, dla innych – okazją. Mazurkiewicz ponoć robił interesy z Niemcami, wzbogacił się na likwidacji getta, zaś w PRL hojnie opłacał się, komu trzeba. Możliwe, że bezkarność zawdzięczał nie tylko tępocie komunistycznych szeryfów. Mordował wszak jedynie „wrogów klasowych": prywaciarzy, zdeklasowanych ziemian i burżujów, których w „reakcyjnym" Krakowie było więcej niż gołębi.

Wątek domniemanych związków Pięknego Władzia z utrwalaczami władzy ludowej pojawia się i w filmie. On sam jest typem raczej przedwojennym, co podkreśla tytułowa piosenka duetu Bodo – Dymsza. Mazurkiewicz pogwizduje ją, gdy zamierza kogoś zabić. Natomiast broń, której używa – walther PPK – pochodzi z arsenału innego eleganta, Jamesa Bonda. Andrzejowi Chyrze już po „Długu" wróżono etat dyżurnego szwarccharakteru polskiego kina. Bronił się przed tym rękami i nogami, lecz co się odwlecze, to nie uciecze. Tutaj stworzył postać intrygującą, godną znacznie lepszego filmu. Inni aktorzy grają na jednej nucie. Z wyjątkiem Tomasza Schuchardta, lecz jemu kłody pod nogi rzucili scenarzyści. O ich nonszalancji świadczy choćby to, że w filmie najpierw mówi się o 67, a potem o 36 ofiarach Pięknego Władzia.

Patologiczny ustrój robi z ludzi potwory. Ta słuszna myśl przyświecała autorom amerykańskiego „Systemu" i Waldemarowi Krzystkowi, gdy kręcił „Fotografa". Najzgrabniej oblekł ją w ciało Maciej Pieprzyca w filmie inspirowanym sprawą Marchwickiego („Jestem mordercą"). Może by tak teraz, dla równowagi, opowiedzieć o jakimś łotrze, który nie może zrzucić winy na ustrój? Znalazłoby się kilku kandydatów. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MOTHER!"

Nowy film reżysera „Requiem dla snu", „Czarnego łabędzia" i „Zapaśnika". Rzecz trochę w duchu Polańskiego, igrająca z tematem „dom na odludziu". On i ona wprowadzają się do rezydencji zniszczonej przez pożar, którą pani domu pieczołowicie dekoruje, marząc o siedzibie doskonałej. Przybycie tajemniczych gości wytrąca bohaterkę z idylli, a cała rzecz szybko skręca w kierunku surrealistycznego, niepokojącego psychologicznego horroru, w którym granice między prawdą a ułudą przestają istnieć. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Mother!", reż. Darren Aronofsky, wyst. Jennifer Lawrence, Javier Bardem, Ed Harris, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Pewnego razu w listopadzie", reż. Andrzej Jakimowski, Polska 2017***
- ***„Młynarski. Piosenka finałowa", reż. Alicja Albrecht, Polska 2017***
- ***„Złe mamuśki 2. Jak przetrwać święta", reż. Jon Lucas, USA 2017***
- ***„Dziennik cwaniaczka: Droga przez mękę", reż. David Bowers, USA 2017***

eprasa.pl 6ed2495ad6

Człowiek z przeszłością

Aki Kaurismäki przymierzył strój publicysty. Nie leży na nim zbyt dobrze.

Początek jest obiecujący i jakże typowy dla fińskiego oryginała. Oto spod warstwy węgla wygrzebuje się młody mężczyzna. Kolejny skłócony z życiem „człowiek bez przeszłości"? Niespodzianka – tym razem mamy do czynienia z uciekinierem z Syrii. Khaled już od dłuższego czasu tuła się po Europie, więc zdążył przywyknąć do chłodu i bezdusznych biurokratów. W Gdańsku zaatakowali go neonaziści, w Helsinkach też szybko podpadnie troglodytom z Finlandzkiej Armii Wyzwoleńczej. Kolega z ośrodka dla uchodźców radzi mu, by mimo wszystko udawał zadowolonego, bo melancholików odsyła się do ojczyzny w pierwszej kolejności.

„Po tamtej stronie" może się spodobać tym, którzy nie obcowali jeszcze z kinem Kaurismäkiego, cenią nienachalny humor, a przy tym mają słabość do estetyki schyłkowej PRL. Szarobury świat, zaludniony przez osobników uzależnionych od nikotyny i amerykańskiej muzy, kojarzyć się może bowiem z latami 80. Mordowni Złoty Kufel nie da się przerobić na przodujący sushi bar, jej pracowników i klienteli zaś na szermierzy idei humanizmu oraz demokracji. Fin mimo wszystko próbował. W nagrodę za ten daremny wysiłek jurorzy berlińskiego festiwalu przyznali mu Srebrnego Niedźwiedzia. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. AKI KAURISMÄKI
„PO TAMTEJ STRONIE" („TOIVON TUOLLA PUOLEN")
FINLANDIA 2017

wyst. Sherwan Haji, Sakari Kousmanen, Simon Al-Bazoon

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KOCHAM CIĘ, MÓJ CZARNUCHU

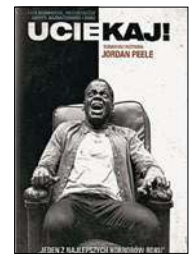

★★★★★☆

REŻ. JORDAN PEELE
„UCIEKAJ!" („GET OUT")
USA 2017, FILMOSTRADA

wyst. Daniel Kaluuya, Allison Williams, Bradley Whitford

W swoim gatunku to prawdziwy majstersztyk. Film jest dziełem Jordana Peele'a, dotąd znanego jako scenarzysta, głównie komedii. Jego reżyserski debiut łączy społeczną i polityczną satyrę z psychologicznym thrillerem oraz horrorem. Sympatyczny czarnoskóry fotograf jedzie ze swoją białą narzeczoną do domu jej rodziców. Trafia do zagubionej w lasach rezydencji, wokół której ogniskuje się życie dziwnej społeczności. Bogaci biali na wyścigi przekonują, jak bardzo szanują czarnych, ale sami nieliczni czarni zachowują się jak niewolnicy albo zombie. Pan domu to uznany neurochirurg, jego żona jest psychoterapeutą – specjalność hipnoza. Rozwiązywanie zagadki daje widzowi równie wiele przyjemności co odkrywanie kolejnych warstw metafory konfliktu rasowego, która jest głównym tematem filmu: co biali tak naprawdę myślą o czarnych, czego im zazdroszczą i gdzie widzą ich miejsce w społeczności. Kapitalna zabawa rasowymi stereotypami i uprzedzeniami, w dodatku naprawdę przerażająca.

BOŻE DZIECI W POWROZACH

★★★☆☆☆

REŻ. HANS PETTER MOLAND
„WYBAWIENIE" („FLASKEPOST FRA P")
DANIA 2016, KINO ŚWIAT

wyst. Nikolaj Lie Kaas, Fares Fares, Pål Sverre Hagen

Trzeci film z serii kryminałów powstających na podstawie znanych także w Polsce powieści duńskiego pisarza Jussiego Adler-Olsena. Poprzednie to „Kobieta w klatce" i „Zabójcy bażantów". Bohaterami są policjanci z Departamentu Q zajmującego się niewyjaśnionymi sprawami z przeszłości. Tym razem śledztwo dotyczy porywacza i mordercy dzieci. Morze wyrzuciło butelkę z listem, w którym jedna z ofiar wzywa pomocy. Tamtemu dziecku pomóc już nie można (butelka pływała po Morzu Północnym osiem lat), ale niemal w tym samym czasie policja otrzymuje informację o kolejnym porwaniu. Dochodzenie jest trudne, bo uprowadzone dzieci pochodzą z zamkniętej społeczności świadków Jehowy. Detektywi prowadzą zaś dysputy o tym, czy wiara w Boga to bzdura. Argumenty strony wierzącej prezentuje duński muzułmanin imieniem Assad, biały Duńczyk to zaciekły ateusz. Takie czasy. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „ŚRÓDZIEMIE: CIEŃ WOJNY" ★★★★★☆

Po dekadach posuchy, w 2014 r., Śródziemie doczekało się gry wykorzystującej potencjał tkwiący w tolkienowskim uniwersum. Tak oceniano „Cień Mordoru" – połączenie RPG i gry akcji. Jego kontynuacja – „Cień wojny" – poprawia niektóre błędy poprzednika i wprowadza kilka satysfakcjonujących zmian. Chociaż nadal walczymy jako Strażnik Północy – Talion – oraz elfie widmo Celebrimbor, to zwiększyła się skala toczonych z proceduralnie generowanymi przeciwnikami bitew. Teraz, poprzez rekrutację własnej armii, można również podbijać potężne garnizony. Razi natomiast wrzucony na siłę system mikropłatności. ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *TPP/RPG*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Monolith/Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 6ed2495ad6

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Złote czasy dla szpiegów

O książce tej powinienem pisać w „Do Rzeczy Historii", potężny tom autorstwa sir Maxa Hastingsa przynależy bowiem do literatury historycznej jako znakomity wykład dziejów szpiegostwa w czasie II wojny światowej. A jednak, nie tylko ze względu na walory stylu, czyta się „Tajną wojnę" niczym najlepszy thriller, namawiałbym więc do lektury tej pracy także „niedzielnych" czytelników książek historycznych, po które sięgają rzadko, gustując za to w powieściach np. Iana Fleminga i pasjonując się filmowymi przygodami Jamesa Bonda.

„Często mówi się – powiada Max Hastings – że thrillery Iana Fleminga nie mają nic wspólnego z prawdziwym światem wywiadu. Kiedy jednak czytam współczesne sowieckie raporty i zapisy rozmów, a także wspomnienia oficerów wywiadu ZSRS z czasów wojny, uderza mnie, jak niesamowicie odzwierciedlają szalone, złowrogie, wymyślone dialogi tego rodzaju ludzi z »Pozdrowień z Rosji« Fleminga. A niektóre spiski uknute i zrealizowane przez NKWD i GRU okazywały się nie mniej fantastyczne niż te z jego powieści".

Chociaż „Tajna wojna 1939–1945" ze zrozumiałych względów ma anglocentryczny charakter, to najwięcej dowiadujemy się z niej o sukcesach wywiadu sowieckiego. To dokonania szpiegów Stalina przyćmiły poczynania wszystkich innych państw biorących udział w wojnie, tyle że – zdaniem autora – paranoja sowieckiego przywódcy wpłynęła na to, że nie wykorzystano należycie uzyskanych przez wywiad ZSRS tajemnic, politycznych i wojskowych.

Brytyjski historyk akcentuje przy tym wagę, jaką Rosja przykładała do szpiegostwa od czasów przedrewolucyjnych. W ZSRS zdumiewało, na jakiej stopie żyli sowieccy szpiedzy, jakie sumy płacili swoim informatorom, z jakiego sprzętu korzystali i to wtedy, gdy ich ojczyzna klepała biedę. Tak było jednak też wcześniej. W 1912 r. – czytamy – Niemcy wydały na swoje tajne służby 80 tys. funtów, Wielka Brytania – 50 tys., a Francja – 40 tys. Tymczasem Rosjanie mieli szpiegowski budżet rzędu 380 tys. funtów, a do tego jeszcze 335 tys. funtów kosztowała carska tajna policja.

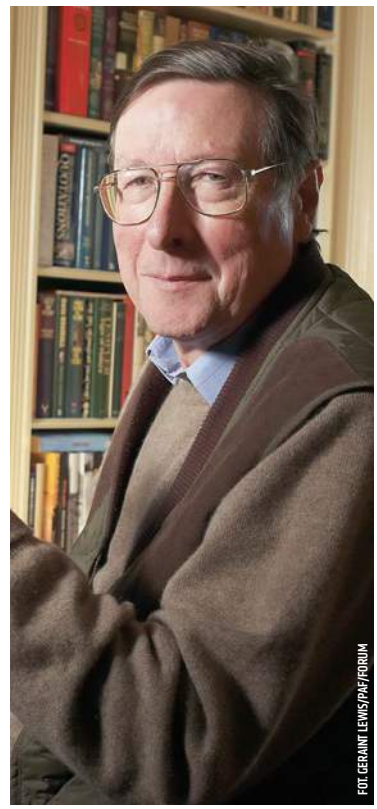

FOT. GERAINT LEWIS/PAF/FORUM

Postaciami książki Hastingsa są międzynarodowi awanturnicy, skrytobójcy, ale i bohaterowie, którzy w wybitnym stopniu przyczynili się do pokonania Hitlera. Z naszego punktu widzenia może nie docenił autor polskiego wkładu w to alianckie dzieło. Wspomina Hastings o Jerzym Sosnowskim, Januszu Radziwille, sprawie katyńskiej, „Enigmie", zdobyciu wiedzy o produkcji rakiet V-1 i V-2, i to właściwie wszystko. À propos tych ostatnich, to mało kto wie, że „w wyniku alianckich bombardowań »ośrodków narciarskich« i innych obiektów związanych z bronią V we Francji, a także wyrzutni rakiet V-2 w Holandii zginęło więcej Francuzów i Holendrów, niż tajna broń Hitlera zabiła brytyjskich cywilów. Od 8 września 1944 roku do 27 marca 1945 roku na Anglię spadły 1054 rakiety, a zginęło od nich 2700 londyńczyków". A zatem jedna rakieta – dwóch, trzech zabitych. Nie lekceważąc tych zgonów, trudno się dziwić Churchillowi, że militarne pomysły Hitlera ocenił krótko: „Góra urodziła mysz".

A najciekawsze w tej książce jest zakończenie, w którym Max Hastings pisze wprost, że w latach II wojny światowej, w czasie, który opisał, tajna wojna była jeszcze w powijakach. Dopiero teraz dla najprzeróżniejszych kryptologów, łamaczy szyfrów i specjalistów od wojny cybernetycznej nastały złote czasy. Najważniejszą bronią Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych stała się elektroniczna inwigilacja środków przekazu. Afera Edwarda Snowdena dobitnie wykazała, jakich rozmiarów szkody może spowodować agent, który chce zaszkodzić swojemu pracodawcy, czytaj: swojemu państwu. „Można tylko odetchnąć z ulgą – stwierdza autor »Tajnej wojny« – że Snowden nie służył w czasie wojny w Bletchley lub Arlington Hall. Żyje on w nowym świecie, w którym dawne definicje konfliktu, a także patriotyzmu, nie są już powszechnie uznawane".

Rzeczywiście, taki jest nasz świat. W którym przyszła wojna, jeśli taka się zdarzy, będzie właśnie tajną wojną. Nie inną. ©℗

★★★★★★

MAX HASTINGS „TAJNA WOJNA 1939–1945. SZPIEDZY, SZYFRY I PARTYZANCI" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2017

eprasa.pl 6ed2495ad6

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kocie sprawy

W maszynopisach niedrukowanych utworów Charlesa Bukowskiego znalazło się kilka wierszy o kotach – niektóre z nich znakomite. Ale to za mało na książkę, więc autor wyboru, Abel Debritto, musiał trochę pogłówkować. Dołożył „kocie wiersze" z niskonakładowych tomików, pogrzebał w kawałkach nieukończonej prozy, przejrzał wydane wcześniej i dobrze znane książki Bukowskiego, przewertował wywiady i listy w poszukiwaniu kocich tropów. I tak powstała książka, którą można postawić obok słynnego tomiku T.S. Eliota „Koty" albo obok cudownych kocich wspomnień Marka Nowakowskiego.

Niektóre obrazy powracają w niej nieustannie, przede wszystkim opowieść o potrąconym przez samochód kocie Bukowskiego, którego cudem udało się odratować, choć „chodził trochę bokiem". Amerykański twardziel na różne sposoby wraca do tamtej traumy, niczym Jim Morrison do wypadku drogowego, którego był świadkiem w dzieciństwie.

Bukowski był w kotach zakochany, darzył je szczerym podziwem, choć czasem nie krył irytacji (ale każdy kociarz doskonale zna obydwa te uczucia). Gdy jest ci źle, rzecze poeta, nic nie poprawia ci humoru tak jak spojrzenie na kota, którego życie jest wielką lekcją dawania sobie rady z przeciwnościami losu. A kiedy możesz spojrzeć na pięć kotów – to od razu jest ci pięć razy lepiej.

Sam miał ich więcej, raz sześć, raz dziewięć, w wierszach wylicza ich imiona: Ting, Ding, Beeker, Bhau, Pióras, Pięknis. Chociaż miały zwać się inaczej: Turgieniew, Fiodor, Ezra. „Żadnego Tołstoja"– wzdycha zmartwiony Bukowski. Autor „Factotum" nie byłby jednak sobą, gdyby poprzestał jedynie na liryzmie. Szczególnie w pierwszych partiach książki sporo jest o kotach mordercach, o maszynach do zabijania, niestrudzonych, które nigdy nie rezygnują z wyznaczonego celu.

W kilku przypadkach możemy porównać, jak te same frazy, których Bukowski używał w wywiadach czy listach do przyjaciół, zamieniały się potem w wiersze, będą więc mieli co robić i ci, którzy sięgną po tę książkę wiedzeni instynktem badacza. Mnie najbardziej zachwycił krótki fragment prozy „Rano zbudziliśmy się jako mąż i żona", kawałek niepublikowanej, bo nieukończonej większej całości.

Chciałbym przeczytać książkę, która się tak zaczyna. ©℗

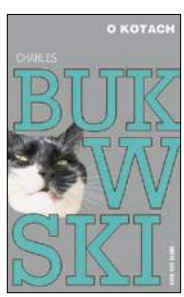

★★★★★★

CHARLES BUKOWSKI „O KOTACH" NOIR SUR BLANC 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowa powieść hinduskiej autorki entuzjastycznie przyjętego bestsellera „Bóg rzeczy małych". Bardziej polityczna i współczesna od poprzedniej, koncentruje się na tragicznych zamieszkach w Gujaracie, do których doszło w 2002 r.

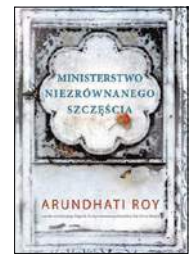

ARUNDHATI ROY „MINISTERSTWO NIEZRÓWNANEGO SZCZĘŚCIA" ZYSK I S-KA

„The best of" autora „Morfiny". Pięć opowiadań pochodzi ze zbioru „Tak jest dobrze", jest drobiazg z antologii „Pożądanie", odrobina nowości. Ważniejsze, czego nie ma – żadnych śladów po wczesnej twórczości.

SZCZEPAN TWARDOCH „BALLADA O PEWNEJ PANIENCE" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Uchwycić tego ostatniego błysku się nie da, ale można rozważać: Co zmieniła w nich świadomość bliskiej śmierci? Czy widzieli więcej od nas? Zbiór esejów o ostatnich chwilach tęgich umysłów. Wśród bohaterów m.in. Freud, Sontag, Updike.

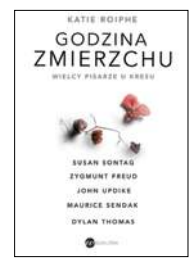

KATIE ROIPHE „GODZINA ZMIERZCHU" WIELKA LITERA

Od Norwida do Rymkiewicza, od Świętochowskiego do Miłosza. Czterdziestu autorów (nie mogło zabraknąć ani Herberta, ani Gombrowicza). Obszerna pionierska antologia w znakomitym wyborze Jana Tomkowskiego. ©℗

poleca Piotr Gociek

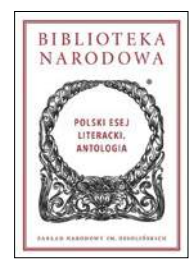

ANTOLOGIA „POLSKI ESEJ LITERACKI" OSSOLINEUM

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Dan Brown „Początek" (Sonia Draga) – piąta powieść serii o Robercie Langdonie, której najbardziej znaną częścią był „Kod Leonarda da Vinci".***
2. ***Grzegorz Kubicki, Maciej Drzewicki „Ania. Biografia Anny Przybylskiej" (Agora) – opowieść o przedwcześnie zmarłej aktorce znanej m.in. ze „Złotopolskich".***
3. ***Carlos Ruiz Zafón „Labirynt duchów" (Muza) – nowa powieść autora bestsellera „Cień wiatru", zamknięcie cyklu „Cmentarz zapomnianych książek".***
4. ***David Lagercrantz „Mężczyzna, który gonił swój cień" (Czarna Owca) – piąty tom cyklu „Millennium", drugi, którego autorem nie jest Stieg Larsson.***
5. ***Izabella Wentz „Hashimoto" (Wydawnictwo Otwarte) – podtytuł mówi wszystko: „Jak w 90 dni pozbyć się objawów i odzyskać zdrowie".***

(Najchętniej kupowane tytuły w sieci Empik od 2 do 15 października 2017 r.)

eprasa.pl 6ed2495ad6

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Zatańczmy rumbę

Warszawska Orkiestra Sentymentalna FOT. RADEK POLAK

Żeby gramofon wprawić w ruch, potrzebna jest siła mięśni. Na potańcówkach międzywojennej Warszawy przed kolejnymi tangiem lub rumbą nakręcano sprężynowy mechanizm patefonu. Bo szklana płyta nie ruszy z miejsca, spod igły nie popłyną dźwięki, jeżeli w muzykę nie zainwestujemy własnej energii.

Wiedzą o tym dobrze muzykanci z Warszawskiej Orkiestry Sentymentalnej i być może dlatego ich druga płyta, „Umówmy się na dziś", jest tak energetyczna i tak porywa do tańca. Gabrysia Mościcka i jej przyjaciele zapraszają nas do odkrywania mało znanego świata piosenek dawnej Warszawy.

Orkiestra ożywiła na nowo drapieżne polki, sentymentalne walczyki, uwodzicielskie tanga i wszystko to, co docierało wtedy do nas wraz z amerykańskimi filmami – fokstroty, rumby, slow foxy. Kompozycje Petersburskiego, Henryka Warsa, piosenki z repertuaru Adama Astona, Wiery Gran, ale też zagraniczne szlagiery, jakie grano w teatrzykach i kabaretach nie najlepszej reputacji, powracają w mistrzowskiej interpretacji. Słychać w tym rasową jazzową szkołę (boć to przecież w tej muzyce był już jazz) i wirtuozerię muzyków. Lena Nowak – klarnecistka, Krzysztof Baranowski – gitarzysta, Kazimierz Nitkiewicz – trębacz, Łukasz Owczynnikow – kontrabasista – to rewelacyjni instrumentaliści – z najlepszych polskich akademii muzycznych. Z tarką, garnkami i bębenkiem, pojawia się Mateusz Kowalski, znany jako rewelacyjny skrzypek wielu ludowych formacji. Unikalne brzmienie orkiestry to także Kuba Fedak i jego wibrafon (instrument trudny i nieco zapomniany, bo niewygodny w transporcie). Tym, co jednak podbija serca, jest urokliwy głos Gabrysi Mościckiej, jej sposób śpiewania, w którym słychać fenomenalne wyczucie stylu tamtych lat.

Mnie zachwyca jeszcze jedno. W muzyce zaaranżowanej i wykonanej dość precyzyjnie, ujętej w rygory formy, pozostaje ciągle duża dawka szaleństwa i wolności, a na to mogą sobie pozwolić tylko najlepsi. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Nie patrząc w przeszłość

Robert Plant jest jedynym z herosów heavy metalu lat 70., który odnalazł nowy język artystycznego wyrazu, a jego płyty zyskują poklask zarówno recenzentów, jak i słuchaczy.

Najsłynniejszy krzykacz rocka długo pozostawał w cieniu dokonań Led Zeppelin. Przez 20 lat od rozwiązania zespołu odcinał kupony od dawnej sławy, by w XXI w. powrócić do folkowego mistycyzmu. W odróżnieniu od dokonań starej grupy, która czerpała inspirację z brytyjskiej tradycji, Plant przyswoił wpływy amerykańskiej muzyki appalaskiej, malijskiego pustynnego bluesa, marokańskiej gnawy, arabskiej rytmiki, nie zapominając przy tym o wiejskim bluesie i psychodelii. Geniusz 69-letniego wokalisty polega na tym, że te inspiracje przetworzył we własną muzykę. Co więcej, po latach muzycznej włóczęgi powrócił tam, gdzie przynależy. U boku ma świetny zespół The Sensational Space Shifters, który w studiu wspomagali folkowi muzycy z Gambii, Albanii i Anglii. Chrissie Hynde z Pretenders zaśpiewała w klasyku rockabilly „Bluebirds Over the Mountain", jedynym nieoryginalnym nagraniu na płycie.

„Carry Fire" jest kontynuacją wydanego trzy lata temu albumu „Lullaby and… The Ceaseless Roar". Różnica polega na tym, że Plant wyraża w tekstach zaniepokojenie kierunkiem, w jakim kroczy świat. Unika uproszczeń, a zarazem i mentorskiego tonu. Co więcej, swój wiek obnosi z dumą i nie patrząc w przeszłość, skupia się na teraźniejszości. ©℗

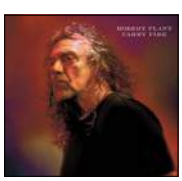

★★★★★★

ROBERT PLANT „CARRY FIRE" NONESUCH

★★★★★★

JACASZEK & BUDZYŃSKI „LEGENDA" NARODOWE CENTRUM KULTURY

Reinterpretacja legendarnej „Legendy" zespołu Armia. Po 26 latach gnostyckie teksty Budzyńskiego obudowane mroczną, elektroniczno-filmową muzyką robią piorunujące wrażenie i doskonale się wpisują w 1050. rocznicę chrztu Polski. ©℗

★★★★★★

MAGDA PATRYS „T.LOVE. POTRZEBUJĘ WCZORAJ" IN ROCK

Z okazji 35-lecia istnienia T.Love wznowiono biografię zespołu uzupełnioną o wydarzenia z ostatniego dziesięciolecia i wiele nowych zdjęć. Atrakcją jest koncert na DVD z 2014 r. zarejestrowany w zakładzie karnym w Opolu Lubelskim. ©℗

eprasa.pl 6ed2495ad6

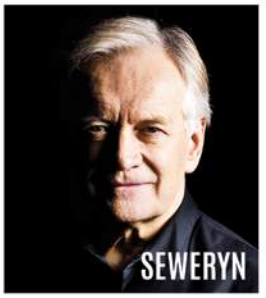

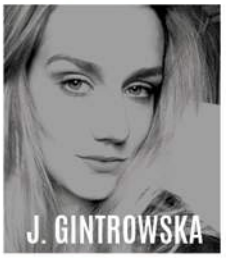

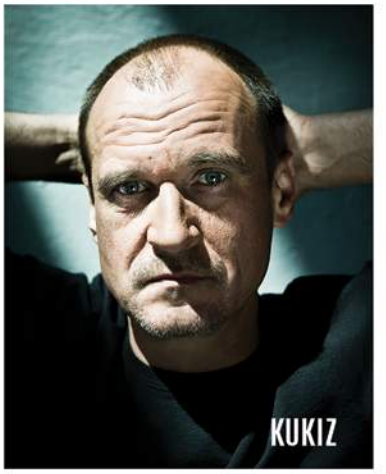

11 GRUDNIA
GODZINA 20.00
TEATR POLSKI
W WARSZAWIE

WYJĄTKOWY KONCERT

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

ORAZ 30 - OSOBOWA ORKIERSTRA
POD BATUTĄ JANKA STOKŁOSY

ZAPRASZAMY:
PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00
SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00
KASA W TEATRZE POLSKIM CZYNNA WYŁĄCZNIE NA GODZINĘ PRZED SPEKTAKLEM.

BILETY DO NABYCIA:
KASA GŁÓWNA TEATRU
UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

WSPÓŁORGANIZATOR: FINA

MECENAT KONCERTU: PGNiG, LOTOS, Enea

PARTNERZY WYDARZENIA: Lotto, Fundacja XX. Czartoryskich, centrum historii zajezdnia, Ośrodek Pamięć i Przyszłość, Wrocław the meeting place

PATRONI MEDIALNI: wprost, Do Rzeczy, TVP 1

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA: Classic

eprasa.pl 6ed2495ad6

Sławomir Cenckiewicz

Luśnia – fałszywy świadek oskarżenia Macierewicza

Prawie jedna trzecia oskarżycielskiej książki Tomasza Piątka „Macierewicz i jego tajemnice" dotyczy Roberta Luśni. Jawi się on jako najniebezpieczniejszy agent w dziejach komunistycznej bezpieki

Luśnia tak skutecznie omotał Macierewicza, że doprowadził do biznesowo-służbowych związków ministra obrony z Moskwą. W opowieści pełnej spisków nic jednak się nie zgadza. Nawet weryfikowalne w archiwach i literaturze historycznej fakty.

NIE WIE, ALE WIE...

Pierwsza i druga część książki Piątka dotyczy Luśni. Łączą je skrajne niechlujstwo i chaos. Autor wyznał na wstępie: „Nie wiem, czy sprawa Luśni jest głównym »korzeniem« afer związanych z Macierewiczem". Niby nie wie, ale jednak wie i obsadza Luśnię w roli zakulisowego machera Macierewicza, pisząc to wszystko bez powoływania się na dostępną literaturę historyczną. Dostępne materiały IPN i akta procesu lustracyjnego Luśni – pomimo powielanych deklaracji o szczegółowej lekturze („wielokrotnie je przeczytałem") – wykorzystał w niewielkim stopniu. Nawet w tak prostej kwestii jak data wszczęcia postępowania lustracyjnego Biura Rzecznika Interesu Publicznego wobec posła Luśni autor się myli. Według niego postępowanie lustracyjne wobec Luśni miało zostać wszczęte w 2001 r. (s. 67), innym razem z kolei w 2003 r. (s. 53). W rzeczywistości było to 14 maja 2003 r. Autor opisuje też rzekome biznesowe związki Macierewicza z Luśnią (TW ps. Nonparel). Przekonuje, jakoby Macierewicz miał dać pieniądze Luśni na przejęcie firmy Herbapol Lublin, po czym swoje oskarżenia kończy w następujący sposób: „W żaden bezpośredni sposób nie udało mi się potwierdzić informacji, jakoby Macierewicz dał pieniądze Luśni na wykupienie udziałów w Herbapolu Lublin".

DYLETANT

Piątek nie ma podstawowej wiedzy o służbach specjalnych. W tekście pojawiają się nieistniejące struktury SB w rodzaju: „Zespół Analiz" zamiast Zespół Doradcy

Robert Luśnia podczas sejmowej debaty nad samorozwiązaniem Sejmu, 5 maja 2005 r. FOT. MACIEJ FIGURSKI/FORUM

POSTANOWIENIE O OKRESOWYM ZAWIESZENIU
PRZEKAZANIU LUB ROZWIĄZANIU WSPÓŁPRAC
T.w. ps. Nonparel Nr ewidencji 76
Powód zawieszenia, przekazania lub rozwiązania współpracy *)

W październiku 1984 r. TW ps. Nonparel „odmówił współpracy" i skreślono go z aktywnej sieci agenturalnej SB FOT. IPN

eprasa.pl 6ed2495ad6

Ministra Spraw Wewnętrznych, „Wydział III-Z Komendy Stołecznej Milicji" zamiast Wydział III-2 Komendy Stołecznej MO, „lubelski oddział UOP" zamiast Delegatura UOP w Lublinie, „szef krajowego UOP" czy wreszcie „Centrum Ekspertów Kontrwywiadu NATO". Autor nie ma większego pojęcia o tajnych służbach PRL i III RP, ich strukturach oraz jednostkach terenowych, co – zważywszy na ciężar gatunkowy formułowanych przez niego zarzutów – świadczy o jego skrajnym braku profesjonalizmu.

Piątek twierdzi, że Luśnia nadal jest członkiem zarządu Głos – Fundacji dla Zachowania Polskiego Dziedzictwa, w której radzie zasiada także Macierewicz. Niestety, mija się z prawdą. Luśnia wybrany został do zarządu fundacji w 2003 r. i był jego członkiem do 2005 r., gdyż po tym, jak 5 maja 2005 r. sąd orzekł, że poseł „złożył niezgodne z prawdą oświadczenie" lustracyjne, zrezygnował z funkcji. Wystarczyło sprawdzić dokumenty w KRS (autor sugeruje, że „spędził tam łącznie kilkanaście godzin"), które odnotowują tę zmianę. Piątek w wygodny dla siebie sposób myli dwie daty – 2003 r. (wszczęcie postępowania lustracyjnego) i 2005 r. (uznanie przez sąd, że Luśnia był agentem SB, rezygnacja z członkostwa w fundacji, zerwanie znajomości osobistej i politycznej z Macierewiczem), by wyprowadzić zarzut, że mimo dowiedzionej agenturalności „Macierewicz nadal spotykał się z Luśnią". Dowodem w tej sprawie ma być relacja anonimowych świadków o tym, że widzieli Macierewicza z Luśnią (w czasie procesu lustracyjnego), a później podczas uroczystości pogrzebowych wspólnej znajomej.

AGENT „NONPAREL"

Warto zauważyć, że nawet tak oczywista i – wydawałoby się – łatwa do omówienia sprawa agenturalna Luśni została przez Piątka zmanipulowana. Nie bronię Luśni przed zarzutem współpracy z PRL-owską bezpieką, która jest bezsprzeczna, świadoma, wynagradzana materialnie i szkodliwa dla konkretnych osób. Domagam się jednak prawdy, proporcji w jej opisie i w formułowaniu jednoznacznie brzmiących tez.

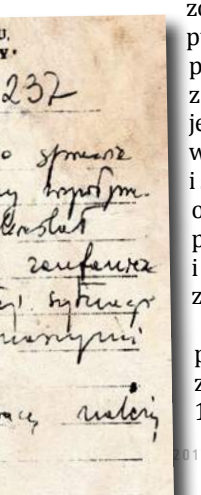

Robert Luśnia został pozyskany do współpracy z SB w dniu 15 kwietnia 1983 r. przez por. Józefa Nadworskiego z Wydziału X Departamentu III MSW jako TW ps. Nonparel, ale w październiku 1984 r. (najpewniej 24 października 1984 r. odbyło się ostatnie spotkanie) „po sprawie związanej z ks. Popiełuszko tajny współpracownik odmówił współpracy". „Podkreślał – czytamy w notatce oficera SB – że taki wypadek pozbawił go zaufania do Służby Bezpieczeństwa i w tej sytuacji nie będzie się spotykał z naszymi pracownikami. W związku z powyższym współpracę należy rozwiązać".

Formalnie w ewidencji operacyjnej SB Luśnia figurował jako TW aż do 6 października 1988 r., ale w wyniku standardowego przeglądu akt sprawy przez kierownictwo Wydziału X Departamentu III MSW jednoznacznie stwierdzono, że w październiku 1984 r. TW ps. Nonparel „odmówił współpracy" i skreślono go z aktywnej sieci agenturalnej SB. Piątek nie ma pojęcia o ewidencji SB i procedurach obowiązujących w MSW PRL, stąd też buduje fałszywą teorię o „czterech latach wyrwanych z życiorysu" oraz „zakończeniu współpracy z konfidentem dopiero cztery lata później", czyli w 1988 r., i śmiało pisze o Luśni jako agencie SB „w latach 80.". W rzeczywistości płk Tadeusz Zawadzki – który według Piątka miał dopiero w 1988 r. zakończyć sprawę agenturalną Luśni – jedynie formalnie w wyniku przeglądu akt zamykał sprawę TW ps. Nonparel, przekazując ją do archiwum. Gdyby autor dysponował specjalistyczną wiedzą i wolą rzeczywistego wyjaśnienia sprawy Luśni, to zrozumiałby, że już w 1985 r. stał się on faktycznie „figurantem" (osobą rozpracowywaną) stołecznej SB, a działania bezpieki prowadzono w tej sprawie w ramach akt sprawy TW ps. Nonparel, o czym świadczą liczne dokumenty z lat 1985–1987 wpięte do teczki. Mało tego, za znieważenie Sejmu PRL w 1985 r. (podczas posiedzenia Senatu Politechniki Warszawskiej) skierowano do sądu akt oskarżenia przeciwko Luśni. Został on następnie skazany na rok więzienia z zawieszeniem na pięć lat. Niezależnie od różnych materiałów śledczych i sądowych w tej sprawie, z których Piątek w IPN nie korzystał, wątki dotyczące represjonowania Luśni przez bezpiekę oraz władze po 1984 r. znajdują się przecież w teczce TW ps. Nonparel, którą autor książki miał tak wnikliwie studiować!

FANTASTA

Jednak manipulacje Piątka wykraczają poza powyższą kwestię, bo wiąże on Roberta Luśnię z sowieckim wywiadem wojskowym GRU, a nawet pośrednio z samym Putinem (wykres nr 2 w książce)! W tej kreacji rzeczywistości posłużył się postacią kpt. Józefa Nadworskiego, który poza tym, że był werbownikiem i oficerem prowadzącym Luśnię, kolegował się z innym oficerem Departamentu III MSW i Zespołu Doradcy Ministra Spraw Wewnętrznych – mjr. Markiem Zielińskim. Zieliński został aresztowany w 1993 r. przez UOP jako szpieg współpracujący (przynajmniej od 1981 r.) najpierw z wywiadem sowieckim, a następnie rosyjskim. Autor opisuje Zielińskiego jako najważniejszego szpiega rosyjskiego w Polsce (według znanego tylko sobie kryterium!), którego raporty miały rzekomo wędrować nawet bezpośrednio do Biura Politycznego KPZR (sic!). Piątek napisał, że po aresztowaniu Zielińskiego ten „wsypał" Nadworskiego jako agenta GRU, który też na pewien czas trafił do aresztu. Niestety, nie przedstawił na to żadnych dowodów: „Nadworski też został aresztowany. Spędził rok w areszcie śledczym. Pod jakim zarzutem? Przewodzenie zorganizowanej grupie przestępczej. Grupa miała handlować bronią, czerwoną rtęcią i niewolnicami seksualnymi. To ten sam rodzaj handlu, jakim zajmowała się i wciąż zajmuje organizacja Mogilewicza". A więc nagle z tekstu wynika, że aresztowanie Nadworskiego było spowodowane nie szpiegostwem, ale powiązaniami z rosyjską mafią. Zamiast dowodów mamy zatem dwie sprzeczne wersje na temat okoliczności zatrzymania Nadworskiego.

Dla Piątka nie ulega wątpliwości, że skoro Nadworski prowadził w przeszłości TW ps. Nonparel i znał oficerów GRU, to podobne związki z wojskowym wywiadem sowieckim miał także były kolega obecnego ministra obrony – Luśnia. Swoje konfabulacje Piątek przedstawił w formie wykresu opisującego rzekome powiązania mafijno-szpiegowskie szefa MON (wykres nr 2 w książce). Stosowne kreski połączyły w jego książce następujące podmioty: Putin – GRU – Marek Zieliński – Józef Nadworski – Robert Luśnia – Antoni Macierewicz.

TRUDNA PRAWDA

W rzeczywistości z dostępnych akt osobowych i sądowych Zielińskiego wynika, że wiosną 1981 r. Nadworski poznał w swoim mieszkaniu Marka Zielińskiego z Aleksandrem Zadrożnym, III sekretarzem ambasady ZSRS. Na tym incydencie kończy się cały wątek rzekomej współpracy Nadworskiego i Luśni z GRU, jaki miał – co sugeruje Piątek – wynikać z dostępnych dokumentów!

eprasa.pl 6ed2495ad6

Zieliński natomiast miał współpracować z GRU przynajmniej od 1981 do 1993 r., chociaż broniący go w trakcie procesu wysocy rangą funkcjonariusze MSW PRL i przełożeni z Departamentu III MSW z gen. Krzysztofem Majchrowskim na czele twierdzili, że całe MSW w oficjalny sposób współpracowało z Sowietami, a współpraca z GRU to „spełnienie swojego internacjonalistycznego" i „patriotycznego obowiązku służenia wspólnocie socjalistycznej". O tym jednak Piątek w ogóle nie wspomina. Brnąc w swoje manipulacje i konfabulacje, buduje z Nadworskiego, Luśni oraz Zielińskiego sowiecką hybrydę.

Zresztą sam opis postaci Nadworskiego jest skrajnie zmanipulowany. Ten oficer SB, z powodzeniem rozpracowujący w skali całego kraju prawicowe środowiska antykomunistycznego podziemia (głównie Ruch Młodej Polski), został w praktyce zredukowany jedynie do działań związanych z Luśnią. W rzeczywistości Luśnia był zaledwie marginesem jego działalności, co zostało naukowo opracowane w ciągu ostatnich kilkunastu lat w moich książkach, których Piątek nie cytuje i które świadomie pomija. Wprawdzie w jednej z wcześniejszych wersji swoich tekstów („Antoni Macierewicz, jego firma i jego TW", „Gazeta Wyborcza", 18–19 czerwca 2016 r.) Piątek zarzucał mi, że pominąłem w swoich badaniach na temat RMP sprawę Luśni. Podał przykład studium opublikowanego przeze mnie w 2003 r., czyli w czasie, kiedy o sprawie Luśni w rzeczywistości nikt nie słyszał (pomijam niedostępność akt w IPN w związku z prowadzonym postępowaniem lustracyjnym od wiosny 2003 r.).

NIEWYGODNY NADWORSKI

W latach 1982–1983 Nadworski wszedł w relacje z czołówką RMP. Wiosną 1982 r. ukrywający się Aleksander Hall, tak jak wielu działaczy RMP (m.in. przebywający w obozie internowania w Strzebielinku Arkadiusz Rybicki), nie krył wątpliwości co do taktyki i sposobu prowadzenia walki podziemnej przez Solidarność po wprowadzeniu stanu wojennego. W środowisku tym podważano sens otwartej konfrontacji z systemem, krytykowano radykalizm niektórych działaczy podziemia, a nawet – choćby w warunkach internowania – nawiązywano „dialog polityczny", tak jak Arkadiusz Rybicki z funkcjonariuszem Departamentu III MSW, por. Józefem Nadworskim. Czy ten zasłużony poseł Platformy Obywatelskiej był – według logiki Piątka – także agentem GRU?

W każdym razie patronem tego typu relacji z bezpieką był wówczas Wiesław Chrzanowski, który w 1982 r. (aż do 1989 r.) utrzymywał poufne kontakty z funkcjonariuszami najpierw Departamentu II MSW, a następnie Departamentu I MSW (jako źródło „Ekspert" i „Pertex"). Piątek, który tak eksponuje swoją znajomość sprawy lustracyjnej Luśni, w jej opisie zupełnie pominął ten wątek. A przecież kwestia roli Chrzanowskiego w poufnych rozmowach z przedstawicielami MSW pojawiła się w latach 2003–2005, podczas procesu lustracyjnego Luśni. W kwietniu 2005 r. tak zeznawał w tej sprawie Robert Krzysztoń: „W okresie tzw. późnego stanu

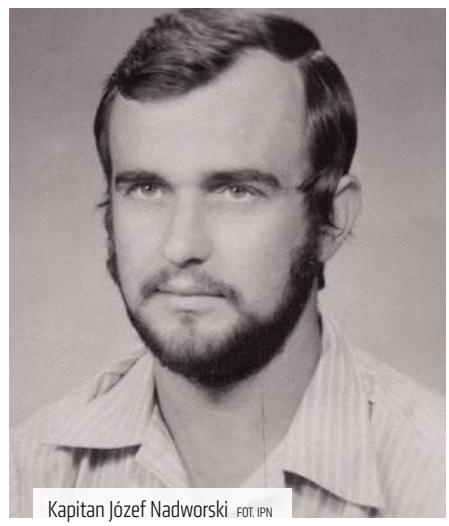
Kapitan Józef Nadworski FOT. IPN

wojennego, chyba w roku 1983, z inicjatywy prof. Chrzanowskiego były prowadzone rozmowy z bezpieką. Były to rozmowy o charakterze politycznym mające na celu wynegocjowanie uwolnienia więzionych członków Ruchu Młodej Polski i rodzaju amnestii dla tych, którzy się ukrywali. Miało to istotne znaczenie, ponieważ Ruch Młodej Polski stanowił zaplecze działalności Lecha Wałęsy. Z tego, co mnie wiadomo, to takim inicjatorem i opiekunem był prof. Chrzanowski. Z tego, co mi jest wiadomo, to tę delikatną misję prowadził Arkadiusz Rybicki".

ŚWIADECTWO ESBEKA

Na tym jednak nie koniec manipulacji Piątka. Nadworski cytowany jest fragmentarycznie i tylko w wygodnych aspektach. W rzeczywistości Nadworski wykorzystał sprawę lustracyjną Luśni, by ukazać misterną grę, jaką na polecenie Kiszczaka prowadziła bezpieka. Jego zeznania rzucają jaśniejsze światło na rolę Chrzanowskiego, Rybickiego i Luśni w zakulisowych rozmowach opozycji z SB, na ich charakter i kontekst: „Na skutek interwencji najwyższych rangą osób w państwie Ruch Młodej Polski był traktowany bardzo ulgowo i nie wszczynano żadnych postępowań, w związku z tym niechętnie ktokolwiek przyjmował do akceptującej wiadomości informacje, które mogłyby zaszkodzić Ruchowi Młodej Polski. […] Bardzo często było tak, że wiedzę o charakterze operacyjnym uzyskiwało się podczas mniej lub bardziej oficjalnych spotkań towarzyskich od osób, które wiedziały, że jestem funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa, ponieważ ja tego nie ukrywałem. Był to pewien rodzaj wzajemnej indoktrynacji, który polegał na tym, że pracownik operacyjny mówił o pewnych rzeczach, zasadach, granicach, poza którymi ci ludzie mogą być represjonowani. Chodziło o poznanie motywów działania tych osób, które były dla nas bardzo ważne. Druga strona też nie była dłużna i nas również indoktrynowano. Tak zwana opozycja była przekonana o tym, że treści tych rozmów będą przekazane wyżej. […] Robert Luśnia nie był jedyną osobą w tamtym okresie, z którą utrzymywałem kontakty służbowe. Ja mówiąc o kontaktach służbowych, nie widzę rozróżnienia pomiędzy kontaktami służbowymi a operacyjnymi w tym kontekście".

A zatem „umocowanie" kpt. Nadworskiego w środowisku politycznym, któremu patronował Chrzanowski, ma w rzeczywistości zupełnie inny kontekst i wymiar, który świadomie Piątek pominął. Choćby rzetelna analiza akt agenturalnych Luśni pozwala nam to dostrzec, bo przecież krąg osób, z którymi Luśnia utrzymuje kontakty, jest bardzo szeroki, ale z jakichś powodów właśnie nazwisko Chrzanowskiego jest wśród nich wyeksponowane. Na marginesie warto dodać, że Luśnia cieszył się takim wsparciem Chrzanowskiego, iż kiedy powstało Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, Luśnia został jego skarbnikiem.

PSEUDOŚWIADEK BLAJERSKI

Piątek usilnie sugeruje także, że Macierewicz jako szef MSW w 1992 r. poznał prawdę o Luśni i kazał ukryć jego materiały agenturalne. Według tej opowieści dokumenty miały rzekomo znajdować się w Lublinie i ukryli je podobno zaprzyjaźnieni z Macierewiczem oficerowie Urzędu Ochrony Państwa z Lublina. Jednak każdy,

eprasa.pl 6ed2495ad6

kto ma elementarne pojęcie o archiwistyce MSW i aktach SB, wie, że sprawę TW „Nonparel" prowadzono w Departamencie III MSW (gdyż Luśnia był mieszkańcem stolicy!), a więc w Warszawie, gdzie po jej formalnym zamknięciu w 1988 r. została ona przekazana do archiwum Biura „C" MSW, również w Warszawie (co potwierdzają dostępne źródła)! Na tym jednak nie koniec tych fantasmagorii.

Dowodem w powyższej sprawie mają być nieautoryzowane wypowiedzi prok. Włodzimierza Blajerskiego z Lublina. O ukryciu akt Luśni w lubelskiej delegaturze UOP miał Blajerskiemu opowiedzieć… zmarły przed laty Zbigniew Niezgoda. Pomijając kompletną niewiarygodność tej opowieści (nie można ukryć w Lublinie akt, które w tym czasie znajdowały się w Warszawie, i powołać się w tej sprawie na nieżyjącego świadka!), należy również wspomnieć o tym świadku oskarżenia. Blajerski nie może być wiarygodnym świadkiem tej opowieści, gdyż od 1992 r. należy do zadeklarowanych antagonistów Macierewicza. Ten były PRL-owski sędzia z PZPR-owską przeszłością, a nawet kursant Centrum Szkolenia Oficerów Poliycznych w Łodzi w 1974 r, następnie solidarnościowiec i szef gabinetu Chrzanowskiego w Ministerstwie Sprawiedliwości, po obaleniu rządu Jana Olszewskiego i wyrzuceniu Macierewicza z ZChN z osobistej poręki Chrzanowskiego został wiceministrem spraw wewnętrznych. Stał się wówczas prawą ręką Andrzeja Milczanowskiego, który nadzorował Zespół Inspekcyjno-Operacyjny UOP płk. Jana Lesiaka rozpracowujący operacyjnie Macierewicza i jego współpracowników. W lipcu 1993 r. Blajerski brał też udział w tuszowaniu kradzieży dokumentów agenturalnych i operacyjnych SB na temat Lecha Wałęsy znalezionych w mieszkaniu mjr. Jerzego Frączkowskiego w Gdańsku, o czym wspominam w książce „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii" z 2008 r.! W okresie rządów AWS popadł w konflikt z Luśnią w sprawie „Herbapolu", a jego wyczyny w Prokuraturze Krajowej i polityczne wolty opisywał później obszernie Piotr Pytlakowski na łamach „Polityki" (m.in. w tekście „Niezatapialni" z 18 maja 2002 r.). Wystarczy wpisać nazwisko Blajerskiego w wyszukiwarkę internetową, by zauważyć, z jak niewiarygodnym świadkiem pseudoanalizy Piątka mamy do czynienia.

RZEKOMY SOJUSZ Z LWP

Inne fragmenty książki mają rzekomo powiązać Antoniego Macierewicza z komunistami: „W 1983 r. Macierewicz miał wtedy oferować komunistycznemu generałowi Jaruzelskiemu przymierze »patriotycznej opozycji« z »państwowotwórczym wojskiem«". W rzeczywistości nigdy nie było żadnej propozycji kolaboracji Macierewicza z armią Jaruzelskiego. Piątek pisze o artykule przygotowanym przez Ludwika Dorna z „Głosu" (Zespół „Głosu", „Program bieżący", „Głos" V–VI 1983, nr 2/43, s. 18–20), którego raczej nie czytał. Sprawa ta jest od lat przedstawiana w sposób skrajnie fałszywy, bo koncepcja „Głosu" – choć równie naiwna – zakładała przewrót w LWP i jego desowietyzację, które miał dokonać młodszy korpus

Kapitan Marek Zieliński FOT. IPN

oficerski zniechęcony rolą wewnętrznego interwenta, w jaką po 13 grudnia 1981 r. wtłoczono armię PRL. Piątek nie ma także zielonego pojęcia o „Głosie". Nie wie też, że Luśnia jest współautorem wywiadu z Jarosławem Kaczyńskim („Jak to było naprawdę? Z J. Kaczyńskim rozmawiali M. Gugulski i R. Luśnia", „Głos" 4–5 XI 1989, nr 55). Strach pomyśleć, jak pokierowałby strzałkami na swoich wykresach, gdyby znał link Luśni do Kaczyńskiego.

Inną słabością są ewidentne pomyłki. Przykładowo: „Po burzliwym odejściu z ZChN Macierewicz i Luśnia tworzą Ruch Katolicko-Narodowy". Autor mija się z prawdą. Po wykluczeniu z ZChN, co przypadło na 19 lipca 1992 r., Antoni Macierewicz utworzył Akcję Polską. Ugrupowanie to startowało w wyborach do Sejmu w 1993 r. w ramach Ruchu dla Rzeczypospolitej (RdR). Z kolei w 1995 r. Macierewicz był jednym ze współtworzących Ruch Odbudowy Polski (ROP). Tam pozostawał do rozłamu, do którego doszło w grudniu 1997 r. Ruch Katolicko-Narodowy (RKN) został zarejestrowany jako partia dopiero 16 czerwca 1998 r. Również Antoni Macierewicz nie mógł zbierać pieniędzy w 1992 r. na kampanię wyborczą ZChN u Wojciecha Wasiutyńskiego: „Tym razem chodzi o wydarzenia z 1992 r. Macierewicz otrzymał misję od Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego [prawicowej partii, której Macierewicz był członkiem do roku 1992 – przyp. T.P.]. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych zebrać kasę na kampanię wyborczą dla ZChN. To wiem od Wasiutyńskiego. [Wojciech Wasiutyński to wybitny działacz narodowy, po wojnie był na emigracji w Wielkiej Brytanii i USA, zmarł w roku 1994 – przyp. T.P.]. Macierewicz zebrał mnóstwo pieniędzy, co najmniej kilkadziesiąt tysięcy dolarów, a ZChN nie dostał ani grosza. To poszło na nową partię Macierewicza, Ruch Katolicko-Narodowy". Jest to niestety niemożliwe. Kampania wyborcza odbyła się bowiem jesienią 1991 r. Kolejna zaś w wyniku przedterminowych wyborów odbyła dopiero jesienią 1993 r.

ANTYPAPISTA IDZIE NA WOJNĘ

Prostować bzdury i błędy Tomasza Piątka można by bez końca. Wyszłaby z tego książka „Piątek i jego tajemnice", w której białe kreski na ciemnym szkle połączyłby w jedną sieć dealerów narkotykowych z Panamy, masońskich wrogów Kościoła katolickiego z loży „666", żołnierzy z Frakcji Czerwonej Armii i Antify z baptystami.

No właśnie… Piątek był podobno baptystą, a teraz jest ewangelikiem reformowanym. Może stąd cechuje go tak charakterystyczna dla nowo zdefiniowanych religijnie ludzi cecha wojowania ze wszystkim, co kojarzy mu się z Kościołem katolickim. Zresztą robi to w typowym dla siebie stylu – pełnym empirii, empatii i rozsądku... Kiedy jakiś czas temu wydawał w Krytyce Politycznej sławetne dziełko „Antypapież", zdołał ustalić, że Kościół katolicki „hamuje ludzi w rozwoju duchowym, a nie popycha do przodu". A poza tym Jan Paweł II „popierał dyktatorów w Ameryce Łacińskiej, którzy mordowali nawet małe dzieci. Papież popierał ich, bo kojarzyli mu się z oporem przeciw komunizmowi". A więc rysujemy wykresik: Jan Paweł II – mordercy dzieci – dyktatura – antykomunizm.

Dzisiaj jednak wszystko staje się jeszcze bardziej proste… W końcu Macierewicz założył kiedyś Ruch Katolicko-Narodowy… A więc: Macierewicz – zabobon – palenie na stosie – inkwizycja – IV RP…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Afera reprywatyzacyjna w Warszawie zmieniła stosunek społeczeństwa do zwrotu majątku zagrabionego przez państwo komunistyczne

FOT. GRAŻYNA MYŚLIŃSKA/FORUM

Własność – rzecz święta?

Robert Bogdański

Kiedy myślimy o naszej własności, nie mamy wątpliwości, że powinna być prawnie chroniona. W innych przypadkach już nie jest to dla niektórych takie oczywiste

Czy należy chronić własność? Na tak postawione pytanie każdy sprawny na umyśle człowiek odpowie twierdząco. Przeciw będzie zapewne garstka tych, których nie uznamy za zdrowych właśnie dlatego, że tak sądzą, prawda? Problem zacznie się dopiero wtedy, gdy od ogólnych i słusznych deklaracji zaczniemy przechodzić do konkretów. Wtedy ochrona prywatnej własności, którą – odpowiadając na wstępne pytanie – popieraliśmy, przestanie być już tak oczywista.

Weźmy np. taką własność intelektualną. Pięć lat temu sugestia, że podpisanie umowy ACTA uniemożliwi darmowy dostęp do filmów i muzyki przez Internet, wyprowadziła na ulice dziesiątki tysięcy młodych ludzi w całej Polsce. Nie trzeba było żadnego potężnego miliardera, żadnych zespołów rockowych, zapiewajłów ani modnych aktorów, a astroturfing zrobił się sam. Ci protestujący w mroźną pogodę młodzi ludzie wyrazili potężny ludowy sprzeciw wobec prawa własności do utworów filmowych czy muzycznych. Zapewne mniej chodziło im o utwory literackie, ale nie dlatego, żeby byli namiętnymi nabywcami nowości książkowych. Wręcz przeciwnie.

Ten podskórnie obecny w społeczeństwie negatywny stosunek do własności intelektualnej powoduje coraz poważniejsze kłopoty mediów. Wspomnienie na Facebooku o czyimś artykule zamieszczonym w płatnym periodyku powoduje natychmiast lawinę próśb o udostępnienie tekstu. Pomysł zakupienia periodyku jest u proszących raczej rzadki. Wszystko to maskowane jest adoptowaną z chęcią legendą, że oto „internauci są przyzwyczajeni do darmowej wymiany plików". Nie trzeba dodawać, że ci, którzy nie mają ochoty kupować treści, nie mają wiele wspólnego z pierwszym „romantycznym" okresem Internetu.

CO SIĘ NALEŻY „ONYM"

Stosunek do zwrotu majątku zagrabionego przez państwo komunistyczne również nie jest oczywisty. Dwa problemy zaważyły na jego odbiorze społecznym: niechęć do Kościoła jako instytucji, która coś posiada, i ogrom złodziejstwa związany z tzw. reprywatyzacją.

Po roku 1989 tworząca się klasa polityczna bała się podnosić sprawę reprywatyzacji. Co interesujące, według badań opinii właśnie wtedy zwrot majątku popierało najwięcej – ok. dwóch trzecich – Polaków. Politycy oddawania majątku po prostu się bali. Poza tym o wiele lepiej, niż zwracać zagrabiony majątek, było go rozdawać, czyli prywatyzować państwowe przedsiębiorstwa. I popularność można było zyskać, i zarobić.

W tym czasie tylko Kościołom udało się postawić skutecznie sprawę zwrotu ich majątków. Oczywiście w praktyce oznaczało to zwrot majątku Kościoła katolickiego, bo ten był największy i najwięcej stracił, ale komisje majątkowe

eprasa.pl 6ed2495ad6

powstały dla wszystkich najważniejszych wyznań.

Kościół źle poprowadził publiczną narrację związaną ze zwrotem swojego majątku. To znaczy na początku właściwie nie poprowadził jej wcale, pozostawiając wolne pole „ekspertom" z tygodnika „Nie" i podobnych, a dopiero po wielu latach starał się opowiedzieć o faktach, które jednak przestały interesować ogół społeczeństwa, urobiony historiami o pazernych księżach i zakonach.

W rezultacie wokół zwrotu tego majątku, zabieranego w ciągu niemal całego okresu PRL w sposób haniebny i z rażącym naruszaniem nawet PRL-owskiego prawa, nagromadziło się wiele złych uczuć, trzeba przyznać, że podsycanych autentycznymi przekrętami. Ludzie Kościoła nie zawsze okazywali się święci, a wokół nich krążyli mętni pośrednicy, choćby niejaki Marek Piotrowski, były esbek, który był zatrudniany dlatego, że był skuteczny, a był skuteczny dlatego, że… No właśnie.

W ten sposób w świadomości społecznej wytworzył się negatywny obraz bogatego Kościoła, który dzięki zwrotowi majątku bogacił się jeszcze bardziej. Oddziaływało to źle na wizerunek Kościoła, a także na obraz reprywatyzacji.

Następowały erozja nastrojów prereprywatyzacyjnych i wzrost nastrojów antyreprywatyzacyjnych, rósł także odsetek obojętnych. Na tak przygotowany grunt padła lawina informacji o przestępstwach związanych z odzyskiwaniem nieruchomości w Warszawie, a potem w innych miastach. Media nazywały to reprywatyzacją, ale tak naprawdę należało mówić o zwykłej kradzieży. W dodatku układy przestępcze działały tak, że im udawało się przejmować majątek prędko, a prawdziwi spadkobiercy, pozbawieni możliwości wstąpienia na „szybką ścieżkę", czekali przez dziesięciolecia.

Ludzie, którzy walczyli ze złodziejstwem, nie byli przyjaźni własności prywatnej jako takiej. Koryfeusz tej walki, Jan Śpiewak, założyciel stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, nie ukrywał, że dąży raczej do uspołecznienia przestrzeni publicznej, a nie zwrotu kamienic byłym właścicielom. W jego oczach, a także w oczach innych osób zaangażowanych w działalność tzw. ruchów miejskich, własność prywatna nieruchomości jest czymś z natury podejrzanym, bo prywatny właściciel może dysponować swoją własnością w sposób niekoniecznie zgodny z potrzebami mieszkańców, a te są przecież najważniejsze.

Przy okazji walki z przekrętami „reprywatyzacyjnymi" następowało mniej lub bardziej subtelne ośmieszanie samej idei własności. Nie jest przypadkiem, że dziennikarki „Gazety Wyborczej", które mają ogromne zasługi w ujawnieniu tego, co działo się w ostatnich latach w Warszawie, książkę przez siebie napisaną zatytułowały ironicznie „Święte prawo". Nie przypadkiem Łukasz Warzecha, skądinąd wolnorynkowiec i zwolennik własności, chwaląc ustawę ministra Jakiego, dodaje na końcu swojego tekstu akapit skierowany przeciwko „obrońcom świętego prawa własności".

Nawet jeśli przeciwnicy własności nie występują przeciw niej otwarcie, to budują alternatywy, które mają w założeniu postawić ją w słabszej pozycji. Kiedy w 2016 r. rodzina Grocholskich uzyskała w sądzie korzystny wyrok w sprawie odebranych jej z pogwałceniem PRL-owskiego prawa gruntów w podwarszawskich Michałowicach, Jacek Żakowski, komentując tę sprawę, użył argumentu „z pańszczyzny": „Najpierw odszkodowanie za pańszczyznę niech rodzina Grocholskich zapłaci, a potem niech się starają o odszkodowania".

Podobną linię argumentacji stosują ci, którzy starają się porównywać ze sobą straty ludzkie i straty materialne. Czy jest sprawiedliwe – pytają – że nikt nie wypłaci odszkodowań rodzinom, które utraciły swoich bliskich, a ci, którzy utracili kamienice, mieliby je odzyskać? Czy mury są więcej warte niż ludzkie życie?

Powiązanie ludzkiego losu, który wart jest współczucia ze swej natury, i własności, która niejako z definicji jest zła oraz bezduszna, widać także w wątku zwracania „kamienic z lokatorami". Retoryka ta wzięła się oczywiście z niegodnych i stricte przestępczych praktyk tzw. czyścicieli kamienic, ale poszła ona o wiele dalej, niż można by to usprawiedliwić sprzeciwem wobec takich działań. Oto obecnie od lokatorów i broniących ich działaczy można usłyszeć, że „lokatorzy zostali zreprywatyzowani". W tej logice jest jasne, że żadna własność nieruchomości nie powinna istnieć, bo przecież ten, kto posiada kamienicę, „posiada" także lokatorów. Czyż nie? Zdanie pozornie absurdalne, ale wcale nie niezasadne w świetle tego, co można usłyszeć w telewizyjnych programach i w czasie pikiet.

CO UTNIE MIECZ DAMOKLESA?

Projekt ustawy reprywatyzacyjnej zapowiedziany przez wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego ma nareszcie przeciąć zapętlenie prawne, własnościowe i moralne powstałe wskutek nierozwiązania systemowego tych kwestii przez ponad ćwierć wieku i de facto stosowania prawa silniejszego. To jego wielka zaleta. Zdaję sobie sprawę z tego, że po tylu latach zaniechań rozwiązanie sprawy nie może być całkowicie sprawiedliwe, więc jestem jak najdalszy od krytyki z punktu widzenia „świętości" prawa własności. Interesuje mnie jednak, na ile wzmacnia on negatywne tendencje, jakie pojawiły się w społeczeństwie w związku z przestępczym „zwracaniem" majątku.

Widzę dwa takie obszary. Po pierwsze, ustawa przewiduje całkowity zakaz zwrotu w naturze. Uznaję argumentację, że jest to niezasadne w przypadku kamienic zburzonych i odbudowanych albo takich, na które po wojnie poniesione zostały ogromne nakłady. Pytam jednak: Czy istotnie wszystkie kamienice w Polsce zostały zburzone i odbudowane? Wystarczy się przejść po centrach wielu miast i miasteczek, aby jeszcze teraz, ćwierć wieku po upadku komunizmu, zobaczyć nieruchomości, po których dramatycznie widać, że nikt w nie nie inwestował. Czy zwrot takich, zaniedbanych i chylących się ku upadkowi, kamienic także ma być zakazany?

Według ustawy Jakiego oczywiście tak, i to z jeszcze jednego powodu, który jest drugim niepokojącym mnie obszarem: kamienice te są zasiedlone, a ustawa przewiduje zakaz zwrotu kamienic z lokatorami. Wracamy do kwestii „prywatyzowania ludzi". To absurdalny argument, ale jakże nośny społecznie. Jeżeli jednak logicznie za nim pójdziemy, to dojdziemy do zakazu jakiegokolwiek obrotu zamieszkanymi nieruchomościami. Czyli sama idea prywatnej własności zostanie w tym przypadku naruszona.

Richard Pipes w napisanej przed 20 laty książce „Własność a wolność" wskazywał na silne powiązanie historyczne między tymi obiema ideami. Na przykładzie historii Wielkiej Brytanii i Rosji pokazywał, jak własność wspierała wolność w tej pierwszej, a brak własności uniemożliwiał rozwój wolności w tej drugiej. Co więcej: rozwój lub atrofia wolności działy się przede wszystkim w ludzkich umysłach. Dobrze będzie, jeżeli zadamy sobie pytanie: Czy obecna ustawa reprywatyzacyjna, oprócz rozwiązania problemów praktycznych, będzie także sprzyjała rozwojowi idei własności? W parze z nią idzie bowiem wolność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ballada o melinie

W ramach zachwycania się polską prowincją byłem ostatnio w pewnej małej miejscowości. Bardzo mi się tam podobało, ale jedna rzecz niebywale mnie zaskoczyła – otóż nie było tam sklepu nocnego. Skłoniło mnie to do rozważań, czy funkcjonuje tam jakaś melina. A to z kolei przywołało wspomnienia.

Otóż w bloku, w którym spędziłem dzieciństwo i wiek pacholęcy, istniała tak zwana meta. Czyli – wyjaśniając młodzieży – miejsce, w którym można było nielegalnie nabyć alkohol. Meliny istniały dlatego, że nie istniały sklepy nocne. Jednak też dlatego, że sprzedaż napojów wyskokowych była w smętnych latach 80. reglamentowana. Mówiąc prościej – wódka była na kartki. Kto zużył swój przydział, nie pił. Chyba że odwiedził melinę.

Metę prowadziła nasza sąsiadka. Broń Boże, nie była jakąś żulicą. Przeciwnie. Byłą wdową na rencie, wychowywała samotnie córkę i dorabiała, sprzedając potrzebującym wódkę (inny alkohol w tych czasach nie był zbyt popularny). Była więc de facto przedsiębiorcą, który korzystał z pokaźnej niszy na rynku.

Ta zaradna kobieta – nazwijmy ją panią Marią – znalazła się po pewnym czasie na celowniku Milicji Obywatelskiej. Na wszelki wypadek nie przechowywała więc towaru w swoim mieszkaniu. Była bardzo zaprzyjaźniona z moim dziadkiem (przez lata budziły mnie ich poranne kawy i omawianie wydarzeń politycznych), a że mieszkała pod nami, lokalizacja składziku z trunkiem narzucała się sama. Dość szybko odkryłem, że za wersalką dziadka kryje się zazwyczaj z tuzin butelek „Żytniej" albo „Bałtyku". Dlatego nie dziwiły mnie nocne wizyty Pani Marii, która wpadała na chwilę do pokoju dziadka, a potem szybko z niego wychodziła czymś objuczona.

Proceder – używając żargonu programów zwalczających spekulację – trwał latami. System był bardzo prosty i skuteczny. W razie zagrożenia sąsiadka była czysta, a że magazyn znajdował się tuż pod ręką, więc spragniony klient w potrzebie nie musiał długo czekać. W razie nieobecności dziadka ja wpuszczałem panią Marię, więc miałem swój drobny wkład w prowadzenie meliny. Działała ona prężnie od ok. 1983 r., a wykończył ją ostatecznie dopiero Leszek Balcerowicz.

Jakiś czas temu, podczas rodzinnego zgromadzenia, wspomniałem z sentymentem metę pani Marii. Opowiedziałem o alkoholowej sztamie, jaką mieli sąsiadka i dziadek. I nagle zauważyłem, że moja rodzona matka otwiera usta ze zdumienia.

– Maria trzymała u nas wódkę? – spytała z niedowierzaniem. – I handlowała alkoholem?! A ja przez lata wykłócałam się z ludźmi, którzy twierdzili, że u niej jest melina! Przysięgałam, że to bzdury!

To zdumiewające, jak czasami nie zauważamy najbardziej widocznych rzeczy. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Obraza majestatu

Z pewnym rozrzewnieniem wspominam czasy, kiedy pisałem „Polskie zoo", i z przerażeniem stwierdzam, jak bardzo zmalały poczucie humoru oraz dystans do siebie wśród polityków. Ówczesna anegdota mówiła, że aby obejrzeć kolejny odcinek, przesuwano posiedzenie rządu.

I to jedno łączy mój kabaret z „Uchem prezesa" – dziełem inteligentnym i dowcipnym, które wbrew licznym krytykom (przeważnie niezdolnym kolegom po fachu) rozwija się i złapało oddech z chwilą, kiedy przestało się ograniczać do gabinetu na Nowogrodzkiej. Wbrew złośliwościom kolegów oceniam dzieło Górskiego za wybitne, inteligentne, celne, choć rzecz jasna niepozbawione wad. Jednak dziś interesuje mnie przede wszystkim różnica kontekstów. We wczesnych latach 90. każdy polityk, szczerze czy nieszczerze, ale z pewną pokorą przyjmował doprawioną mu gębę. Po setnym odcinku programu w studiu stawili się i Geremek, i Wachowski, i Suchocka, i Oleksy. Wypowiedzieli się Kaczyński i Macierewicz. Dzisiaj zachowanie Gowina, który dziękuje za pojawienie się w „Uchu...", to wyjątek. Dominuje obraza.

Karykatura, jak wiadomo, nie dopieszcza, a jedynie wyolbrzymia to, co wszyscy widzą

Trzeciorzędny polityk Budka protestuje, że narusza się jego prywatność (choć podejrzewam że jego romans z posłanką Nowoczesnej to fikcja literacka) i – o dziwo! – w tym proteście wspiera go polityk z obozu władzy. Czyżby było coś na rzeczy?

Polityka to niestety zajęcie, w którym świadomie rezygnuje się z prywatności i ryzykuje się, że stale się będzie na widoku. A karykatura, jak wiadomo, nie dopieszcza, a jedynie wyolbrzymia to, co wszyscy widzą – uśmiech Schetyny, błyskotliwość Petru czy niezmienna subordynacja Błaszczaka. Skądinąd rzekome amory posła „Borysława" z Myszką Agresorką służyły ukazaniu atmosfery knucia w szeregach totalnej opozycji przeciwko starym liderom.

Zanik poczucia humoru u polityków to zły objaw, a protestowanie ponad podziałami przeciw satyrze niebezpiecznie pachnie procesami o obrazę majestatu.

A na marginesie uważam, że poseł PO powinien wysłać twórcom „Ucha..." butelkę koniaku za tak szeroką popularyzację jego osoby. Dotąd bowiem kojarzył się głównie z wnukiem Gomułki, a jego nazwisko dawało asumpt do niewybrednych żartów: Jaka to budka? Suflera, strażnicza czy może z piwem? ©℗

eprasa.pl 6ed2495ad6

FerPay.com®
PRZELEWY BEZ GRANIC

Jedna z najstarszych polskich firm transferowych.

inwestorzy.tv
polecają

Z dbałością o Twoje zagraniczne finanse.

PRZELEWY MIĘDZYNARODOWE · KANTOR WYMIANY WALUT · PORTMONETKA WALUTOWA

Najwyższe standardy bezpieczeństwa Twoich finansów.

FCA · ico. Information Commissioner's Office · 100% SECURE · GeoTrust

Od ponad 6 lat wspieramy Polonię za granicą. Każdego roku przelewamy miliardy z Polski do każdego zakątka na świecie.

Zaufało nam już blisko 100 tysięcy klientów, którzy cenią sobie bezpieczeństwo transakcji i usługi dopasowane do ich potrzeb.

"Bezproblemowo rozliczam się z kontrahentami zagranicznymi. Dzięki przelewom z Polski do UK, które w Ferpay są całkowicie darmowe oszczędziłem już kilkadziesiąt tysięcy złotych. Polecam firmę przedsiębiorcom, którzy tak jak ja cenią szybkość i bezieczeństwo transakcji. Mój biznes rozwija się systematycznie między innymi dzięki współpracy z moim zdaniem najlepszą polską firmą transferową."

Krzysztof,
polski przedsiębiorca z Podlasia

www.FerPay.com *dumnie wspierane przez* WOLFS FUNDUSZ PRIVATE EQUITY

eprasa.pl 6ed2495ad6

Syndrom Kiszczaka

Piotr Litka

Odnaleziony w archiwum IPN dokument z 14 grudnia 1984 r. potwierdza bezpośrednią kontrolę resortu nad procesem funkcjonariuszy MSW oskarżonych o uprowadzenie i zabójstwo ks. Popiełuszki. Podpisał go nieżyjący gen. Czesław Kiszczak

RYS. MIDAS

Akt oskarżenia oparto na ustaleniach śledztwa, które zamknięto 10 grudnia 1984 r. Wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Toruniu – Zygmunt Kołacki – w uzasadnieniu swej decyzji napisał, że dotychczasowe „czynności śledcze doprowadziły do pełnego wyjaśnienia wszystkich okoliczności związanych z zabójstwem [księdza] Jerzego Popiełuszki [...]. Podejrzani, zapoznani z materiałami śledztwa oraz ich obrońcy, nie złożyli żadnych wniosków dowodowych". 17 dni później, zaraz po świętach, rozpoczął się proces.

PROKURATOR WITKOWSKI: „TEN DOKUMENT WIDZĘ PO RAZ PIERWSZY"

Badaniem ręcznego sterowania śledztwem i procesem toruńskim zajmował się po latach prok. Andrzej Witkowski. Dzisiaj, pytany o odnaleziony w IPN dokument, stwierdza stanowczo, że nigdy wcześniej go nie widział. Podkreśla, że decyzja gen. Kiszczaka potwierdza jego ustalenia i dowodzi „zawoalowanego bezpośredniego wpływania przez grupę operacyjną MSW na merytoryczne decyzje prokuratora i sądu". Witkowski dodaje też, że z dokumentu wynika jeszcze jeden fakt: „Totalna inwigilacja każdego uczestnika procesu z wykorzystaniem wszelkich dostępnych wówczas środków techniki operacyjnej". Dodatkowo prok. Witkowski zwraca uwagę na zaangażowanie w działania grupy powołanej przez Kiszczaka funkcjonariusza Departamentu II MSW (kontrwywiad). Z tego pionu wywodził się esbek z Torunia, który „utrzymywał stałe kontakty z agenturą KGB, umiejscowioną w jednostce wojsk sowieckich stacjonującej pod Toruniem".

Do działań, o których wspomina prok. Witkowski, MSW było już gotowe od ponad roku. Poligonem podobnej operacji była tragiczna śmierć warszawskiego maturzysty Grzegorza Przemyka, który został pobity przez milicjantów na komisariacie przy ul. Jezuickiej w maju 1983 r. Fachowcy z MSW szybko ustalili oficjalną wersję: według nich Przemyk zmarł w wyniku działań sanitariuszy pogotowia ratunkowego i zaniedbań jednej z lekarek. Żadnemu z trzech milicjantów, którzy skatowali Przemyka, nie postawiono wówczas zarzutów.

Test, jakim było śledztwo w sprawie śmierci warszawskiego maturzysty, wypadł znakomicie dla Biura Śledczego MSW, które je nadzorowało. Generał Kiszczak był bardzo zadowolony z tego, że – jak sam to określił własnoręcznym wpisem na jednym z zachowanych dokumentów – „nasze zaangażowanie pozaprocesowe" przyniosło oczekiwane skutki. Jeszcze w trakcie trwania śledztwa w sprawie śmierci Przemyka, w sierpniu 1983 r., dyrektorem Biura Śledczego został Zbigniew Pudysz (w resorcie od 1957 do końca lipca 1990 r.). To on z ramienia MSW nadzorował śledztwo w sprawie uprowadzenia i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki. To on był w grupie operacyjnej MSW powołanej przez gen. Kiszczaka 14 grudnia 1984 r., która miała zabezpieczać „prawidłowy przebieg procesu przed Sądem Wojewódzkim w Toruniu".

KISZCZAK SCENARZYSTĄ PROCESU

Informacje o tym, w jaki sposób ten proces będzie przebiegał, przekazano wcześniej nieoficjalnie przedstawicielom Kościoła. Generał Czesław Kiszczak w rozmowie z ks. abp. Bronisławem Dąbrowskim oraz ks. Alojzym Orszulikiem już 19 listopada 1984 r. (a więc w trakcie przesłuchań podejrzewanych funkcjonariuszy oraz świadków i przed oficjalnym zakończeniem śledztwa) przedstawił zarys scenariusza mającego dopiero się odbyć procesu.

Jaką linię obrony przewidywał generał? „Otóż zabójcy będą twierdzić – mówił Kiszczak – że nie mogli ścierpieć niezgodnej z prawem działalności politycznej ks. Popiełuszki. Wszelkie próby pohamowania tej działalności nie dały wyników. Będą usiłowali rozszerzyć sprawę o działalność ks. [Henryka] Jankowskiego, [Kazimierza] Jancarza, [Stanisława] Małkowskiego itp. Będą oskarżać zarówno władze kościelne, jak i państwowe, że nie wyciągnęły w stosunku do tych księży żadnych wniosków. [...] Oskarżeni niewątpliwie z tytułu swoich funkcji dużo wiedzą o niektórych ludziach

eprasa.pl 6ed2495ad6

Kościoła, zarówno księżach, jak i biskupach, i będą próbowali przed sądem uogólniać i ukazywać negatywne cechy tych księży. Dla utrzymania dobrych stosunków Kościół – Państwo będziemy zabiegać, aby na procesie mówiono tylko o planowaniu zbrodni, o jej przeprowadzeniu, kto zabił, gdzie zabił, jak zabił".

Człowiekiem Kiszczaka, który nadzorował działania resortu nad śledztwem w sprawie uprowadzenia i zabójstwa ks. Popiełuszki, był płk Zbigniew Pudysz, który generałem został wkrótce po uprawomocnieniu się wyroków z Torunia.

JAK REŻYSEROWAŁ PUDYSZ?

Przez jego ręce przechodziły materiały, które trafiały do oficjalnych akt prokuratorskich. O tym, że były inne akta (jak określa to jeden z dokumentów IPN: „rezerwowe"), w czasie trwania procesu wiedziała jedynie wąska grupa osób.

Mecenas Jan Olszewski – pełnomocnik rodziny ks. Popiełuszki – stwierdza po latach, że Pudysz „był osobą, która nieustannie pojawiała się na procesie [toruńskim]. We wszystkich sprawach, kiedy trzeba było coś rozstrzygnąć, coś załatwić, do niego odsyłano".

Mecenas Olszewski wspomina też, że Pudysz już w trakcie trwania procesu zabiegał usilnie o spotkanie z nim. Adwokat zaproponował miejsce raczej niewygodne dla przedstawiciela MSW: był nim refektarz toruńskiego kościoła akademickiego pw. św. Ducha prowadzonego przez zakon jezuitów. Podczas spotkania z Olszewskim Pudysz snuł przypuszczenia, że motywem działania Adama Pietruszki (przełożonego esbeków, którzy stanęli przed sądem w Toruniu) była chęć zdobycia stanowiska dyrektora Departamentu IV MSW. Nie wiadomo, czemu miała służyć ta sugestia. Mecenas Olszewski po latach się domyśla, że być może starano się w ten sposób wpłynąć na niego tuż przed wygłoszeniem mowy końcowej.

Pułkownik Pudysz odwiedzał też w czasie trwania procesu oskarżonych funkcjonariuszy MSW. W aktach sprawy nie zachowały się jednak żadne dokumenty, w których sąd wyrażałby zgodę na takie widzenia. Okazuje się, że nie były potrzebne, ponieważ Pudysz ze swoimi ludźmi urzędował w... budynku aresztu śledczego oraz sądu w Toruniu. Dzisiaj też wiadomo, że Pudysz spotykał się na terenie aresztu śledczego w Toruniu m.in. z Grzegorzem Piotrowskim i Adamem Pietruszką. Po latach w rozmowie ze mną Pudysz twierdził, że podczas spotkań z byłymi funkcjonariuszami MSW zalecał im, by się bronili, ale „nie wolno panu ujawnić tajemnicy" – wspominał. Jak twierdził: chodziło mu o tajemnicę służbową. Z kolei Pietruszka w przesłanym do mnie e-mailu wspominał, że płk Pudysz prosił go podczas rozmowy w areszcie śledczym w Toruniu, by stał się „tamą dla procesu [toruńskiego], aby nie szedł [on] w głąb...". Tak się też stało.

Jednak pewne elementy scenariusza wymknęły się spod czujnej kontroli przedstawicieli resortu. No i reżyseria szwankowała.

CYNK Z BIURA „B"

Kapitan Grzegorz Piotrowski składał wyjaśnienia w Toruniu jako trzeci z oskarżonych. Po porucznikach: Leszku Pękali i Waldemarze Chmielewskim, a przed płk. Adamem Pietruszką. Piotrowski, opisując przed sądem dwie kolejne akcje związane z zamiarem uprowadzenia ks. Popiełuszki (wyjazdy: 13 października 1984 r. do Gdańska i 19 października 1984 r. do Bydgoszczy), wspominał, że za każdym razem otrzymywał potwierdzenie, iż ks. Jerzy z Warszawy na pewno wyjechał.

W siódmym dniu procesu – 8 stycznia 1985 r. – Piotrowski wyjaśnił, że 13 października nie miał „pewności, czy Jerzy Popiełuszko rzeczywiście pojechał do Gdańska. Pewna osoba miała mi to potwierdzić – mówił sądowi. – Jej nazwisko nie padnie na tej sali, ale był to ktoś, kto mógł udzielić mi informacji na temat Jerzego Popiełuszki. Umówiłem się, że do 8.00 lub po 16.00 da mi o tym znać, telefonując do dyżurnego Departamentu [IV MSW], a między 8.00 a 16.00 do mojej sekretarki".

„CIEKAWSZE MATERIAŁY SZŁY DO MINISTRA KISZCZAKA"

W inwigilację ks. Popiełuszki nie była jednak zaangażowana jedna zaprzyjaźniona z kpt. Piotrowskim nieznana z imienia i nazwiska osoba. Już w latach 90. ubiegłego wieku podczas procesu generałów: Ciastonia i Płatka, oskarżonych o kierowanie zabójstwem ks. Popiełuszki, zeznawał m.in. były zastępca dyrektora Departamentu Techniki MSW. Przed sądem powiedział, że wszystkie „ciekawsze materiały" z podsłuchu mieszkania i plebanii ks. Popiełuszki w roku 1984 „szły do ministra Kiszczaka".

Nad przygotowaniem tego ogromnego materiału pracował „serwis operacyjny". W jego skład wchodziły m.in.: wydział

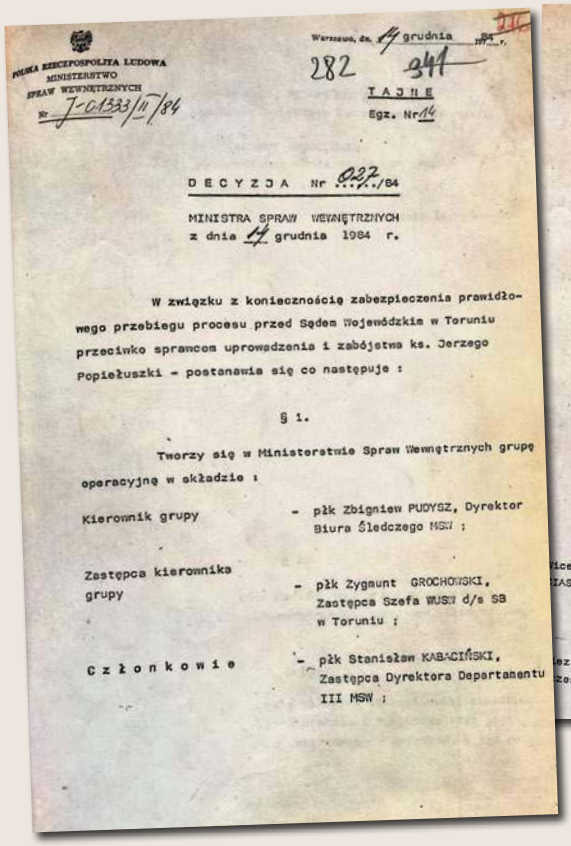

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH
Nr J-01333/II/84

Warszawa, dn. 14 grudnia 1984 r.

282 341

TAJNE
Egz. Nr 14

DECYZJA Nr 027/84
MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH
z dnia 14 grudnia 1984 r.

W związku z koniecznością zabezpieczenia prawidłowego przebiegu procesu przed Sądem Wojewódzkim w Toruniu przeciwko sprawcom uprowadzenia i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki - postanawia się co następuje :

§ 1.

Tworzy się w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych grupę operacyjną w składzie :

Kierownik grupy - płk Zbigniew PUDYSZ, Dyrektor Biura Śledczego MSW ;

Zastępca kierownika grupy - płk Zygmunt GROCHOWSKI, Zastępca Szefa WUSW d/s SB w Toruniu ;

Członkowie - płk Stanisław KABACIŃSKI, Zastępca Dyrektora Departamentu III MSW ;

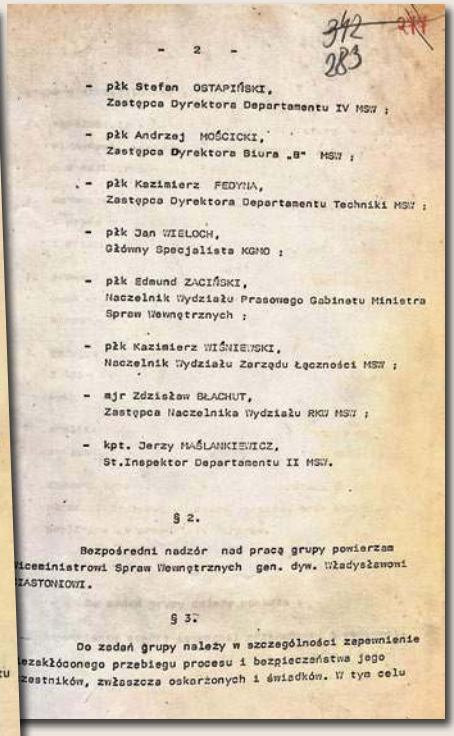

- 2 -

342 283

- płk Stefan OSTAPIŃSKI, Zastępca Dyrektora Departamentu IV MSW ;
- płk Andrzej MOŚCICKI, Zastępca Dyrektora Biura „B" MSW ;
- płk Kazimierz FEDYNA, Zastępca Dyrektora Departamentu Techniki MSW ;
- płk Jan WIELOCH, Główny Specjalista KGMO ;
- płk Edmund ZACIŃSKI, Naczelnik Wydziału Prasowego Gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych ;
- płk Kazimierz WIŚNIEWSKI, Naczelnik Wydziału Zarządu Łączności MSW ;
- mjr Zdzisław BŁACHUT, Zastępca Naczelnika Wydziału RKW MSW ;
- kpt. Jerzy MAŚLANKIEWICZ, St.Inspektor Departamentu II MSW.

§ 2.

Bezpośredni nadzór nad pracą grupy powierzam Wiceministrowi Spraw Wewnętrznych gen. dyw. Władysławowi CIASTONIOWI.

§ 3.

Do zadań grupy należy w szczególności zapewnienie bezzakłóconego przebiegu procesu i bezpieczeństwa jego uczestników, zwłaszcza oskarżonych i świadków. W tym celu

Fragment decyzji Kiszczaka z 14 grudnia 1984 r. FOT. IPN

eprasa.pl 6ed2495ad6

instalacyjny, zajmujący się zakładaniem podsłuchów i tzw. podglądów, laboratorium fotograficzne i filmowe oraz warsztat ślusarski. Ponadto, jeśli ks. Popiełuszko „wyjeżdżał w teren", z innych jednostek SB także przekazywano informacje z podsłuchów.

Nie tylko w przypadku podsłuchów pozostawało mnóstwo śladów „w papierach". W aktach operacyjnych bezpieki przechowywanych w IPN można odnaleźć zezwolenia na wyjazdy, które akceptowali przełożeni, książki kontroli pojazdów służbowych, pisane i parafowane przez wiele osób plany działań oraz rozliczenia funduszu operacyjnego. Tak samo – formalnie – zaczęła się „sprawa ks. Popiełuszki".

KRYPTONIM POPIEL

Ponad dwa lata przed „procesem toruńskim", 2 września 1982 r., w Wydziale IV Komendy Stołecznej MO i Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych wszczęto tzw. sprawę operacyjnego rozpracowania (w skrócie: SOR) o kryptonimie Popiel. SOR wszczynano zazwyczaj „w celu poznania form, narzędzi i kierunku działań danej osoby, grupy czy środowiska, a także uzyskania dowodów ich aktywności antysystemowej lub zapobieżenia jej skutkom, m.in. przez dezinformację, inspirację operacyjną albo dezintegrację". Z zachowanej części akt SOR o kryptonimie Popiel wynika, że zakończono ją w listopadzie 1984 r., gdyż „w dniu 19.10.1984 figurant sprawy zginął w tragicznych okolicznościach".

Nie jest więc możliwe, że nagle, 19 października 1984 r., zaprzestano inwigilacji kapelana Solidarności, ponieważ dalej prowadzono SOR „Popiel". Z ramienia Departamentu IV MSW nadzorował ją por. Waldemar Chmielewski – jeden z oskarżonych i ze skazanych w „procesie toruńskim". Zresztą w Toruniu właśnie próbowano przekonać sąd i zebraną na sali publiczność, że obserwacja ks. Popiełuszki została „zdjęta" na dwa dni przed 19 października 1984 r. i że później kapelana Solidarności śledzili wyłącznie sprawcy jego uprowadzenia oraz śmierci, czyli kpt. Piotrowski oraz porucznicy: Pękala i Chmielewski.

DWA FIATY 125P NA TAMIE WE WŁOCŁAWKU

Podczas „procesu toruńskiego" nie wyjaśniono jeszcze jednej kwestii. Otóż przesłuchując w śledztwie funkcjonariuszy Ruchu Drogowego z Włocławka, potwierdzono, że w nocy z 19 na 20 października 1984 r. w okolicach tamy we Włocławku pojawiły się dwa fiaty 125p. Jednym z nich ok. godz. 23.50 przyjechała ekipa Piotrowskiego, który przyłożył wówczas do przedniej szyby samochodu przepustkę „R" starego typu w foliowej oprawie. Taka przepustka zwalniała z kontroli drogowej samochód służbowy funkcjonariuszy bezpieki. Fiat 125p z ekipą Piotrowskiego pojechał wówczas kilkadziesiąt metrów w stronę Płocka, później zawrócił i wjechał na tamę. Milicjant (Ryszard J.) nie potrafił podać podczas przesłuchania precyzyjnych rysopisów mężczyzn jadących w tym samochodzie. Z akt śledztwa z 1984 r. nie wynika również, by wykonano „eksperyment śledczy" na tamie z udziałem funkcjonariuszy ruchu drogowego z Włocławka oraz Piotrowskiego, Chmielewskiego i Pękali. Nie zrobiono też żadnego okazania.

Drugi milicjant włocławskiej drogówki – Andrzej G. – godzinę wcześniej kontrolował w pobliżu tamy inny samochód z Warszawy, którego kierowca także okazał mu przepustkę „R". Tym razem samochód został zatrzymany. Był to także fiat 125p, ale w kolorze pomarańczowym. Gdy milicjant podszedł do samochodu, wysiadł z niego kierowca, podszedł do bagażnika i wyjął stamtąd przepustkę. Poza kierowcą – według zeznań Andrzeja G. – w zatrzymanym do kontroli fiacie było jeszcze trzech mężczyzn. „Widziałem jedynie ich sylwetki – twarzy nie widziałem" – oświadczył Andrzej G. podczas przesłuchania. Zapamiętał jeszcze, że pomarańczowy samochód miał rejestrację warszawską i po kontroli pojechał w kierunku Płocka.

Do dziś nie wiadomo, kto i w jakim celu podróżował drugim „resortowym" służbowym fiatem 125p, który w nocy 19 października 1984 r. przejeżdżał w pobliżu włocławskiej tamy.

Sprawy nie „drążono w głąb" podczas procesu w Toruniu.

„KRYMINALISTYKA JEST NASZA"

Już w latach 90., podczas przesłuchań świadków w czasie procesu generałów: Władysława Ciastonia i Zenona Płatka, zeznania dotyczące badań kryminalistycznych dotyczących uprowadzenia ks. Popiełuszki złożył były dyrektor Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO. Pułkownik Tadeusz Rydzek zeznał m.in., że kiedy analizował sprawę uprowadzenia księdza w 1984 r., odnosił wrażenie, iż ktoś chce w to wszystko „wrobić milicję". Przecież sprawcy uprowadzenia ks. Popiełuszki działali jako patrol drogówki, por. Waldemar Chmielewski był przebrany w mundur milicyjny, a na miejscu uprowadzenia księdza w Górsku porzucono orzełek z milicyjnej czapki.

Kiedy płk Rydzek otrzymał wynik badań daktyloskopijnych, z których wynikało, że odcisk zabezpieczony na lusterku samochodu, którym uprowadzono księdza,

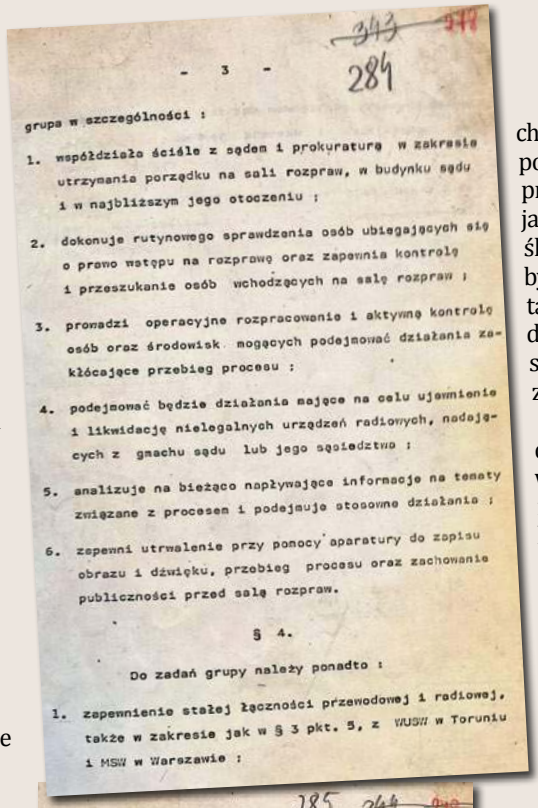

- 3 -

grupa w szczególności :

1. współdziała ściśle z sądem i prokuraturą w zakresie utrzymania porządku na sali rozpraw, w budynku sądu i w najbliższym jego otoczeniu ;
2. dokonuje rutynowego sprawdzania osób ubiegających się o prawo wstępu na rozprawę oraz zapewnia kontrolę i przeszukanie osób wchodzących na salę rozpraw ;
3. prowadzi operacyjne rozpracowanie i aktywną kontrolę osób oraz środowisk mogących podejmować działania zakłócające przebieg procesu ;
4. podejmować będzie działania mające na celu ujawnienie i likwidację nielegalnych urządzeń radiowych, nadających z gmachu sądu lub jego sąsiedztwa ;
5. analizuje na bieżąco napływające informacje na tematy związane z procesem i podejmuje stosowne działania ;
6. zapewni utrwalenie przy pomocy aparatury do zapisu obrazu i dźwięku, przebieg procesu oraz zachowanie publiczności przed salą rozpraw.

§ 4.

Do zadań grupy należy ponadto :

1. zapewnienie stałej łączności przewodowej i radiowej, także w zakresie jak w § 3 pkt. 5, z WUSW w Toruniu i MSW w Warszawie ;

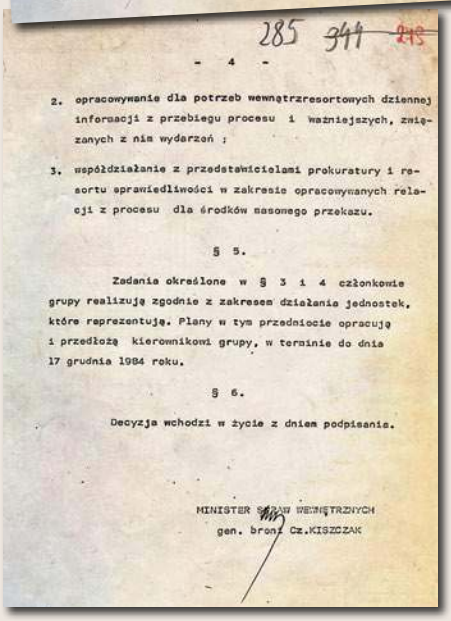

- 4 -

2. opracowywanie dla potrzeb wewnętrznresortowych dziennej informacji z przebiegu procesu i ważniejszych, związanych z nim wydarzeń ;
3. współdziałanie z przedstawicielami prokuratury i resortu sprawiedliwości w zakresie opracowywanych relacji z procesu dla środków masowego przekazu.

§ 5.

Zadania określone w § 3 i 4 członkowie grupy realizują zgodnie z zakresem działania jednostek, które reprezentują. Plany w tym przedniocie opracują i przedłożą kierownikowi grupy, w terminie do dnia 17 grudnia 1984 roku.

§ 6.

Decyzja wchodzi w życie z dniem podpisania.

MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH
gen. broni Cz.KISZCZAK

Fragment decyzji Kiszczaka z 14 grudnia 1984 r.

FOT. IPN

eprasa.pl 6ed2495ad6

należy do por. Leszka Pękali, funkcjonariusza Departamentu IV MSW, poszedł z tą sprawą do gen. Zenona Płatka. Usłyszał wówczas: „Te wyniki nie mogą ujrzeć światła dziennego" i jeszcze, że „to jest rozkaz, a za niewykonanie rozkazu to wy wiecie, co was może spotkać". Jednak płk Rydzek nie przestraszył się gróźb generała i poinformował o wynikach badań daktyloskopijnych wiele innych osób, w tym ówczesnego komendanta głównego MO.

Podczas śledztwa i „procesu toruńskiego" Leszek Pękala i Waldemar Chmielewski wyjaśniali, że Piotrowski wielokrotnie powtarzał uspokajająco, iż w tej sprawie nie trzeba się bać, bo „kryminalistyka jest nasza". Czy poza kpt. Piotrowskim także gen. Płatek wykonywał część jakiegoś planu?

W akcie oskarżenia za opóźnianie poszukiwań uprowadzonego księdza i toczonego wówczas śledztwa oskarżono w 1984 r. wyłącznie płk. Adama Pietruszkę. Generał Płatek opuszczał salę toruńskiego sądu jako wolny człowiek. Później, w latach 90. – choć Płatkowi postawiono zarzuty i aresztowano go – też się to nie zmieniło. Dzisiaj na postawienie zarzutów gen. Płatkowi jest już za późno – nie żyje od kilku lat.

JERZY URBAN AKTOREM DRUGOPLANOWYM

W odnalezionym dokumencie z 14 grudnia 1984 r. nie występuje nazwisko ówczesnego rzecznika rządu Jerzego Urbana. Posługujący się pseudonimem Jan Rem były dziennikarz, a w latach 80. minister, zwłaszcza w opublikowanym we wrześniu 1984 r. felietonie „Seanse nienawiści" publicznie drwił z ks. Popiełuszki i go obrażał. W opracowywanym scenariuszu procesu toruńskiego wyznaczono mu rolę ważną, choć drugoplanową. Decyzja Kiszczaka z 14 grudnia 1984 r. zakładała przecież, że grupa operacyjna MSW będzie współdziałała „z przedstawicielami prokuratury i resortu sprawiedliwości w zakresie opracowanych relacji z procesu dla środków masowego przekazu".

W odnalezionym przeze mnie „notesie osobistym" Jerzego Urbana z roku 1984 (który jest przechowywany w Archiwum Akt Nowych) można odnaleźć interesujące wpisy dotyczące śledztwa i procesu toruńskiego. I tak: 30 października 1984 r., a więc w dniu wyłowienia zwłok ks. Popiełuszki na tamie we Włocławku, Urban spotkał się rano z Kiszczakiem. Z kolei jeszcze w czasie trwania śledztwa – 20 i 27 listopada – Urban spotykał się ze Zbigniewem Pudyszem. Spotkanie drugie odbyło się w budynku MSW w pokoju nr 415 na pierwszym piętrze. Wszystkie te rozmowy odbywały się kilka godzin przed konferencjami prasowymi, których gospodarzem był właśnie Urban. Jeszcze ciekawsze wpisy są o spotkaniach, które dotyczyły już procesu. Trzy dni przed jego rozpoczęciem, w Wigilię, Urban zanotował, że spotyka się z odpowiadającym za propagandę sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR – Janem Główczykiem (tak samo jak Urban byłym dziennikarzem). To interesujący wpis,

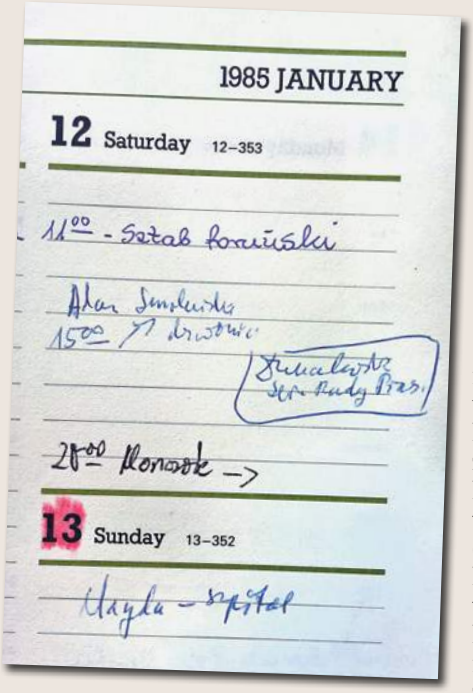

„Notes osobisty" Jerzego Urbana z roku 1984 i ze stycznia 1985 r. jest przechowywany w Archiwum Akt Nowych w Warszawie FOT. PIOTR LITKA

ponieważ wskazuje na istnienie nieformalnego zespołu warszawskiego, który zajmował się medialnym wydźwiękiem procesu. Żadnych wątpliwości nie pozostawia wpis Urbana z 12 stycznia 1985 r.: „[godzina] 11 – sztab toruński". Data ta jest o tyle istotna, że zebranie odbyło się podczas składania wyjaśnień przez ostatniego z oskarżonych w procesie – płk. Adama Pietruszkę – i przed kolejnym medialnym atakiem na ks. Popiełuszkę na sali sądowej w dniu 14 stycznia 1985 r. Tenże sam sztab już u „towarzysza Główczyka" zebrał się 26 stycznia 1985 r., czyli przed ostatnimi wyjaśnieniami oskarżonych. Wreszcie 30 stycznia 1985 r. w notesie Urbana widnieje lakoniczny wpis: „płk Pudysz być". To dzień, w którym swoje przemówienia wygłaszali pełnomocnicy oskarżycieli posiłkowych.

Mieczysław Rakowski tak wspomina ten moment: „Od 16.00 do 19.30 u Kiszczaka. Rozważania, jak należy zareagować na wystąpienie mecenasa Olszewskiego, który na procesie w Toruniu powiedział, że to, co zrobił Piotrowski, mogło odpowiadać jedynie niepolskim interesom, a kto pragnie Polski słabej, rozbitej etc., to wie każde dziecko, które rzetelnie uczy się historii. Wiadomo, że chodzi tu o Związek Radziecki. Postanowiono, że prokurator będzie replikował. Kiszczak domagał się, żeby w replice prokurator »przejechał« się także po przemówieniu Wendego [Edwarda], który bronił narodowej, moralnej itp. pozycji Kościoła w dziejach Polski. Co się mnie tyczy, przestrzegałem przed zbyt wielkim koncentrowaniem się w czasie procesu na sprawach Kościoła. To nie powinien być proces przeciwko Kościołowi, który notabene już i tak jest oszołomiony cięgami, które zebrał.

Po spotkaniu kilka minut w gabinecie Kiszczaka z udziałem [Józefa] Czyrka, [generała Michała] Janiszewskiego i [prokuratora generalnego Józefa] Żyty. Rozmawialiśmy o ewentualnych wyrokach. Kiszczak zakłada, że sąd wymierzy Piotrowskiemu karę 25 lat. Żyta słusznie uważa, że w pierwszej instancji Piotrowski powinien dostać karę śmierci, a dopiero w drugiej kara mogłaby zostać obniżona. Odnoszę wrażenie, że już postanowiono dać mu 25 lat. Sądzę, że bierze się pod uwagę także reakcje sojuszników, którzy nie mogą być zadowoleni z procesu".

Był 30 stycznia 1984 r. Tydzień przed ogłoszeniem wyroku. Karę 25 lat pozbawienia wolności dla Piotrowskiego trafnie przewidział gen. Kiszczak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Podczas pisania tekstu korzystałem z dokumentów przechowywanych w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej oraz Archiwum Akt Nowych i książek: „Proces o uprowadzenie i zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki", część 1 [wyjaśnienia oskarżonych], Warszawa 1992; Peter Raina „Rozmowy z władzami PRL. Arcybiskup Dąbrowski w służbie Kościoła i narodu. 1982–1989", Warszawa 1995, tom 2; Krystyna Daszkiewicz „Sprawa morderstwa księdza Jerzego Popiełuszki raz jeszcze", Warszawa 2004, M.F. Rakowski „Dzienniki polityczne 1984–1986", Warszawa 2005; Filip Musiał „Podręcznik bezpieki", Kraków 2007 oraz książki Piotra Litki „Ksiądz Jerzy Popiełuszko. Dni, które wstrząsnęły Polską", Kraków 2010 (wyd. 2).

eprasa.pl 6ed2495ad6

Piotr Semka

Luter obudził synów Germanii do walki z Rzymem i ukształtował ich współczesny język. Dlaczego ojciec reformacji wywarł tak głęboki wpływ na swych rodaków?

Jak Luter wymyślił

Dnia 31 października mija 500 lat od ogłoszenia przez Marcina Lutra swoich 95 tez, które zapoczątkowały reformację. Najważniejszą z wystaw z okazji rocznicy –„Luter i Niemcy" – zorganizowano na zamku Wartburg w Turyngii. To miejsce dla Niemców wręcz mistyczne, trzeci najważniejszy szczyt w narodowej mitologii obok spowitego pogańskimi legendami wzgórza Brocken i szczytu Kyffhäuser, gdzie spać mają snem wiecznym cesarz Barbarossa oraz jego rycerze.

To na zamku Wartburg zbuntowany mnich znalazł schronienie przed cesarzem i tu przetłumaczył Biblię na język Germanów.

Gdy wspinam się leśnym szlakiem na zamkowy szczyt, wszystko aż do przesady pasuje do wyobrażeń o niemieckości. Leśne mgły, gęste lasy i wyniosły zarys średniowiecznej twierdzy. Gdzież indziej, jeśli nie tu, „teutoński Herkules" miał wynieść na piedestał rodzimą mowę i wezwać swych rodaków do zerwania z Rzymem?

MŁOTEK SŁAWY

Już na samym początku wystawy przybyszy wita znany obraz Ferdinanda Pauwelsa z 1872 r. Natchniony mnich buntownik przybija do drzwi Schlosskirche – kościoła zamkowego w Wittenberdze – pergamin ze swymi 95 tezami przeciw sprzedaży odpustów. Na obrazie wskazuje z dumą młotkiem na swe credo. Zebrani wokół mnicha mieszczanie z respektem lub trwogą patrzą na śmiałka. Historycy jednak wątpią, czy do przybicia 95 tez na kościelnych drzwiach w ogóle doszło. Jest na ten temat wspomnienie Filipa Melanchtona, towarzysza Lutra, ale opisał on tę scenę dopiero 12 lat po fakcie, a w Wittenberdze pojawił się dopiero w sierpniu 1518 r. Bardziej możliwe, że Luter, wówczas jeszcze augustiański mnich, rozesłał swoje tezy jako wstęp do dysputy teologicznej, typowej dla tamtego czasu procedury w Kościele.

Wysyłanie kopii 95 tez zamiast walenia młotkiem w drzwi Schlosskirche? To przecież znacznie mniej spektakularne i osłabiające legendę o odważnym mnichu rzucającym wyzwanie wszystkim potęgom tamtego świata.

No właśnie. Tutaj po raz pierwszy dotykamy problemu rozchodzenia się legendy i faktów. Mit kreował Lutra na samotnego śmiałka, niemal pewnego kandydata na stos, który przetrwał dzięki narodowemu zrywowi solidarności ze strony Germanów. A tymczasem cesarstwo ścigało go niemrawo, cesarz lekceważył kontestatora, biskupi raczej przymilali się do niego, a nie próbowali go zniszczyć. A sam Luter swymi publikacjami walił jak młotem w papiestwo i niemiecki Kościół. Nieprzypadkowo złoty młotek jest symbolem wszystkich trzech rocznicowych wystaw w Berlinie, Wittenberdze i tu, na zamku Wartburg. Każdy, kto pamięta jeszcze Niemiecką Republikę Demokratyczną, widzi w symbolu nawiązanie do godła NRD. Jakaś perwersyjna aluzja? Komunistyczne Niemcy ceniły sobie przecież wezwania Lutra do pełnego posłuszeństwa wobec ziemskiej władzy. Czerwoni bonzowie, po długich sporach, w końcowej fazie istnienia NRD włączyli w końcu twórcę protestantyzmu do swego panteonu. Luter zdominował wyobraźnię Niemców zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie. W 2003 r. w plebiscycie telewizji ZDF na Niemca wszech czasów zajął drugie miejsce za kanclerzem Konradem Adenauerem, a przed Karolem Marksem.

Dla dzisiejszych Niemców taka triada nie wydaje się niczym dziwnym.

RZYM KONTRA LAS TEUTOBURSKI

Być może prapoczątkiem opowieści o tym, jak Luter wymyślił Niemcy, winno być coś, o czym mało kto w Polsce pamięta. Oto w połowie XV w. w jednym z klasztorów północnej Hesji włoscy humaniści odkryli uznany za zaginiony odpis dzieła Tacyta „Germania" i wywieźli znalezisko do Rzymu. Tam zainteresował się nim papież humanista Pius II. Powołał się on na dzieło starożytnego historyka, odrzucając skargi Niemiec na uciążliwość danin, które muszą płacić papiestwu. Pontifex wskazał za Tacytem na niegdysiejszą dzikość Germanów, pouczając ich potomków, że winni być wdzięczni Rzymowi za misję cywilizacyjną. Poirytowani niemieccy humaniści zainteresowali się „Germanią"

eprasa.pl 6ed2495ad6

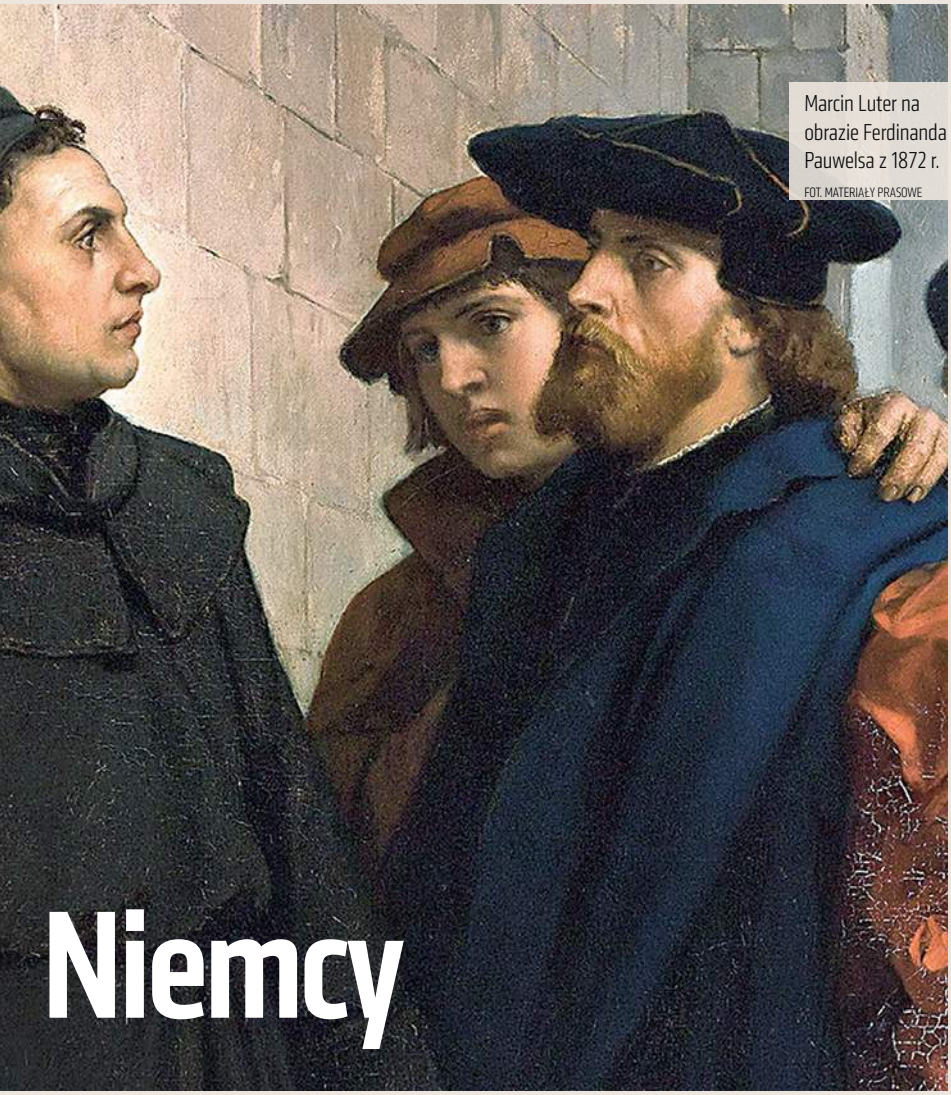

Marcin Luter na obrazie Ferdinanda Pauwelsa z 1872 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Niemcy

i dla odmiany odkryli w niej to, co pasowało do ich wyidealizowanej wizji przodków. Zachwycił ich opis wygranej Arminiusa, wodza jednego z germańskich plemion, który wciągnął rzymski legion w głąb prapuszczy, gdzie rozbił ich w proch i pył. Rzymski pisarz z rozmysłem idealizował Germanów, chcąc przypomnieć swym rodakom o zapominanych z wolna cnotach odwagi i hartu ducha. Jednak niemieccy humaniści uznali dzieło Tacyta za dowód na to, że Niemcy nie muszą uznawać cywilizacji łacińskiej za jedyny wzór i że trzeba afirmować to, co własne.

I na takim właśnie gruncie (a także na apetytach na dobra kościelne) rebelia Lutra przeciw cesarzowi mogła zyskać tak szerokie wsparcie niemieckich książąt. Było to tym łatwiejsze, że od 1519 r. cesarzem został Karol V wychowany w wyrafinowanej kulturze burgundzkiej, dla którego ważniejsza była polityka w swych słonecznych hiszpańskich włościach niż burdy książątek w mglistej Hesji czy Saksonii.

A niemieccy książęta, popierając Lutra przeciw cesarzowi, widzieli w nim symbol zerwania z rzymską niewolą i rzymskim zepsuciem.

Najmniej oczekiwanym dla reformatora z Wittenbergi skutkiem ubocznym jego wystąpienia były bunty chłopskie. Tutaj Luter niczym uczeń czarnoksiężnika, nieoczekiwanie dla samego siebie, obudził uśpione moce. Przerażony buntem szybko wsparł wielkich panów i zalecał wręcz przykładną surowość. Dziesiątki tysięcy wiejskich buntowników zginęło w bitwach lub egzekucjach. Ich bunt nie był na tyle szczęśliwy co kontestacja mnicha. Lutra niespecjalnie to obeszło.

Luter obudził Niemców, ale jeszcze musiał dać im wiarę we własną mowę. Budzi respekt jego odwaga podjęcia się dzieła przetłumaczenia Pisma Świętego na potoczną mowę, co stworzyło współczesny język niemiecki. Na wystawie obejrzeć można dziesiątki wersji jego niemieckiej Biblii. Zwiedzający zamek Wartburg zaglądają z nabożnym szacunkiem do komnaty, gdzie pracował nad translacją. Już w 1845 r. uczyniono z niej muzealną ekspozycję.

Luter miał słuch do translacji. Jak głosi legenda, chodził na chłopski targ, aby słuchać mowy wieśniaków i wyłapywać najbardziej soczyste określenia. W walce politycznej i w zapale politycznego pamflecisty był niedościgniony. Wiele zdań z jego dzieł do dziś używanych jest jako przysłowia czy sentencje.

Reformator stworzył też Niemcom model życia rodzinnego z posłuszną żoną i karnymi dziećmi. Wymyślił sposób spędzania świąt Bożego Narodzenia ze śpiewami i z prezentami. To też dziedzictwo Lutra.

Walka o władzę między cesarzem a książętami wygasła w II połowie XVI w. Potem sławę „miecza wiary luterskiej" przejęła Szwecja, a Niemcy musiały patrzeć, jak w wojnie trzydziestoletniej ich ziemie pustoszyła wojna Wazów z Habsburgami. Król Gustaw Adolf pielgrzymował z dworem do grobu Lutra w Wittenberdze. Idea niemiecka zapadła w drzemkę. Obudził ją stary Fryc, ale ten dla odmiany pogardzał luteranizmem tak jak innymi religiami.

ZNOWU POTRZEBNY

Wielki comeback Lutra w politycznej zbiorowej wyobraźni Niemiec nastąpił dopiero wraz z okupacją francuską Prus po 1806 r. Wówczas to Napoleon stał się personifikacją obcej rzymskiej niewoli. Nic dziwnego. Skoro władca Francuzów wybrał na zwieńczenie swych sztandarów rzymskie orły, a paryskie elity lansowały styl empirowy, to jest symbolem zła. I znów prosty, szczery Luter patronował młodym Niemcom w walce z „korsykańskim wilkołakiem". Protestanccy pastorzy błogosławili w Królewcu czy we Wrocławiu ochotnikom garnącym się do korpusów Lützowa czy Blüchera. Jednak po upadku Napoleona kongres wiedeński wskutek weta Habsburgów nie zgodził się na zjednoczenie Niemiec, o którym śniono w czasie wojny wyzwoleńczej. Luter znów stał się symbolem oporu, ale tym razem przeciw Habsburgom.

W 1817 r. niemieccy patriotyczni studenci spotkali się na zamku Wartburg, aby wykrzykiwać hasła o zjednoczeniu ojczyzny i spalić w ognisku pisma zwolenników ładu powiedeńskiego. Niemcy wstydzą

eprasa.pl 6ed2495ad6

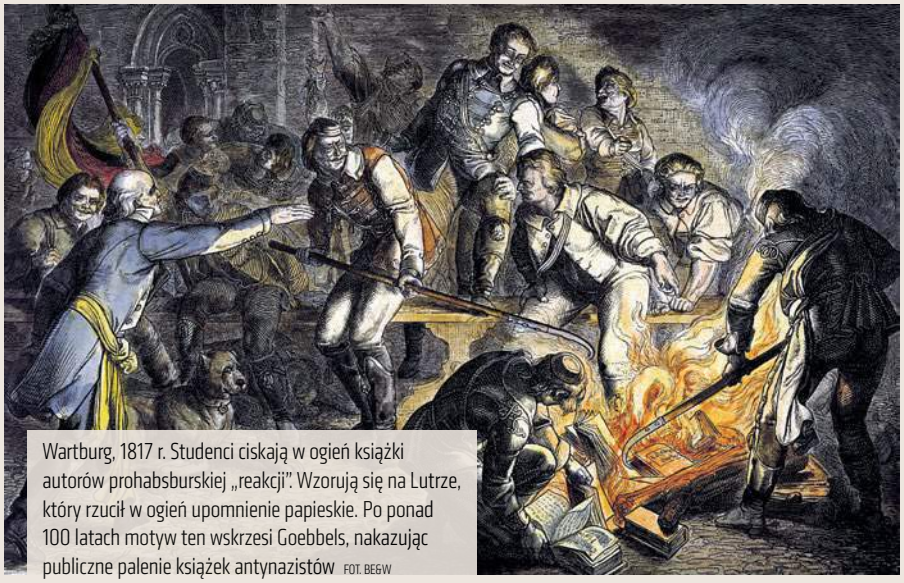

Wartburg, 1817 r. Studenci ciskają w ogień książki autorów prohabsburskiej „reakcji". Wzorują się na Lutrze, który rzucił w ogień upomnienie papieskie. Po ponad 100 latach motyw ten wskrzesi Goebbels, nakazując publiczne palenie książek antynazistów FOT. BEGW

się trochę tego aktu autodafe, który wzorowany był na słynnym spaleniu przez Lutra papieskiego pisma. Kolejni będą hitlerowcy, którzy w 1933 r. w Berlinie palić będą książki przeciwników nazizmu.

W XIX w. Luter patronował jeszcze walce z Napoleonem III i wreszcie stał się duchowym patronem nowej Rzeszy zjednoczonej pod berłem Hohenzollernów.

Historyk Wilhelm von Giesebrecht pisze z emfazą w 1871 r.: „Rzesza, w której będziemy żyć, to nowy twór, nic nie jest w niej rzymskie, wszystko niemieckie!".

Propagandziści kajzera mają z Lutrem kłopot jedynie w czasie I wojny światowej, gdy w 1917 r. przypada 400-lecie reformacji. Jak na złość arcywrogiem jest protestancka Anglia, a sojusznikiem wierne wobec papieża Austro-Węgry. Wszystko wraca na swoje miejsce po końcu I wojny, gdy „rzymscy" Francuzi okupują Nadrenię i Zagłębie Ruhry. Znów niemieckie cnoty Lutra można przeciwstawiać zepsuciu Gallów.

„Od czasów Lutra nikt nie cieszył się większą popularnością niż ja" – mówił Hitler, oglądając z satysfakcją milionowe tłumy wiwatujące na jego cześć. Rzeczywiście, to dopiero Führer potrafił wydobyć z butelki narodowego dżina na podobną skalę jak kiedyś Luter. Turyński reformator był jednak tylko religijnym nowatorem, a Hitler łączył w sobie rolę proroka z realną polityczną władzą. Niemcy znali już obrazy Lutra stojącego z uduchowioną twarzą i podniesioną głową przed cesarzem. Te pozy przejął szef NSDAP. Przedstawił się jako ktoś, kto ma zadanie dopełnić dzieła narodowego odrodzenia, rozpoczętego przez mistrza z Wittenbergi. Większość duchownych protestanckich przyjęła te wizje bez zastrzeżeń. Tylko nieliczni, np. pastor Dietrich Bonhoeffer, wyciągali z nauk Lutra przesłanie, że należy sprzeciwiać się władcom depczącym prawa ludzkie i boskie.

Naziści z zachwytem odkryli w ojcu reformacji praprzodka wojującego antysemityzmu. Zagorzały hitlerowiec, krajowy biskup ewangelicki Turyngii Martin Sasse, zachwycony antysemicką kryształową nocą pisał: „10 listopada 1938 roku, w urodziny Lutra, w całych Niemczech płonęły synagogi. W tej godzinie głos Lutra musi być wysłuchany".

Po wojnie wahadło poszło w drugą stronę. Pochylam się nad książeczką wydaną w Londynie w 1945 r. Tytuł brzmi: „Marcin Luter jako duchowy poprzednik Hitlera". Autor, antynazista Peter F. Wiener, wskazywał, że to Luter wprowadził Niemcy na „Sonderweg" – specjalną drogę wiodącą poprzez agresję Hohenzollernów do zbrodni III Rzeszy.

Na gruzach Rzeszy – po obu stronach żelaznej kurtyny – Luter nie jest specjalnie popularny. W RFN rządzi katolik Konrad Adenauer, który odrodzenie Niemiec widzi w powrocie do mitu cesarskiej epoki karolińskiej. W NRD zamiast Lutra na piedestał zostaje wyniesiony Thomas Müntzer – ideolog chłopskich buntów. To on zdobi banknoty pięciomarkowe. W 1983 r., gdy przypadła 500. rocznica urodzin Lutra, szef partii komunistycznej SED Erich Honecker ułaskawił pamięć o ojcu reformacji. Wittenberga była miejscem hucznych uroczystości, a Honecker łaskawie odwiedził Wartburg.

„Pełna siła reformacji – 3 razy młotek". Aluzja do godła NRD?

BUNTOWNIK BEZ BOGA?

Autorzy wystawy kończą opowieść o wpływie Lutra na Niemców na dacie: 1989 r.

A co potem? Reformator powrócił do łask, ale w bardzo specyficznej formie. Tegoroczne obchody uchwalił Bundestag. Prezydent Frank-Walter Steinmeier i kanclerz Angela Merkel – córka pastora – wysławiali Lutra jako szermierza wolności sumienia oraz najwyższych wartości humanistycznych.

Ulubiona figura niezliczonych publicystów była pochwałą dla Lutra jako archetypu buntownika przeciw niesprawiedliwym i przestarzałym formom społecznym.

„Reformacja była religią, która wynikała z poszukiwania wolności i osadzona jest w woli wolności – wskazuje pisarz Friedrich Schorlemmer. – Protestant to ktoś, kto jest gotowy stanąć w obronie swojej wiary i kto umie znieść udręki wynikające ze swej wiary".

Luter jako poprzednik rewolty 1968 r.? Ktoś, kto przybyłby z innego kręgu kulturowego i czytałby wyłącznie takie opinie, nie dowiedziałby się, że Luter działał głównie pod wpływem lęku o utratę łaski Bożej, a w świecie widział wszędzie realną obecność diabła. Tylko kto ma o tym mówić w RFN? Kto w dzisiejszych Niemczech boi się jeszcze gniewu Boga? Chesterton kiedyś opisywał św. Franciszka jako mistrza humanizmu i praprzodka troski o przyrodę, ale niechętnie pisał, jak bardzo chciał duchowego połączenia się z Chrystusem. „To tak, jakby opisywać Amundsena na sto sposobów, ale pomijać fakt, że był polarnikiem". To samo dziś robi się w Niemczech z Lutrem.

Ciekawe, jak buntownik z Wittenbergi patrzyłby na społeczeństwo, w którym niemal zniknęło pojęcie lęku przed gniewem Boga?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Luter i Niemcy" na zamku Wartburg koło Eisenach (Turyngia) potrwa do 5 listopada 2017 r. Szczegóły na: www.wartburg.de.

eprasa.pl 6ed2495ad6

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

DODATEK SPECJANY

Władysław Studnicki
w 150. rocznicę urodzin

Maciej Rosalak – **Krucjaty, samoobrona Zachodu**
Michael Haag – **Tajemnice templariuszy**
Jakub Ostromęcki – **Polacy na wyprawach krzyżowych**
Sławomir Cenckiewicz – **SB chciała podtruć Annę Walentynowicz**
Marcin Bartnicki – **Szaleństwo dowódcy ORP „Orzeł"**
Stanisław Rusek – **Walczyłem u „Zapory"**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Tuwim do Berezy Kartuskiej**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 6ed2495ad6

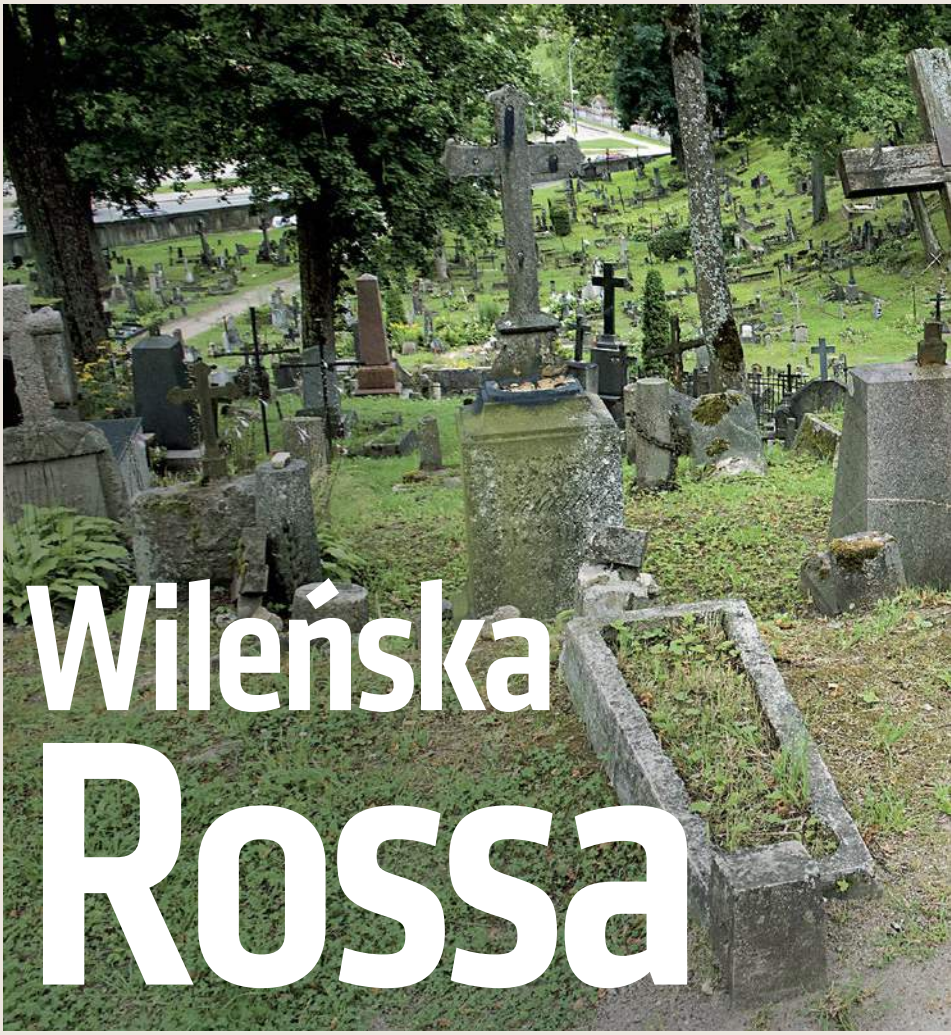

Wileńska Rossa

Anna Popek

Aby poznać historię narodu, należy poznać jego cmentarze. Książki mogą kłamać, groby nie

Nasze cmentarze za granicami obecnej Polski to źródło wiedzy, wspomnień i wzruszeń. Dlatego trzeba wybrać się do Wilna, niegdyś drugiej stolicy Rzeczypospolitej. „Wilno budzi to uczucie entuzjazmu, potrafi rozkołysać, rezelśnić duszę w każdym wrażliwym szlachetnie przybyszu" – czytamy w wydanym przed wojną przewodniku po Wilnie autorstwa Juliusza Kłosa. To ciekawa lektura, znajdujemy tam np. opis klątwy, jaką na mieszkańców Wilna rzucił znany z iście barokowej natury, pełnej niepohamowania i gwałtowności, biskup wileński. Przez dwa lata – od 1694 do 1696 r. – zamknięte były wszystkie kościoły, nie odprawiano mszy, odmawiano wiernym nawet pogrzebów katolickich. Skończyło się starciem zbrojnym pod Olkienikami i przegraną Sapiehów.

Miasto Mickiewicza i Słowackiego ma kilka pięknych oraz starych cmentarzy – cmentarz Bernardyński, cmentarz na Antokolu i najbardziej znaną wileńską Rossę, jedną z najwspanialszych polskich nekropolii. Nie wiadomo dokładnie, skąd pochodzi jej nazwa. Niektórzy uważają, że od pogańskich świąt Rossy, czyli litewskich odpowiedników nocy kupały, które być może kiedyś odbywały się na tym wyjątkowo malowniczym, pagórkowatym terenie. Inna koncepcja wywodzi nazwę od nazwiska dawnego właściciela tych ziem – bogatego mieszczanina Rossy.

Tak opisywał cmentarz znany malarz Edward Pawłowicz: „Ocieniony wiekowemi sosny i zieloną dąbrową [...] urozmaicony falistością wzgórz i dolin o tajemniczej głębi cieniów zdawałby się być raczej parkiem jakiejś królewskiej rezydencji niż miejscem smutku, rezydencją śmierci".

USUWANIE POLSKOŚCI

Teraz cmentarz jest w wielu miejscach zniszczony, opuszczony, groby powoli zapadają się w ziemi. Rodzin, które mogłyby się zajmować swoimi bliskimi, w większości w Wilnie już nie ma. Grobowce rodzinne szykowane z myślą o kolejnych pokoleniach stoją w połowie puste. Polacy musieli opuszczać Wilno, udając się na zachód, do Polski, bądź przymusowo wywożeni byli na Wschód. Okupanci dobrze wiedzieli, że wynaradawianie Polaków na Litwie musi się wiązać z niszczeniem ich pamięci, a więc z dewastacją cmentarzy. Robiono to na kilka sposobów. Usuwano metalowe krzyże i ogrodzenia rękami ludzi chcących co nieco zarobić. Organizowano bowiem zbiórki złomu, punkty skupu sytuowano nieopodal cmentarzy i czekano na plon. Znikały więc metalowe krzyże, a wraz z nimi ślady polskiej obecności. Rosjanom przeszkadzały także krzyże kamienne i marmurowe. – Cmentarz chcieli zostawić, bo ładny, ale marmurowe krzyże próbowali usuwać – mówi Rajmund Klonowski z „Kuriera Wileńskiego" o dewastacjach na Rossie. Typową praktyką było polewanie podstawy krzyży kwasem, żeby kamień skruszał i by można było je przewrócić. Przedwojenni kamieniarze jednak byli dobrymi rzemieślnikami, bo choć na wielu nagrobkach do dziś widnieją ślady działania kwasu, to większość krzyży ocalała. Innym, najłatwiejszym chyba do przeprowadzenia aktem dewastacji było niszczenie portretów nagrobnych. Piękne podobizny kobiet i mężczyzn spoczywających na Rossie zostały wytłuczone i z wielu nagrobków patrzą na nas teraz puste owalne oczodoły. Nieliczne, które przetrwały, pokazują, jak starannie niegdyś szykowano miejsca spoczynku dla swoich najbliższych i jak wzruszające napisy wykuwano w kamieniu: „Najdroższemu tatusiowi", „Kochanej córeczce".

OPIEKA NAD NEKROPOLIĄ

Trud opieki nad cmentarzem Na Rossie podjęła pani Alicja Klimaszewska. Zapytana o to, dlaczego wraz z grupą Polaków zabrała się do tego niełatwego zadania, mówi, że zainspirował ją Jerzy

eprasa.pl 6ed2495ad6

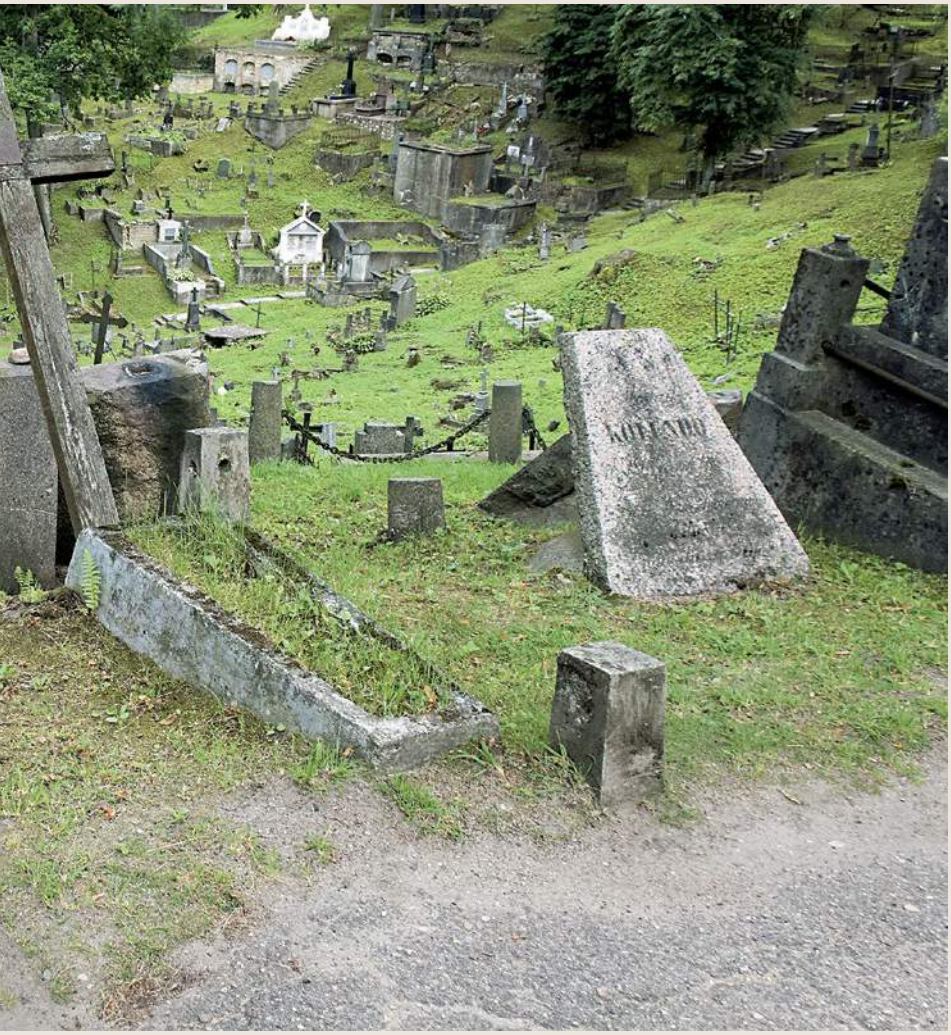

FOT. MAREK MICHALAK/EAST NEWS

Waldorff, który był kiedyś z wizytą w Wilnie. Zobaczywszy, w jakim stanie jest cmentarz Na Rossie, zachęcił Polaków z Wilna do działania. Założyli więc Społeczny Komitet Opieki nad Starą Rossą, a pierwsze pieniądze otrzymali ze zbiórki na… Starych Powązkach. Sam Waldorff był zaskoczony hojnością warszawiaków, bo podczas tej pierwszej kwesty zebrano sporą kwotę. Komitet systematycznie odnawia nagrobki, odświeża napisy, restauruje piękne metalowe ogrodzenia. Zresztą Polacy z Polski także to robią – izby lekarskie restaurują nagrobki zacnych wileńskich lekarzy, a Ryszard Rynkowski za honorarium ze swoich koncertów odnowił nagrobek słynnego niegdyś gitarzysty Marka Sokołowskiego.

Na wileńskiej Rossie spoczywa znaczna część rodziny Józefa Piłsudskiego. Są tu jego bracia, siostra, pierwsza żona. Przede wszystkim zaś jest tu mauzoleum matki Marszałka, Marii z Billewiczów Piłsudskiej.

Mauzoleum Matki i Serca Syna położone jest na niewielkim cmentarzyku wojskowym na lewo od wejścia głównego. Spoczywają tu polscy żołnierze polegli w walkach o Wilno 1919 r. W 1935 r. Józef Piłsudski kazał przenieść prochy matki z grobów rodzinnych w Sugintach i z wojskowymi honorami pochować na Rossie. Uważał, że kobieta, która przygotowała go do roli, którą odgrywał, zasługuje na najwyższy szacunek. 12 maja 1936 r. przy udziale prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego serce Marszałka spoczęło w tym samym grobowcu w srebrnej urnie u stóp trumny matki. Napis wyryty w czarnym marmurze głosi:

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu,
Gniazdo na skałach orła, niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
I słychać jęk sztanów w sosen szumie!

To słowa Juliusza Słowackiego, ulubionego poety Marszałka. Sam Słowacki pochowany jest na Wawelu, obok Mickiewicza, natomiast tu – na cmentarzu Na Rossie – leżą jego bliscy. Spoczywa tu jego ojciec, Euzebiusz Słowacki, który zmarł na gruźlicę, osierocając Juliusza, gdy ten miał pięć lat. Trzy lata później 26-letnia wówczas matka Salomea wyszła za mąż za profesora patologii na Uniwersytecie Wileńskim Augusta Bécu. Był on współzałożycielem, a później prezesem Wileńskiego Towarzystwa Medycznego, pionierem na Litwie w zakresie szczepień ochronnych przeciw ospie. Małżeństwo nie przetrwało długo – lekarz zginął bowiem 26 sierpnia 1824 r. podczas popołudniowej drzemki we własnym mieszkaniu przy ul. Zamkowej od rażenia piorunem. Prawdopodobnie był to piorun kulisty, zjawisko niezwykle rzadkie. Mickiewicz opisał go w III części „Dziadów" jako Doktora, zausznika Nowosilcowa, a rażenie piorunem uznał za słuszną karę niebios. Stało się to powodem głębokiego konfliktu między naszymi wieszczami, bo Słowacki żywił do swojego ojczyma wielki szacunek i czuł wielką wdzięczność.

W tym samym grobowcu spoczywa jeszcze jedna, niezwykle ważna dla Słowackiego postać – jego pokrewna dusza. Córka ojczyma z pierwszego małżeństwa – Aleksandra Mianowska. Juliusz uważał ją za przyrodnią siostrę i poświęcił jej poemat „Godzina myśli".

Zwiedzając Rossę, na pewno trzeba zobaczyć także piękny nagrobek zmarłej młodo Izy Salmonowiczówny. Usytuowana tuż koło kaplicy cmentarnej rzeźba w brązie wykonana została w Warszawie i przedstawia anioła, który kruszy ziemskie pęta oraz wznosi się ku niebiosom. Jej rzadkie piękno każe myśleć o tej młodej kobiecie, o jej przerwanym nagle życiu, o tym, co dla nas wszystkich nieuniknione. Świadectwo życia i śmierci to jedyna prawda, jaką przekazujemy innym.

We wstępie do trzeciego wydania „Przewodnika po Wilnie" Jan Bułhak napisał: „Najtrudniejszą rzeczą jest widzenie istoty życia własnemi oczami poprzez jego złudne pozory. Błąkamy się po świecie w mgle zewnętrzności i prześlizgujemy wzrokiem roztargnionych po wierzchu tajemnicy życia. Ale czasami przychodzi chwila, w której objawiają się sprawy dotąd zakryte".

Być może teraz w uroczystość Wszystkich Świętych i w Zaduszki jest właśnie ta chwila?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest dziennikarką i prezenterką telewizyjną, m.in. współprowadzącą „Wielki test" TVP oraz szefową działu PAP Life.

eprasa.pl 6ed2495ad6

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Lenin jak bomba atomowa

Władimir Putin powiedział kiedyś, że rozpad Związku Sowieckiego był największą katastrofą geopolityczną XX w. Pozwolę sobie mieć inne zdanie. Największą katastrofą XX w. było powstanie Związku Sowieckiego. Była to klęska nie tylko geopolityczna, lecz także przede wszystkim humanitarna i moralna. Nigdy wcześniej i nigdy później ludzkość nie upadła tak nisko jak w tym „raju robotników i chłopów".

W tym roku przypada 100-lecie rewolucji październikowej. A tak naprawdę puczu, który otworzył bolszewikom drogę do władzy. Z tej okazji wydawnictwo Bellona wydało znakomitą monografię Seana McMeekina, amerykańskiego sowietologa znanego polskiemu czytelnikowi z książki „Największa grabież w historii. Jak bolszewicy złupili Rosję".

Kiedy myślę o fascynującym fenomenie rewolucji rosyjskiej, modlę się, by moje dzieci nie musiały żyć w podobnie ciekawych czasach" – pisze McMeekin. Słowa te w pozytywny sposób odstają od „mądrości" wielu zachodnich intelektualistów, którzy starają się dostrzegać „pozytywne efekty", jakie komunizm rzekomo przyniósł „zapóźnionemu cywilizacyjnie imperium carów".

McMeekin przekonuje, że w rzeczywistości głównymi zdobyczami rewolucji były ludzkie cierpienie i nędza na niespotykaną skalę. Pisze o koszmarze czerwonego terroru, ale również o tym, że historia wcale nie musiała się potoczyć w tak fatalny sposób. Wskazuje na błędy słabego człowieka, jakim był car Mikołaj II. Monarcha, który nie zdobył się na podjęcie stanowczych działań, jakie mogły ocalić Rosję przed bolszewizmem. A jego samego przed śmiercią.

Leninizm to ideologiczna broń nuklearna – pisze McMeekin. – Jak bomba atomowa, raz wynaleziony nie może zostać zapomniany. Leninowskie skłonności wciąż drzemią w umysłach ambitnych i bezwzględnych, gotowe obudzić się szczególnie w ciężkich czasach załamania czy wojny, kiedy wydają się potrzebne radykalne rozwiązania. Narody łatwo skusić syrenim śpiewem komunizmu. Nauka, jaką możemy wyciągnąć z ostatnich stu lat, jest następująca: musimy być odporni".

Amen. ©℗

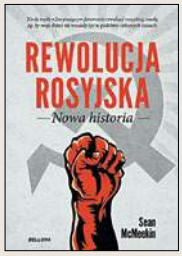

★★★★★★

SEAN MCMEEKIN „REWOLUCJA ROSYJSKA. NOWA HISTORIA" BELLONA 2017

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Inflanckie nekropolie

Wprawdzie nie przepadam za wizytami na cmentarzach, jednak w tej niechęci jest jeden ważny wyjątek. Po kresowych nekropoliach mogę spacerować godzinami. To kontakt z polskością naszych ziem utraconych, ze światem, który w większości odszedł już na zawsze.

Zupełnie odmienne wrażenie miałem, krążąc kilka lat temu, tuż przed Wszystkich Świętych, po cmentarzu rzymskokatolickim w łotewskim Daugavpils (Dyneburgu). Wprawdzie miasto odpadło od Polski jeszcze w 1772 r., na mocy I rozbioru, to tu do dziś co szósty mieszkaniec posługuje się naszym językiem, a polską przeszłość Dyneburga doskonale widać na tym cmentarzu. Nekropolia jest jedną z najpiękniejszych, jakie widziałem. Przylegają do niej cmentarze: prawosławny, wojskowy i komunalny. Dla mnie liczyły się jednak wyłącznie groby Polaków – ludzi, którzy nie zapomnieli o kraju swojego pochodzenia i podtrzymywali pamięć o nim.

> **Inflanty są już niemal zapomnianą krainą**

Cmentarz był bardzo zadbany, pomimo jesiennej pory alejki między nagrobkami z polskimi napisami były starannie wygrabione, a przy mogile żołnierzy polskich poległych w walkach o wolność Łotwy w latach 1919–1920 leżały świeże kwiaty. Na płytach grobowych zauważyłem dużo archaizmów, typowych dla ziem utraconych. Marija, Zofija, Aleksandr, Juzef. Czasami na jednym nagrobku tej samej rodziny widniały napisy alfabetem łacińskim i cyrylicą.

Podobnie zadbany był cmentarz w Krasławiu przy granicy białoruskiej, gdzie także znajduje się wiele polskich grobów. Nie jest to jednak regułą, Inflanty są już niemal zapomnianą krainą, co potwierdzał ponad sto lat temu pochodzący z tych ziem Gustaw Manteuffel, mówiąc ze smutkiem, że „Polakom trzeba mówić o Inflantach jako o ziemi nowo odkrytej, o której nawet w salonach literackich Warszawy mają tak niejasne pojęcie, jak o Borneo lub Sumatrze".

Przy okazji warto też pamiętać o roli, jaką odgrywali nasi rodacy na kresach i która do dziś jest widoczna na miejscowych nekropoliach. Jeden z moich przyjaciół, który od lat wyjeżdża podczas wakacji na Łotwę, aby katalogować polskie groby, opowiadał, jak trafił kiedyś z grupą współpracowników na niewielki cmentarz przy granicy rosyjskiej, gdzie pomimo usilnych poszukiwań nie udało się znaleźć polskich pochówków. Sprawę wyjaśniała kręcąca się po cmentarzu miejscowa „babuszka", która stwierdziła, że źle szukają, gdyż przecież wiadomo, „polskie pany leżą pod kościołem, a nie ze wszystkimi".

Nic dodać, nic ująć. ©℗

eprasa.pl 6ed2495ad6

SUPER HISTORIA.pl

DO RZECZY

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

31 PAŹDZIERNIKA

CZĘŚĆ IV Z CYKLU „POWSTAŃCY WARSZAWSCY"

„WARSZAWA POZNAŁA ICH W BIEDZIE"

WĘGRZY I INNI OBCOKRAJOWCY WALCZĄCY W POWSTANIU WARSZAWSKIM .

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH: PGE

eprasa.pl 6ed2495ad6

Triumf czeskiego Trumpa

Jacek Przybylski

Ekscentryczny miliarder i populista Andrej Babiš niespodziewanie zmiażdżył konkurentów w wyborach parlamentarnych. Co wygrana czeskiego Trumpa, nazywanego też czeskim Berlusconim, oznacza dla Polski i Europy?

Wprawdzie w maju został zmuszony do dymisji ze stanowiska wicepremiera, ale wkrótce zostanie premierem. Wprawdzie jest Słowakiem, a będzie rządził w Czechach. Wprawdzie obiecuje wyborcom surową walkę z korupcją, tymczasem na nim samym ciążą poważne zarzuty prokuratorskie. Z powodu śledztwa dotyczącego wyłudzenia 2 mln euro unijnych dotacji izba poselska we wrześniu odebrała mu poselski immunitet. Prezydentowi Milošowi Zemanowi oskarżenia o wyłudzenie unijnej dotacji zupełnie jednak nie przeszkadzają, aby ogłosić wpływowego oligarchę premierem. Zeman uważa bowiem całą sprawę za „policyjną prowokację". – Przyjmę od niego ślubowanie na urząd premiera, nawet jeśli będzie w więzieniu – oznajmił prezydent Czech.

Najwyraźniej podobną sympatią populistycznego premiera darzą czescy wyborcy, którzy w październikowych wyborach zdecydowali się oddać głos na Babiša. Być może uznali, że przebojowy biznesmen jest już tak bogaty, iż nie będzie musiał brać łapówek. A być może pamiętają po prostu, że w czasie, gdy był on wicepremierem i ministrem finansów, czeska gospodarka radziła sobie dobrze.

Niezależnie od tego, co ostatecznie przekonało Czechów do głosowania na centroprawicowy Ruch Niezadowolonych Obywateli (ANO), miliarder Andrej Babiš niespodziewanie zdobył w wyborach parlamentarnych 29,6 proc. głosów, uzyskując ogromną przewagę nad drugim w kolejności ugrupowaniem, konserwatywną Obywatelską Partią Demokratyczną (ODS), które poparło 11,3 proc. wyborców.

Tradycyjne partie zostały przez głosujących bardzo surowo ukarane: Czeska Partia Socjaldemokratyczna (ČSSD) dotychczasowego premiera

eprasa.pl 6ed2495ad6

FOT. DAVID W CERNY/REUTERS/FORUM

Bohuslava Sobotki zdobyła 7,3 proc., a Unia Chrześcijańska i Demokratyczna – Czechosłowacka Partia Ludowa jedynie 5,8 proc. Lepszy wynik w wyborach do Izby Poselskiej uzyskali Piraci (10,8 proc.), Komunistyczna Partia Czech i Moraw (7,8 proc.) oraz partia Wolność i Demokracja Bezpośrednia (10,7 proc.). Niewykluczone, że to właśnie oni wejdą do nowej koalicji rządzącej. Wzbudziłoby to jednak ogromne kontrowersje, ponieważ liderzy Wolności i Demokracji Bezpośredniej – ugrupowania założonego przez pół Czecha, pół Japończyka Tomia Okamurę – chcą, aby Czechy opuściły Unię Europejską i wzywają swych sympatyków do zaprzestania jedzenia kebabów i do wyprowadzania świń niedaleko meczetów. Partia mogłaby być sojusznikiem ANO. W pierwszych wywiadach Andrej Babiš deklarował jednak, że nie będzie współpracował ani ze skrajną prawicą, ani z komunistami.

CZESKIE TAŚMY PRAWDY

Kim jest przyszły premier Czech? 63-letni miliarder i populista przez jednych jest porównywany do amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa, przez innych do byłego włoskiego premiera Silvia Berlusconiego. Na łamach zachodnich, liberalnych mediów Andrej Babiš był też porównywany do Jarosława Kaczyńskiego, a także do przywódcy Węgier Viktora Orbána. I choć on sam stara się przekonywać, że tego typu porównania są błędne, co tłumaczył m.in. tak, że Trump kilka razy zbankrutował, a on sam nie – podobnie jak amerykański prezydent przyszły czeski premier konsekwentnie kreuje się na politycznego outsidera i człowieka spoza establishmentu. – Przychodzę do polityki z prawdziwego życia – przekonuje wyborców Babiš. Tymczasem ogromny majątek, szacowany przez magazyn „Forbes" na 4,1 mld dol., co daje miliarderowi drugie miejsce na liście najbogatszych Czechów, zdobył w dużej mierze dzięki współpracy z przedstawicielami państwowych elit. Absolwent Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Bratysławie zaczynał karierę od pracy w kontrolowanym przez komunistyczne władze przedsiębiorstwie chemicznym Petrimex, a w drugiej połowie lat 80. jako przedstawiciel tej firmy mieszkał w Maroku. W zdobyciu tej pracy z pewnością nie zaszkodziła mu pozycja mocno umocowanego w komunistycznym establishmencie ojca. Tego, jak mocno sam Andrej Babiš podczas pobytu w Maroku był zaangażowany we współpracę z komunistami, do końca nie wiadomo. Trybunał Konstytucyjny w Bratysławie uchylił bowiem wyrok sądu niższej instancji, uniewinniający Babiša od zarzutu współpracy z komunistyczną tajną policją StB.

Wiadomo, że po powrocie do kraju przedsiębiorca świetnie wykorzystał czasy „dzikiego kapitalizmu" i założył prywatny koncern Agrofert, który przemienił w biznesowe imperium, składające się z ponad 250 podmiotów działających m.in. w branży rolnej, chemicznej, a także na rynku nieruchomości. Babiš ma też restaurację La Paloma na Riwierze Francuskiej z dwiema gwiazdkami Michelina. Jest także właścicielem dwóch dużych gazet w Czechach oraz popularnej czeskiej stacji radiowej. I nie waha się ich używać w walce politycznej. U naszych południowych sąsiadów wybuchła nawet w tym roku „afera taśmowa", gdy w Internecie zamieszczono nagrania, na których przyszły czeski premier instruował, które materiały mają wypuścić tuż przed wyborami. Media opisywały też przypadki, gdy Babiš dzwonił z pretensjami do redaktorów, a także gdy reporterzy przynosili mu materiały kompro-

eprasa.pl 6ed2495ad6

mitujące politycznych przeciwników potężnego przedsiębiorcy i wpływowego polityka w jednej osobie.

Polityką oficjalnie zajął się dopiero niecałe pięć lat temu. Od początku prezentuje się jako przeciwnik establishmentu. Sympatyków zdobywa takimi hasłami jak: „Państwo powinno być zarządzane tak samo jak przedsiębiorstwo" czy „Pracujemy ciężko – przeciwnie do polityków". Jak na populistę przystało, Andrej Babiš nie unika kontrowersyjnych wypowiedzi. – Nie będę jadł tego polskiego g... – wykrzyknął kilka lat temu, gdy w jednym z programów telewizyjnych poproszono go o skosztowanie polskiej kiełbasy. Gdyby widzowie sprawdzili interesy Babiša, dowiedzieliby się, że jego firma zarabia m.in. na imporcie do Czech różnych polskich produktów rolnych: od kukurydzy do fasoli. Przyszły premier Czech przez lata walczył również przed sądami z polskim koncernem paliwowym PKN Orlen, domagając się gigantycznego odszkodowania w wysokości 20 mld koron czeskich (czyli ok. 3 mld zł) za niedotrzymanie zawartego na początku XXI w. poufnego porozumienia dotyczącego prywatyzowanego Unipetrolu. Według Babiša polska strona nie wywiązała się z umowy. Ostatecznie Orlen jednak ten spór wygrał.

CZESKIE TAŚMY PRAWDY

Już w wyborach w 2013 r. partia Babiša niespodziewanie zajęła drugie miejsce, dzięki czemu od stycznia roku 2014 przedsiębiorca został wicepremierem i ministrem finansów w koalicyjnym rządzie Bohuslava Sobotki. To nie był jednak łatwy związek. Szef rządu oskarżył go bowiem o poważne nadużycia, które pozwoliły mu uniknąć zapłaty podatku za dywidendę od Agrofertu. Firmy należące do miliardera miały też otrzymywać rządowe dotacje, o których przyznaniu decydował kierowany przez Babiša resort finansów. W 2016 r. parlament przyjął więc ustawę mającą zapobiegać konfliktom interesów, którą wprost nazywano „Lex Babiš". Nowe prawo nie pozwalało, aby członkowie rządu byli jednocześnie właścicielami mediów, a także by ich firmy ubiegały się o państwowe dotacje czy rządowe zamówienia. Cel jej przegłosowania był banalnie prosty: zmusić Babiša do wyboru między wielką polityką a wielkim biznesem, a co za tym idzie – przynajmniej w zamyśle pomysłodawców nowego prawa – usunąć go z czeskiej polityki. Ustawę poparły wszystkie partie poza ANO. Babiš, należący do najbardziej popularnych polityków w Czechach, znalazł jednak wyjście z tej sytuacji. I przekazał swoją firmę w ręce funduszu zarządzającego, nad którym kontrolę sprawuje żona miliardera – Monika.

Nie był to jedyny problem miliardera i wicepremiera. Jednocześnie rozpoczęto bowiem przeciwko niemu postępowanie w sprawie unijnej dotacji, którą nielegalnie miał otrzymać należący do Babiša ośrodek wypoczynkowy. Pod koniec maja pod naciskiem premiera Sobotki Babiš musiał zrezygnować z posady wicepremiera i ministra finansów. Na początku września izba poselska na wniosek prokuratury zdecydowaną większością głosów uchyliła zaś Babišowi immunitet. Sam biznesmen broni się, twierdząc, że zarzuty są nieprawdziwe, a działania prokuratorów to efekt politycznej nagonki zorganizowanej przez establishmentowych polityków. W nowym parlamencie znów uzyska immunitet i tym razem z pewnością dopilnuje, aby już go nie stracić. Niewykluczone też, że prezydent Zeman zdecyduje się po prostu ułaskawić Babiša i w ten sposób na dobre wydobyć go z tarapatów.

Po wyborach w Czechach korki szampana musiały strzelać też w Moskwie. Partia ANO to bowiem ugrupowanie jawnie prorosyjskie

BLIŻEJ KREMLA

W wieczór wyborczy korki od szampana strzelały z pewnością nie tylko w sztabie Babiša, lecz także u jego przyjaciół w Moskwie. Czeska partia ANO to bowiem ugrupowanie jawnie prorosyjskie. Po objęciu fotela premiera Andrej Babiš będzie się więc starał o polepszenie relacji z Kremlem, m.in. poprzez walkę o zakończenie „wojny na sankcje" wobec Rosji.

– Nie jesteśmy zagrożeniem dla demokracji. Chociaż jestem gotów walczyć o nasze interesy w Brukseli, to Czechy są integralną częścią Unii Europejskiej oraz NATO – deklaruje przyszły szef czeskiego rządu. Jednocześnie od 2014 r. przekonuje, że sankcje wobec Moskwy nie przynoszą zamierzonych efektów i powinny zostać zniesione. Niedawno przywódca ANO poparł zaś pomysł prezydenta Miloša Zemana, który zaproponował, aby świat oficjalnie uznał aneksję Krymu przez Rosję. Wedle tej koncepcji władze w Kijowie za utracone ziemie miałyby po prostu otrzymać od Moskwy jakąś formę odszkodowania.

Jednocześnie łzy rozpaczy popłynęły w gabinetach oficjeli w Brukseli czy w Berlinie. I to nie tylko dlatego, że po wygranej Babiša można się spodziewać pogorszenia relacji między Pragą a Unią Europejską. Wynik czeskich wyborów pokazuje bowiem również, że mieszkańcy kolejnego unijnego kraju mają już po dziurki w nosie dawnych elit i wolą ugrupowania jawnie eurosceptyczne. Babiš może więc współpracować z innymi krajami, które mają już dość dyktatu Brukseli, Berlina oraz Paryża.

Nowy czeski rząd przyjmie zapewne podobne stanowisko co rząd PiS w sprawie prób narzucania przez UE przymusowych kwot imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki.

Nowy premier może być jednak dla Warszawy problematycznym sojusznikiem. Zwycięstwo ANO w Czechach, podobnie jak świetny wynik wyborczy Wolnościowej Partii Austrii, pokazuje bowiem, że Rosjanie starają się odbudowywać swoją strefę wpływów w Europie, patronując ruchom centrowym i prawicowym oraz budując swój wizerunek jako państwa, które może stanowić antidotum na zdegenerowane lewicowe unijne elity. Babiš może więc w przyszłości zaproponować budowę nowej architektury bezpieczeństwa w Europie, opartej w dużej mierze na przyjaźni z Moskwą. Tuż po wyborach w wywiadzie dla Agencji Reutersa oznajmił, że Grupa Wyszehradzka potrzebuje nowych sojuszników. – Potrzebujemy Austrii i innych krajów – stwierdził, dodając, że potencjalnych sprzymierzeńców można też szukać w regionie Bałkanów, Słowenii i Chorwacji.

Jednocześnie można się spodziewać, że Babiš – zarówno jako premier, jak i biznesmen – nadal będzie postępował pragmatycznie. On sam – podobnie jak wiele czeskich firm – zarabia bowiem sporo na handlu w strefie euro. I raczej nie będzie ryzykował działania, które uderzyłoby w jego interesy oraz w czeską politykę gospodarczą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

SEKSEDUKACJA 7-LATKÓW

Centrum zdrowia seksualnego w belgijskim regionie Flandrii uruchomiło stronę internetową poświęconą edukacji seksualnej. Na witrynie przeznaczonej dla młodzieży poruszono różne aspekty seksualności – od planowania rodziny przez choroby przenoszone drogą płciową aż do różnych pozycji seksualnych czy gadżetów erotycznych. Przy tym pozycje seksualne są na tej stronie szczegółowo technicznie omówione. Tymczasem – jak doniosły belgijskie media – flamandzki rząd w poradniku rozprowadzanym w szkołach podstawowych zaproponował tę witrynę jako odpowiednią także do edukowania dzieci siedmioletnich. Gdy katolickie organizacje wskazały, że ta treść może być nieodpowiednia dla małych dzieci. flamandzki minister kultury i młodzieży uznał takie uwagi za „nowy rodzaj pruderyjności".

FOT. FOTOLIA

POTOMEK DŻIHAD

We Francji (to ten kraj na lewo od nas, którym rządzi Macron lubiący imigrantów, a niezbyt lubiący Polaków) pewna muzułmańska para poszła do urzędu zarejestrować nowo narodzone dziecko. Ta z pozoru niewinna czynność administracyjna zakończyła się zawiadomieniem prokuratury. Rodzice koniecznie bowiem chcieli, by potomek nosił imię Dżihad, a urzędnicy – zgodnie z francuskim prawem – nie mogą odmówić rejestracji takiego imienia. Może to tylko sąd. Adwokat rodziców przed sędzią chce udowadniać, że imię nie jest sprzeczne z interesem dziecka, bo „dżihad" nie oznacza tylko krwawej rozprawy z niewiernymi, lecz także „dokładanie starań w celu wzmocnienia wiary". Pozostaje mieć nadzieję, że sąd także dołoży starań, aby utrzymać sprawę nadawania imion w zgodzie z europejskim i francuskim prawem.

DZIERŻYŃSKI KOZAKIEM

Na Ukrainie w 2015 r. przyjęto ustawę o potępieniu reżimu komunistycznego i nazistowskiego oraz o zakazie propagowania ich symboliki. W związku z tym z ulic miały zniknąć komunistyczne pomniki, ale (jak to dobrze znamy) nie wszystkie zniknęły. Uchowało się m.in. popiersie Feliksa Dzierżyńskiego stojące w Berdiańskiej Kolonii Karnej. Z nim postąpiono nietypowo. Zamiast obelisk rozbić lub wywieźć, „Krwawemu Feliksowi" ociosano brodę, dociosano ukraiński haft, a na głowie wymodelowano kozacki osełedec. I tak komunistyczny zbrodniarz zmienił się w pułkownika wojska zaporoskiego – Maksyma Krzywonosa.

MIELI MAJĄTEK, MAJĄ BITCOINY

Duński informatyk zamieszkał z żoną i trzema córkami na campingu, bo wszystko, co posiadali – dom, firmę, dwa samochody i motocykl – sprzedali, a za uzyskane pieniądze kupili wirtualną walutę bitcoin. Didi Taihuttu, który do niedawna prowadził biznes i zatrudniał kilkunastu ludzi, twierdzi, że kryptowaluta to waluta przyszłości. I że inwestycja warta już dziesiątki tysięcy euro (o ile ktoś będzie chciał kiedyś jego bitcoiny na coś wymienić) przyniesie mu prawdziwe bogactwo.

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O przejrzystości

Przed unijnym Trybunałem Sprawiedliwości w Luksemburgu na ławie oskarżonych zasiadła cała Unia. Oskarżenie dotyczy braku przejrzystości, jak w nowomowie nazywają dziś złodziejstwo lub oszustwo.

29 dziennikarzy zwracało się 29 razy do Parlamentu Europejskiego, by europosłowie ujawnili, w jaki sposób wydają dodatki do pensji na sekretarzy, wynajem biura, telefony, podróże, diety. Otrzymali 29 odmów. Chodzi w sumie o 70 mln euro, a więc kwotę w budżecie unijnym śmieszną. Ponadto chodzi o wysokość dodatków, które sięgają 8,5 tys. euro miesięcznie. A więc mówimy o sumach, które mogą przyprawić statystycznego obywatela Unii o zawrót głowy.

Dziennikarze zwrócili się więc do pani adwokat Natašy Pirc Musar, prawniczki Melanii Trump, by wzięła sprawy w swoje ręce. Rezolutna Słowenka wytoczyła Unii proces w jej własnym trybunale w Luksemburgu. Spośród 751 europosłów 53 zgodziło się ujawnić te dane. Czyli tylko 7 proc. ludzi, którym z ust nie schodzą słowa „transparentność" i „uczciwość".

W kwietniu br. ugrupowanie Zielonych PE poddało pod głosowanie propozycję, by dodatki do pensji europosłów wpłacane były na osobne, jawne konto bankowe. Naturalnie propozycja przepadła w głosowaniu. Powód? Wymyślono „niezgodność z regulaminem PE". Gdy ujawnienia tych samych danych zażądano od zarabiających krocie 28 komisarzy, KE zgodziła się opublikować tylko rozliczenia podróży służbowych. Ówczesny szef PE Martin Schulz uznał jednak, że byłoby to… zbyt kosztochłonne.

Te haniebne uniki przekonują, że europosłowie oraz urzędnicy unijni część dodatków w majestacie regulaminów kradną i, tak jak w przypadku każdego złodziejstwa, nie płacą od tego podatków. Ci ludzie mają ambicję rządzenia Europą i mogą dopiąć swego. Biada nam. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 6ed2495ad6

Witold Repetowicz z Iraku

Imam Ali powiedział, że są dwa rodzaje ludzi: ci, którzy są jego braćmi w wierze, i ci, którzy są mu równi jako ludzie – mówi mi Sajed Jezedin al-Hakim, jeden z trzech synów mardżi Muhammada Sajeda al-Hakima

Różne twarze islamu

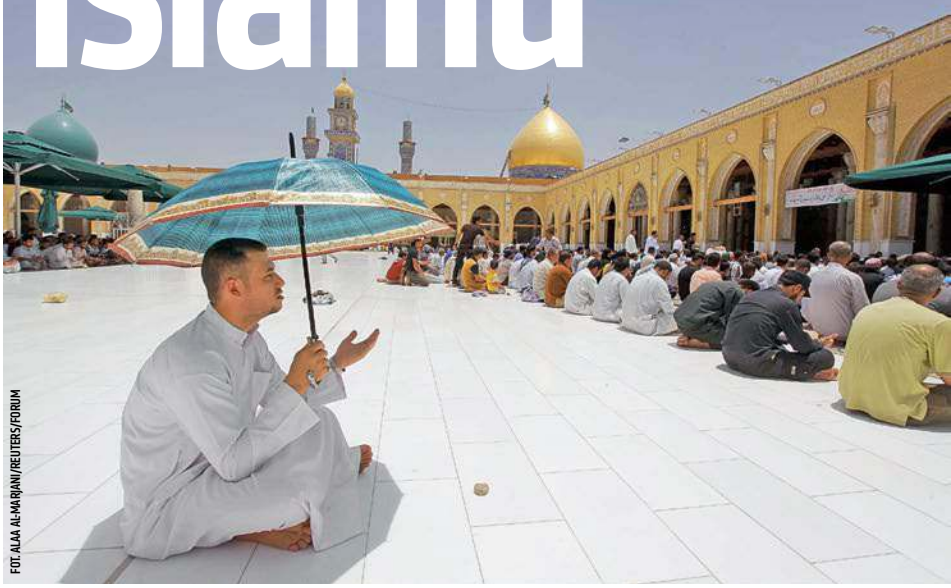

FOT. ALAA AL-MARJANI/REUTERS/FORUM

Te słowa jeszcze wielokrotnie usłyszałem w Nadżafie, religijnej stolicy Iraku. Wizyta w tym mieście mogłaby zdziwić zarówno tych, którzy wierzą, że światy chrześcijański i islamski muszą pozostawać wobec siebie w nieustannej konfrontacji, jak i tych, którzy zakrzykują wszelką dyskusję o islamskim ekstremizmie oskarżeniami o islamofobię i rasizm.

Wyjątkowa rola religijna Nadżafu wynika z tego, że znajduje się tu mauzoleum imama Alego, czwartego kalifa i jednocześnie pierwszego szyickiego imama. Do bogato zdobionego grobowca, nad którym góruje pozłacana kopuła, pielgrzymuje co roku kilka milionów muzułmanów, głównie szyitów, ale również niektórzy sunnici. Ali był w końcu zięciem Mahometa, a także jego kuzynem i uznanym przez obie strony wewnątrzmuzułmańskiego sporu kalifem, czyli przywódcą wszystkich muzułmanów. Problem polega jednak na tym, że panująca po nim dynastia kalifów umajjadzkich dokonała zagłady niemal całej jego rodziny, jedynych potomków samego Mahometa. Chodzi przede wszystkim o masakrę dokonaną w oddalonej od Nadżafu o 75 km Karbali. Dwadzieścia lat po śmierci Alego, w 680 r., wojsko kalifa Jazyda zaatakowało karawanę syna Alego, imama Husajna, mordując wszystkich, łącznie z sześciomiesięcznym synem Husajna. – Męczeństwo Husajna to istota naszej wiary – usłyszałem od jednego z pracowników Centrum al-Hikma w Nadżafie, którego zadaniem jest między innymi prowadzenie dialogu międzyreligijnego i walka z religijnym ekstremizmem.

FAŁSZYWE WIZERUNKI

Dla wielu ludzi w Europie to szyici jednak kojarzą się z religijnym fanatyzmem, do czego przyczyniają się ich ceremonie oraz czarny PR. Europejczyków najbardziej szokują sceny samookaleczeń i biczowania się w trakcie święta Aszury, upamiętniającego bitwę pod Karbalą. Jednak w latach 70. irański filozof Ali Szariati wysunął tezę, że te krwawe ceremonie szyici przejęli od… europejskich chrześcijan. Inspiracją mieli być tu zwłaszcza średniowieczni biczownicy. Szyici uważają zresztą, że podobieństw między chrześcijaństwem i szyizmem jest więcej. – Męczeństwo imama Husajna ma dla nas podobne znaczenie, jakie dla chrześcijan ma ukrzyżowanie Jezusa Chrystusa – mówi mi dyrektor Centrum al-Hikma, Sajed Saleh al-Hakim, od lat zajmujący się dialogiem muzułmańsko-chrześcijańskim.

Z chrześcijańskiego punktu widzenia teza o analogii między śmiercią Husajna i Jezusa Chrystusa może budzić kontrowersje, a dialog międzyreligijny – nieufność związaną z nadużywaniem tego pojęcia przez politpoprawnych zwolenników świata multi-kulti. Jednak w przypadku irackich szyitów wszystko wskazuje na to, że ich intencje są szczere. Irak to kraj wieloreligijny, w którym chrześcijaństwo obecne jest od czasów apostolskich. Niestety ostatnie lata niestabilności spowodowały istny exodus chrześcijan z tego kraju. Szyici, zwłaszcza ich duchowi przywódcy z mardżami na czele, deklarują jednak, iż chcą, by chrześcijanie pozostali w Iraku.

Co więcej, z tego serca szyickiego islamu widać lepiej zagrożenia, jakie wynikają z radykalnego islamu politycznego zarówno dla Europy, jak i samego islamu. Podczas gdy w Europie narzuca się tezę, że terroryzm takich organizacji jak Al-Kaida czy Państwo Islamskie nie ma nic wspólnego z islamem, lekceważąc jednocześnie zagrożenie wahabicko-salafickie oraz strumienie pieniędzy płynące z Arabii Saudyjskiej i Kataru na inicjatywy religijne na naszym kontynencie, a jakiekolwiek ataki na organizacje powiązane z Bractwem Muzułmańskim uznaje się za islamofobię, to szyici widzą to zupełnie inaczej.

– Europejscy przywódcy chcą zniszczyć wizerunek islamu, pozwalając na działalność grup siejących nienawiść i podział, takich jak Bractwo Muzułmańskie czy wahabici – usłyszałem od jednej z wykładow-

eprasa.pl 6ed2495ad6

czyń Wydziału Islamskiego Uniwersytetu w Kufie, najważniejszej uczelni w Iraku po uniwersytecie w Bagdadzie. Kufa to bliźniacze miasto Nadżafu, oddalone od niego zaledwie o 10 km. Jednocześnie to miejsce, w którym znajduje się jeden z czterech najważniejszych meczetów (obok Al-Kaaby w Mekce, meczetu w Medynie i Kopuły na Skale w Jerozolimie). Mieli się w nim modlić zarówno praojciec Adam, patriarcha Noe, jak i Mahomet oraz Ali. Na środkowym dziedzińcu znajduje się też fontanna, która miała zapoczątkować znany i z Biblii, i z Koranu potop. Kufa była pierwszym miastem założonym przez muzułmanów po podboju Iraku. To tu również został zamordowany imam Ali.

Wspomniany pogląd o planie zniszczenia islamu przez tolerowanie radykalnego islamu politycznego w Europie może się wydawać absurdalny. Jednak czy bardziej absurdalne nie jest to, że tenże islam polityczny uznaje się za twarz islamu, a jego krytyka jest nazywana rasizmem, choć jest mnóstwo dowodów na to, że stanowi on ideologiczny fundament dla aktywności terrorystycznej, która ponoć nie ma nic wspólnego z islamem?

Moi rozmówcy na Wydziale Islamskim Uniwersytetu w Kufie nie byli w stanie powstrzymać się od śmiechu, gdy powiedziałem im, że Arabia Saudyjska założyła w Polsce Międzynarodowe Centrum Promocji Dialogu, a katarska telewizja Al-Dżazira tropi zagrożenia demokracji i przypadki naruszenia praw człowieka w Europie, w tym w Polsce. – Media monarchii Półwyspu Arabskiego chcą zohydzić wizerunek Europy, by uzasadnić swoją absolutną władzę i brak swobód u siebie – usłyszałem od innego wykładowcy Wydziału Islamu w Kufie. – To samo czynią z nami, przedstawiają światu fałszywy wizerunek Iraku, gdzie rzekomo szyici walczą z sunnitami, co nie jest prawdą. Promują też ideologie nienawiści, które służą dzieleniu ludzi, starając się przedstawić w złym świetle nas, szyitów – dodał. – Jak państwo, w którym nie ma ani jednego kościoła, w którym inne religie są zakazane, a szyici, choć są muzułmanami, też są prześladowani, może mówić coś o dialogu? – spytał z kolei retorycznie dziekan tego wydziału.

– Na naszym wydziale mamy katedrę poświęconą innym religiom, gdzie przekazujemy rzetelną wiedzę, pozbawioną siania jakiejkolwiek nienawiści do tych wierzeń. Oczywiście szczególną wagę przykładamy do chrześcijaństwa i judaizmu, bo to religie Księgi – podkreślił dziekan. Nie miał on również najmniejszych wątpliwości co do ścisłego związku między rządzącą w Arabii Saudyjskiej ideologią wahabicką, od lat 70. eksportowaną z Półwyspu Arabskiego do Europy, a od 10 lat również do Polski, a praktyką Państwa Islamskiego. – Mamy na to wiele dowodów. Na przykład dwa lata temu Daesh (Państwo Islamskie) wydał podręcznik religijny pt. „Ilm al-Bajan fi Wiladat Dawlat al-Islam". Rok później te same zasady zostały opublikowane w Arabii Saudyjskiej w książce „Al-Doran al-Sanije", która stała się bardzo popularna nie tylko na Półwyspie Arabskim, lecz także w Egipcie i Turcji.

Wykładowcy Wydziału Islamu Uniwersytetu w Kufie podkreślali, że istotną częścią dialogu międzyreligijnego musi być zjednoczenie przeciwko wahabizmowi i pokrewnym mu ideologiom. – Nawet w Koranie jest ajat mówiący o tym, że lud al a'rab jest najgorszym rodzajem kufar, czyli niewiernych. To określenie odnosi się do prymitywnych beduinów, których cechuje okrucieństwo pustyni. W pierwszych stuleciach islamu niektórzy wmieszali to do naszej religii, a w XIX w. Brytyjczycy wskrzesili tę abominację przeciw Ottomanom. Ci ekstremiści są zagrożeniem dla nas wszystkich: szyitów, sunnitów, chrześcijan, żydów. Dlatego musimy zjednoczyć nasze siły, by z tym walczyć – dodali.

BUDOWANIE MOSTÓW

Rozłam w islamie na szyitów i sunnitów nastąpił po śmierci Alego, a przypieczętowała go bitwa pod Karbalą. Kolejnych szyickich imamów, potomków Alego i Husajna, kalifowie mordowali. Dwunasty i ostatni imam, noszący imię Mahdi, zniknął w czasie pogrzebu swego ojca i według szyitów jego powrót zwiastować będzie koniec świata. Chociaż Ali w tradycji muzułmańskiej przedstawiany jest jako niezwyciężony i niezwykle odważny wojownik, a jego symbolem jest dwusieczny miecz Zulfikar, to w czasie jego kalifatu nie doszło do żadnej ekspansji terytorialnej. Również później szyici nigdy nie prowadzili podbojów w imię islamu, co wyraźnie odróżnia ich od sunnickich kalifów, a następnie sułtanów otomańskiego imperium.

– Gdy Ali był kalifem, to traktował wszystkich, bez względu na religię, jak równych, a pod jego rządami panowała sprawiedliwość i nie było biedy – opowiada Saleh al-Hakim, członek jednej z najbardziej wpływowych szyickich rodzin, familia ta wywodzi swój rodowód od imama Hassana ibn Alego, starszego brata imama Huseina. Od uczoności członków tego klanu wzięło się nazwisko. Hakim po arabsku znaczy mądry.

Centrum al-Hikma jest częścią hauzy, czyli połączenia seminarium dla szyickich duchownych z czymś w rodzaju szyickiego synodu. System nauki oparty jest na jednoczesnym uczeniu się i nauczaniu innych. Jeśli ktoś wiedzę posiada, lecz jej nie przekazuje innym, to w hauzie nie ma dla niego miejsca. Na czele tej instytucji stoją mardżowie, których obecnie jest w Iraku czterech. Jednym z nich jest Muhammad Sajed al-Hakim. Jego stryjem był natomiast Muhammad Bakir al-Hakim, który w czasie wojny iracko-irańskiej stworzył Brygady al-Badr, iracką milicję szyicką, walcząca po stronie Iranu. Po obaleniu Saddama w 2003 r. mimo początkowej nieufności wobec Amerykanów zdecydował się z nimi współpracować, jednak już w sierpniu 2003 r. został zamordowany w zamachu bombowym. Za czasów Saddama, od 1983 r. do 1991 r., Muhammad Sajed al-Hakim i 75 członków tej rodziny zostało uwięzionych. – Mimo grożących kar i izolacji opracowaliśmy system, dzięki któremu nawet w saddamowskiej katowni funkcjonowała hauza. Nas nie można złamać – mówi jeden z członków tej rodziny, który siedział wówczas w więzieniu.

Centrum nie jest jedyną instytucją w Nadżafie próbującą budować mosty między światem islamu a Europą. Na terenie mauzoleum imama Alego działa fundacja Kaszif al-Getaa, założona na początku XIX w. Ona również jest częścią hauzy, a kierujący nią obecnie szejk Abbas nie wyobraża sobie, by tutejsi studenci nie znali świętych pism judaizmu i chrześcijaństwa. – To są dla nas święte księgi i ich studiowanie jest naszym obowiązkiem. Nasz prorok powiedział, że wiedzy należy szukać nawet w Chinach, więc nie uznajemy żadnych ograniczeń, jeśli chodzi o nasze studia – podkreśla szejk. Jego syn zaprowadził mnie do piwnicy, gdzie fundacja przechowuje m.in. pierwsze łacińsko-arabskie wydanie Biblii, pochodzące z XVII w.

– Nie uznajemy dżihadu jako metody szerzenia naszej religii. Naszym narzędziem nie jest miecz, ale tabligh, czyli dostarczanie wiedzy o naszej wierze – podkreśla szejk Abbas. – Islam ma wiele twarzy. Dla nas, szyitów, islam to pokój i nikt, kto odrzuca tę zasadę, nie może nazywać się muzułmaninem. Ale są radykalne grupy, które nas za to zwalczają – dodaje jeden z wykładowców Wydziału Islamu Uniwersytetu w Kufie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Rosyjski oligarcha Dmitrij Rybołowlew na tle obrazów Picassa kupionych od szwajcarskiego marszanda Yves'a Bouviera FOT. PATRICK KOVARIK/AFP/EAST NEWS

Raj macherów

Joanna Bojańczyk

Rosyjski oligarcha owinął sobie wokół palca policję, wymiar sprawiedliwości i rządzących maleńkiego księstwa Monako, raju podatkowego rosyjskich miliarderów. Przy okazji wybuchł skandal w handlu sztuką. Stawka – prawie miliard dolarów

Z okien pałacu książąt Grimaldich położonego na wysokiej skale rozpościera się urzekający widok na Morze Śródziemne. Leży w Monako, maleńkim państewku, które ma 300 słonecznych dni w roku, liczy zaledwie dwa kilometry kwadratowe powierzchni, 7,5 tys. obywateli, 38 tys. mieszkańców i 40 tys. zatrudnionych. Od kiedy w roku 1297 genueński pirat Francesco Grimaldi w przebraniu mnicha zdobył skałę Monako, nieprzerwanie panuje tu ród Grimaldich. Od 12 lat księstwem rządzi książę Albert II, żonaty z Charlene, byłą mistrzynią pływacką z RPA. Przez długi czas ten kosmopolityczny playboy słynął z miłosnych podbojów, nie zawsze w najwyższych sferach.

Ożenił się w roku 2011 w wieku 53 lat, gdy już Monakijczycy stracili nadzieję, że się ustatkuje.

W 2014 r. parze urodziły się bliźnięta: Gabriella i Jacques.

W Monako są dwa klany. Z jednej strony „pracusie": obywatele księstwa lub tylko jego goście, których zadaniem jest pracą wzbogacać państwo i podnosić prestiż dworu. Z drugiej: niebieskie ptaki, które obsiadły księstewko i żerują na jego liberalnej polityce podatkowej. Chodzi tu o miliarderów, początkowo mile widzianych, takich jak niegdyś Arystoteles Onassis. Chociaż i wtedy książę Rainier III pozbył się greckiego armatora, uznając go za zbyt agresywnego. Dzisiaj miliarderzy beztrosko hulają po raju podatkowym księstwa Monako.

Większość stanowią rosyjscy oligarchowie. Na początku lat 2000 było ich zaledwie kilkudziesięciu, dzisiaj idą w setki. Opanowali rynek nieruchomości, handel sztuką i dobrami luksusowymi. Sprowadzili rodziny. Aleksander Pugaczow, właściciel dziennika „France-Soir", rosyjski oligarcha Andriej Mielniczenko, właściciel jachtu „A" o długości 119 m, zaprojektowanego przez Philippe'a Starcka. Georgy Bedzhamov, bankier, właściciel rosyjskiej federacji bobsleja, obecnie w areszcie pod zarzutami malwersacji finansowych...

Ci panowie mogą wydawać się płotkami w porównaniu z Dmitrijem Rybołowlewem, który na ich tle wyrasta na figurę co najmniej emblematyczną. Równie emblematyczna może być historia tego 59-letniego lekarza kardiologa, którego majątek w roku 2016 magazyn „Forbes" ocenił na 8 mld dol. Zaczynał od prywatnej lecznicy w mieście Perm, w której wykorzystywano leczenie polem magnetycznym. Potem

eprasa.pl 6ed2495ad6

przeszedł do przedsięwzięć bardziej lukratywnych: sektora ubezpieczeń, banków i nieruchomości. Jednak prawdziwe pieniądze zarobił na prywatyzacjach kopalń potasu i fabryk nawozów potasowych. Kolejno przejmował je, skupując akcje pracownicze i stając się większościowym udziałowcem. W 2006 r. w jednej z kopalń na skutek pojawienia się wód podziemnych oraz – jak potem zbadano – niezasypywania opuszczonych szybów doszło do zawalenia gruntu. Dach nad głową straciło 12 tys. mieszkańców. Komisji rządowej, której zlecono zbadanie katastrofy ekologicznej, przewodził Jurij Trutniew, minister górnictwa. Rybołowlew i Trutniew byli dobrymi znajomymi. Kampanię wyborczą Trutniewa na gubernatora Permu finansował właśnie oligarcha. W rezultacie śledztwa Rybołowlewowi nie postawiono zarzutów. Gdy przyszło do rekompensowania strat mieszkańcom, przebywający już w Szwajcarii magnat stracił zainteresowanie sprawą.

Tak jak wszyscy oligarchowie Rybołowlew ma jedną obsesję: pieniądze. Co z nimi zrobić? Rosja wykluczona, bo niepewna, Szwajcaria też wydaje się nieodpowiednia. „Szwajcaria nie jest prawdziwie kapitalistycznym krajem. Policja i wymiar sprawiedliwości nie są tu na usługach banków i pieniędzy. Są tylko trzy miejsca, gdzie mogę robić to, co chcę: Skorpios, Cypr i Monako" – wyznał z rozbrajającą szczerością na jednym z przyjęć. Przy czym należy wyjaśnić, że wyspę Skorpios kupił od Athiny Onassis za 150 mln dol., a paszport cypryjski zapewnia mu obywatelstwo Unii Europejskiej. Natomiast mimo starań odmówiono mu paszportu Stanów Zjednoczonych, przez co na operację prostaty musiał sprowadzić lekarzy aż na Dominikanę.

NAJDROŻSZY ROZWÓD W HISTORII

Zatem Monako. Problem tylko, że obywatelstwa Monako także nie udało się magnatowi zdobyć, musiał zadowolić się stałą wizą pobytową. Książę Albert okazał się w tym przypadku nieustępliwy, chociaż miliarder poczynił w Monako poważną – zdawałoby się – inwestycję. Zakupił drużynę piłkarską AS Monaco FC, wprawdzie za symboliczne euro, ale z obietnicą inwestowania przez pięć lat. AS to dla Grimaldich sprawa prestiżowa, książęca rodzina posiada w niej jedną trzecią udziałów. Początkowo drużyna odnosiła obiecane zwycięstwa we francuskiej pierwszej lidze, później jednak spadła do drugiej. Należy dodać, że Rosjanin jest właścicielem penthouse'u o powierzchni 1,6 tys. mkw., wycenionego na 280 mln euro oraz willi na Florydzie, kupionej od Donalda Trumpa.

Problem był także z żoną. Mając dość zdrad, Elena wniosła o rozwód. Musiała stoczyć długą batalię prawniczą, mając przeciwko sobie trudnego przeciwnika: niejaką Tetianę Bershedę, niezwykle skuteczną adwokatkę Rybołowlewa. Ta 30-letnia Ukrainka, która – jak mówią – za swego pracodawcę dałaby sobie uciąć rękę, wybroniła go, przynajmniej częściowo. Elena, oskarżona przez męża o kradzież pierścionka, który sam jej podarował, uzyskała od niego 3,2 mld dol. – sumę, którą adwokatce udało się zbić z żądanych w pierwszej instancji 7 mld. Najdroższy rozwód w historii... Na szczęście oligarcha miał z czego płacić, gdyż udało mu się sprzedać akcje kopalni, gdy Putin groził przepadkiem majątków. W roku 2010 zainkasował 6,5 mld.

PLĄCZĄ SIĘ W ZEZNANIACH

Czy jest pewniejsza inwestycja niż dzieła sztuki? I w dodatku prestiżowa? A to wiele znaczy, bo gdy jest się noworuskim, trzeba stale walczyć o szacunek. Pieniądze nie wystarczą... Ambicją Dmitrija Rybołowlewa było zatem stać się najsławniejszym kolekcjonerem sztuki. W tym celu nawiązał znajomość ze szwajcarskim marszandem Yves'em Bouvierem. Panów przedstawiła sobie niejaka Tania Rappo, przyjaciółka Rybołowlewów, z pochodzenia Bułgarka. Została pośredniczką między nimi. Przy każdej transakcji pobierała 6 proc., ale było to legalne, zresztą dokumenty przekazywała skrzętnie bankowi HSBC. Na nich figuruje jako wspólniczka Bouviera.

Przez 10 lat Bouvier sprzedał Rybołowlewowi 37 płócien za 2 mld dol. Van Gogh, Modigliani, Rothko, Picasso. Przelewów dokonywano za pośrednictwem banku HSBC. I nagle, w lutym 2015 r., Bouvier zostaje zatrzymamy przez dziewięciu policjantów w Monako. Jest w szoku. Okazuje się, że zawiadomienie złożył przeciwko niemu Rybołowlew. Stawia mu zarzut „przekrętów na 800 mln euro i prania brudnych pieniędzy". Po trzech dniach marszand wychodzi na wolność za kaucją 10 mln dol. „O co chodzi Rybołowlewowi? – pyta. – Przecież nie miał obowiązku kupowania obrazów, jeśli ceny uznawał za zawyżone". Twierdzi, że magnat jest mu winien 60 mln dol. Dlaczego skargę wniesiono w Monako, skoro wszystkie transakcje odbyły się gdzie indziej? Przesłuchiwana jest również Tania Rappo, ale zarzuty, że jej pośrednictwo było nielegalne, okazują się pozbawione podstaw. W dokumentach wszystko się zgadza. W zeznaniach za to plączą się pracownicy banku, policja i urzędnicy wymiaru sprawiedliwości Monako. Okazuje się, że Tetiana Bersheda nagrywała rozmowy Rappo, próbując ją oskarżyć, ale gdy sprawa wyszła na jaw, ze swojej komórki pani adwokat wymazała dane.

Intrygę ujawniono we wrześniu. Była nakręcona przez samego Rybołowlewa, któremu udało się „pozyskać do współpracy" licznych wpływowych i wysokich funkcjonariuszy monakijskiej policji oraz wymiaru sprawiedliwości. Książę Albert próbował lekceważyć problem, chociaż zdawał sobie sprawę z jego powagi, bo w Monako wszyscy się znają. Minister sprawiedliwości Monako Philippe Narmino poprosił o przejście na wcześniejszą emeryturę (eufemistycznie – dymisję). Na jego komórce znaleziono SMS-y potwierdzające długotrwałe knowania ministra i Bershedy. Narmino miał także przyjmować od oligarchy luksusowe prezenty i zaproszenia do jego rezydencji w szwajcarskim kurorcie Gstaad.

Po co to wszystko? „Technika Robołowlewa jest prosta – mówi Bouvier. – Wsadzi mnie do gułagu, potem, żeby pokazać, że wszystko może, wyciągnie stamtąd po trzech miesiącach i odzyska swoje pieniądze, które rzekomo stracił. Przecież godził się na wszystkie transakcje. Prawdziwy powód jest inny. Chodzi o tzw. strefy wolnocłowe. Wolno w nich przechowywać dobra i towary, którymi stamtąd można handlować bez podatku".

Bouvier wie, co mówi, bo sam stworzył takie miejsca w Genewie, Luksemburgu i Singapurze. Jak twierdzi, to o Singapur chodzi Rybołowlewowi, chce na nim położyć łapę. Może jednak chodzić także o coś więcej. O wymuszenie na Bouvierze spółki albo w ogóle o odbicie interesu. W tym samym czasie Jurij Trutniew, przyjaciel oligarchy, który wyciągnął go z opałów po zawaleniu się kopalń na Uralkali, sprywatyzował pierwszą firmę obrotu diamentami w Rosji. Będzie się znajdowała we Władywostoku, niedaleko giełdy kamieni szlachetnych. Tydzień po aresztowaniu Bouviera Trutniew ogłosił otwarcie pierwszej wolnocłowej strefy we Władywostoku. Interesy miliarderów nie zawsze są jasne, ale jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o pieniądze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Tomasz Wróblewski

Wielka gra o podatki

Podatek przychodowy dla globalnych koncernów może je w końcu zmusić do płacenia danin. Chyba że Francja i Niemcy mają ukryty plan

Komisja Europejska, a w szczególności jej najpotężniejsze państwa, od lat usiłuje położyć rękę na miliardach niezapłaconych podatków Amazona, Google, Microsoftu i Apple. Pieniądze umykają dzięki specjalnym konstrukcjom podatkowym przyznawanym przez mniejsze państwa. To, co dla Paryża czy Berlina jest nadużyciem, dla Dublina i Luksemburga stanowi przewagę konkurencyjną. Dodatkowe wpływy budżetowe, nowoczesne centra przemysłowe budujące nowe kompetencje i wysoko płatne miejsca pracy. Faktem jest, że korzyści budżetowe nie rozkładają się proporcjonalnie do wielkości wydatków i sprzedaży na poszczególnych rynkach. Niemcy i Francuzi, którzy konsumują najwięcej globalnych produktów technologicznych, dostają z powrotem z tego tytułu wpływy podatkowe należące do najniższych. Globalne koncerny rejestrują swoje siedziby w Luksemburgu, Irlandii, Belgii, gdzie mają preferencyjne stawki podatkowe. Czasem liczone na dziesiętne procentu.

W Polsce mamy lustrzaną sytuację. Francuskie i niemieckie sieci handlowe korzystają z rynku 37 mln mieszkańców, sprzedają nam swoje produkty, a podatki odprowadzają… tam, gdzie chcą, albo optymalizują je, kreując sztuczne koszty za granicą.

Irytację rządów łatwo zrozumieć. Trudniej rzecz rozsupłać bez przebudowy unijnej architektury. Tak jak zresztą wiele innych pułapek w konstrukcji wspólnej Europy zastawionych tu przez bezmyślnych polityków przekonanych, że naturalne prawa ekonomii dostosują się do ich wizji Unii ponadnarodowej.

Podobnie było z zaciąganiem zobowiązań finansowych w strefie euro. Z jednej strony każdy rząd mógł korzystać z lewara w postaci wspólnej waluty i niższego oprocentowania pożyczki, a z drugiej każdy mógł zaciągać kredyty ponad swoje możliwości, zmuszając bogatsze rządy do regulowania zobowiązań. Kiedy się okazało, że narody potrafią być jednak cynicznie samolubne i nadużywać kredytu, euro o mało nie rozpadło się na kawałki. Tym nowym lewarem jest wspólny rynek, a nowym nadużyciem jest mechanizm wyboru miejsca opodatkowania. Dzisiaj znowu się okazuje, że rządy zamiast być wspaniałomyślne i sprawiedliwe, są chciwe, samolubne oraz gotowe robić cuda, żeby przejąć cudze podatki. Irlandia wynalazła mechanizm „Double Irish" polegający na tym, że firmy nie płacą podatków za pieniądze transferowane do Irlandii w ramach jednego koncernu. Luksemburg wynalazł negocjowany próg podatkowy. Czesi oferują niższe koszty ubezpieczeń społecznych.

PROBLEM ROZWINIĘTYCH

W przypadku potentatów technologicznych luka szczególnie doskwiera rozwiniętym gospodarkom, takim jak Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania, a nawet Holandia, których firmy nie mają szans konkurowania z koncernami z Ameryki. Firmy penetrują ich rynki zasobne w bogatych i spragnionych nowych technologii obywateli, ale podatki wyprowadzają. Coś, co nasz rząd boli od lat, jeżeli chodzi o zachodnioeuropejskie koncerny, teraz zostało zauważone przez nich samych, „dojonych" przez amerykańskie koncerny za sprawą innych mniejszych państw Unii.

Konflikt narasta od lat. Do ostatniego starcia doszło w tym miesiącu. Bruksela zażądała, żeby urząd podatkowy Luksemburga pobrał od Amazona 250 mln euro podatku, którego firma nie musiała zapłacić dzięki specjalnym indywidualnym preferencjom. Rząd Luksemburga zasłania się prawem do ustanawiania własnej polityki podatkowej, UE oskarża go o mechanizmy pozwalające globalnym koncernom oszukiwać inne państwa Unii na miliardy euro. Amazon

epressa.pl 6ed2495ad6

zapowiedział apelację, a Luksemburg przyjął postawę podobną do tej, jaką wcześniej zajęła Irlandia, obecnie stająca przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej za to, że odmówiła pobrania należnych 13 mld podatku od Apple.

NOWY PODATEK?

Na konferencji ministrów finansów w Estonii Polska ciepło zareagowała na pomysł specjalnego podatku przychodowego od globalnych koncernów. Nowy podatek teoretycznie nic nie zmienia w konstrukcji unijnej. Każda firma dalej może rejestrować się, gdzie chce, każde państwo zachowuje swoją niezależność podatkową, tyle tylko, że jeden rodzaj koncernów ma płacić podatki tam, gdzie zarabia. Nie, żeby nasz rynek dla światowych gigantów był szczególnie intratny i nasz rząd widział w tym znaczący uszczerbek dochodów, ale Polska ma różne bogactwa, z których czerpią inne światowe koncerny. Ma blisko 37 mln obywateli. Z roku na rok coraz więcej konsumujemy, i to coraz droższych produktów.

Prorynkowe środowiska, połączone teraz w koalicji „Płaca plus, podatki minus", od lat apelują o zastąpienie podatku CIT podatkiem przychodowym. Wskazują, że ponad 60 proc. korporacji unika płacenia podatku w Polsce. Rząd o tym wie i zdaje sobie sprawę, że podatek przychodowy poważnie ukróciłby nadużycia, ale rzecz – tak jak wiele innych – jest… wiadomo – polityczna. Nic dziwnego, że wicepremier Morawiecki entuzjastycznie zareagował na projekt nowego podatku. Głośno tego nigdzie nie powiedział, ale w tyle głowy oprócz Apple, Microsoftu i Google ma też zagraniczne sieci handlowe, potentatów nieruchomościowych, z których część nigdy nie zapłaciła tu złotówki CIT. W tym miejscu dodajmy, że i wiele polskich firm korzysta z unijnych luk podatkowych.

Podatku przychodowego nie da się obejść. Nawet na poziomie 1,5 proc. z pewnością byłby ogromnym wsparciem dla budżetu. Czas pokaże, czy Berlin i Paryż zezwolą na rozciągnięcie podatku przychodowego na wszystkie rodzaje firm, niezależnie od państwa pochodzenia, ale szansa istnieje i jest się o co bić. Wspomniana koalicja podatkowa dowodzi, że taka fundamentalna reforma podatków nie tylko poprawiłaby konkurencyjność polskich firm, lecz także pozwoliłaby na obniżenie powszechnych podatków i zwiększenie wynagrodzeń pracowniczych średnio o 22 proc.

W doskonałym świecie, w świecie naprawdę konkurencyjnej Unii zgodnej z idealistycznymi założeniami jej twórców, w całej Europie mielibyśmy jeden prosty system podatku przychodowego naliczany w miejscu, gdzie generowany jest dochód. Państwa, tak jak pojedyncze firmy, konkurowałyby między sobą jakością administracji i kosztami świadczonych usług. Im niższe byłyby progi podatków przychodowych, tym chętniej inwestorzy przenosiliby tam swój kapitał.

FOT. FOTOLIA

JESZCZE WIĘCEJ UE

Komisja Europejska nie byłaby sobą, gdyby nie wykorzystała kryzysu i dziury podatkowej do głębszych zmian systemowych. Do budowy Unii jeszcze bardziej scentralizowanej i bardziej ograniczającej kompetencje państw narodowych. Prezydent Macron mówi o pełnej konwergencji systemów podatkowych w Europie. W jego mniemaniu podatek przychodowy ma być zaledwie pierwszym krokiem, a nie celem samym w sobie. W swoim ostatnim programowym wystąpieniu apelował o jak najszybsze pozbawienie rządów narodowych prawa weta i stanowienie podatków większością głosów.

Rządy najbogatszych państw Unii od lat mówią o harmonizacji podatków. Dotychczas wszystkie plany rozbijały się o mur narodowej niezależności. Dzisiaj nadarza się niepowtarzalna okazja – wspólny wróg, czyli amerykańskie korporacje wykorzystujące lukę w systemie. Nawet kraje – które, zdawało się – do upadłego będą broniły się przed przychodową konstrukcją podatkową, wiele zrobiły już w kwestii unifikacji. Irlandia czy Luksemburg z jednej strony składają apelacje w Trybunale Europejskim, ale z drugiej wypełniają luki prawne napiętnowane przez KE.

Dla zwolenników dalszej centralizacji przesuwania ośrodków władzy z państw narodowych do Brukseli to niepowtarzalna okazja. Precedens otwierający KE drogę do nadzorowania lokalnych podatków. Określania form i wysokości opodatkowania, a z czasem – kto wie? – może i dodatkowych świadczeń socjalnych. Coś, co pozwoli najwyżej rozwiniętym państwom spowolnić wyścig krajów rozwijających się z Europą Zachodnią. Zakonserwuje obecną strukturę gospodarczą Unii podzielonej na kraje taniej siły roboczej i kraje zaawansowanej technologii – produktów czy usług z najwyższą marżą. Wkraczamy na bardzo grząski grunt. Gra o przeforsowanie podatku przychodowego z pewnością ma dla nas duże znaczenie, ale potencjalna utrata kontroli nad podatkami może stanowić strategiczne zagrożenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wielka szczypta populizmu

Szef SLD Włodzimierz Czarzasty postanowił przypomnieć o istnieniu swej coraz bardziej zapomnianej partii, ogłaszając, że jej nowym sztandarowym projektem będzie „Trzy razy dwa tysiące złotych". Pomysł sprowadzający się do tego, że tyle właśnie – 2 tys. zł – powinny wynosić: najniższa emerytura, najniższa renta i – w konsekwencji – najniższa pensja. I że SLD ma to wszystko elegancko i dokładnie przeliczone oraz policzone, w związku z tym nie ma wątpliwości, że na cały projekt wystarczy, bagatela, 20 mld zł rocznie, które można byłoby zyskać dzięki „ograniczeniu wpływów do ZUS". I dodał: „Uważamy, że przy rozsądnym zarządzaniu finansami państwa to jest do spełnienia".

A co na to niezawodni konkurenci Czarzastego z opozycji parlamentarnej (Platforma, Nowoczesna, Kukiz'15, PSL) i pozaparlamentarnej (Partia Razem itd.)? A zwłaszcza co na to politycy rządzącej Zjednoczonej Prawicy, czyli PiS, Solidarnej Polski i Polski Razem? Dalej będą się ścigać w rozdawaniu pieniędzy i tak już zadłużonych przez nich po uszy podatników czy wreszcie znajdzie się pośród nich choć jeden przytomny (i odważny), który spróbuje przerwać ten obłędny, spychający Polskę w otchłań niechybnego bankructwa wyścig? Wyścig, który trwa od lat, co sprawia, że dług publiczny naszego państwa znowu – po zagrabieniu przez rząd Tuska 150 mld zł z kont przyszłych emerytów w OFE i dzięki nim chwilowemu poprawieniu sytuacji – zaczyna się niebezpiecznie zbliżać do konstytucyjnej granicy 60 proc. PKB.

Na razie kosztowna – dla podatników – licytacja polityków na rozdawnicze pomysły zdaje się nie mieć końca. Jeśli bowiem nie „500+" już dla każdego dziecka niezależnie od sytuacji materialnej jego rodziny – czego żąda Platforma – to obniżenie wieku emerytalnego przez PiS i jeszcze zapisanie tego fatalnego rozwiązania w konstytucji, czego z kolei chce prezydent Andrzej Duda. Jeśli nie przywrócenie ryczałtowego, a przez to nader demotywującego sposobu rozdziału pieniędzy między szpitale włączone do sieci, zamiast dotychczasowego, wynikającego z liczby leczonych w nich pacjentów, to prezydencka skarga nadzwyczajna do Sądu Najwyższego, która kosztować będzie wydłużenie i tak już trwających w nieskończoność procesów oraz pochłaniać dodatkowe pieniądze. Jeśli nie podniesienie najniższej emerytury do 1 tys. zł przez PiS, to obiecane przez Platformę wprowadzenie 13. emerytury w roku czy oczekiwane przez posła Solidarnej Polski Tadeusza Cymańskiego przyznanie kartek na żywność dla uboższych emerytów.

A zatem: Kto rozda więcej? I do reszty utopi Polskę w oceanie długów, których spłata już teraz kosztuje nas ponad 30 mld zł rocznie – dużo więcej niż program „Rodzina 500+"? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

We władzy algorytmów

Robotyzacja i algorytmizacja procesów decyzyjnych postępuje coraz szybciej. Samochody zaczynają same decydować, jak jechać, bo tak jest bezpieczniej dla ludzi. Samolot w zasadzie już nie potrzebuje pilota, bo przecież od czasu zwiększenia roli komputerów w pilotowaniu liczba wypadków lotniczych drastycznie spadła, mimo że ludzie latają coraz więcej. Roboty wykonują zarówno ciężkie prace, choćby noszenie paczek w olbrzymich magazynach Amazona, jak i te precyzyjne związane z montażem najnowszych modeli komputerów. Dzięki temu jest mniej wypadków przy pracy, a my otrzymujemy produkty lepszej jakości, bo pracownik komputer jest niezawodny i nieomylny w odróżnieniu od człowieka. No i jeszcze nie strajkuje ani nie idzie na urlop, co zwiększa zyski firm. Algorytm (tzw. FICO score) decyduje, czy dostaniemy kredyt w banku czy nie. Algorytm podejmuje decyzję, czy nasze CV obejrzy przyszły pracodawca, czy wyląduje ono na elektronicznym śmietniku. Facebook na podstawie 60–100 lajków wie o nas więcej niż nasi rodzice i przyjaciele. I nie chodzi tu o zarząd Facebooka, tylko o algorytmy tej firmy, które mają taką dokładną wiedzę o ponad miliardzie ludzi. Jeśli się tyle wie o danej osobie, to ma się nad nią olbrzymią władzę.

> **Facebook na podstawie 60–100 lajków wie o nas więcej niż nasi rodzice i przyjaciele**

Algorytmy zastępują prawników w analizach typowych umów, lekarzy w ocenie zdjęć rentgenowskich oraz USG, i robią to znacznie szybciej, efektywniej i oczywiście taniej. Jak długo trzeba będzie czekać, by komputer całkowicie zastąpił lekarza również przy stole operacyjnym? Uważam, że pierwsza taka operacja odbędzie się jeszcze przed 2020 r., a największą barierą do pokonania będzie nie ta technologiczna, ale etyczna i mentalna.

Już niedługo algorytmy będą nami rządzić, decydować o tym, co jest dobre oraz dozwolone, a co niedobre i powinno być ukarane. Oczywiście wszystko to dla naszego dobra, żeby było mniej wypadków, żeby firmy miały większe zyski, żeby produkty były lepszej jakości, żeby jakość opieki zdrowotnej wzrosła, a ceny pozostały dostępne. Dokąd to jednak prowadzi?

Czy przypadkiem, przekazując algorytmom coraz więcej decyzji, w tym także o naszym życiu i śmierci (komputer w roli kierowcy, lekarza czy prawnika), i rozwijając możliwości komputerów, nie doprowadzimy do sytuacji, w której kiedyś komputery osiągną olbrzymią władzę nad człowiekiem? I z niej skorzystają. Niekoniecznie w interesie człowieka. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 6ed2495ad6

ZAINWESTUJ W APARTAMENT

Z WIDOKIEM NA JEZIORO W SERCU KARKONOSZY

TERMIN REALIZACJI **LIPIEC 2018**

8%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu z operatorem

30 lat
doświadczenia operatora

widok na góry i jezioro

wykończenie i wyposażenie w cenie

wprost

22 299 11 55 sprzedaz@lakehill.pl www.lakehill.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 Kodeksu cywilnego.

eprasa.pl 6ed2495ad6

TEST „DO RZECZY": SAMSUNG GALAXY NOTE 8

Świetny, podwójny tylny aparat fotograficzny, olbrzymi, rewelacyjnej jakości ekran, znakomita wydajność, funkcjonalny rysik, przeciętna bateria i… absurdalnie wysoka cena. To główne cechy najnowszego flagowca południowokoreańskiego producenta.

Smartfon z przeszklonym tyłem, aluminiowymi ramkami oraz pięknym zakrzywionym ekranem jest precyzyjnie wykonany i – zwłaszcza w czarnej wersji – prezentuje się nowocześnie oraz elegancko. Szkoda jednak, że noszenie go bez pokrowca może jednak szybko sprawić, że na pięknym szkle pojawią się niewielkie rysy i odrapania.

Na tylnej obudowie znajdują się dwa obiektywy (standardowy oraz szerokokątny z matrycą o wielkości 12 Mpix, a także z matrycami odpowiednio f/1,7 oraz f/2,4). Niestety, tuż obok obiektywów południowokoreańscy projektanci umieścili czytnik linii papilarnych. Łatwo jest więc palcem zabrudzić obiektywy. Na szczęście smartfon wyświetla ostrzeżenie o zabrudzonym obiektywie. Poza tym urządzenie można odblokowywać za pomocą skanera tęczówki oka (działa całkiem nieźle, chyba że próbujemy go używać w ostrym świetle) lub całej twarzy (działa gorzej).

Note 8 robi bardzo dobre zdjęcia, z dużą liczbą detali nawet przy słabym oświetleniu. Świetnie sprawdza się również optyczna stabilizacja obrazu. Miłośników selfie ucieszy zaś wiadomość, że przedni aparat ma już 8-megapikselową matrycę. Note 8 potrafi też nagrywać filmy 4K z prędkością 30 kl./s (UHD) lub 60 kl./s (Full HD).

6,3-calowy ekran Super AMOLED (tak naprawdę po odjęciu zaokrąglonych narożników ma on przekątną 6,2 cala) ma proporcje 18,5:9. Jakość wyświetlanego obrazu o rozdzielczości 2960 x 1440 i bardzo wysokim kontraście jest niesamowita. Bardzo dobre są zarówno nasycenie barw, maksymalna jasność, odzwierciedlenie detali, jak i kąty widzenia. Wrażenie robią też wyjątkowo cienkie ramki wokół wyświetlacza. Mimo ogromnego ekranu i sporej wagi (195 g) smartfon dobrze trzyma się w dłoni.

Najnowszy phablet Samsunga został wyposażony w gniazdo USB typu C, wejście słuchawkowe, a także rysik. Mimo to Note 8 jest odporny na kurz i wodę (spełnia najwyższą normę IP68). Samym rysikiem można zaś w razie potrzeby zamieszać cukier w herbacie (producent tego oczywiście nie zaleca, a i ja nie gwarantuję ani tego, że przy częstym wykorzystywaniu rysika zamiast łyżeczki będzie on nadal działać). Samsung poleca za to, aby za pomocą rysika sporządzać notatki nawet na zablokowanym ekranie. Elektroniczne piórko ułatwia też m.in. szybkie tłumaczenie tekstów i edycję grafiki.

Kolejną zaletą tego modelu jest wysoka wydajność: ośmiordzeniowy procesor Exynos 8895 i aż 6 GB pamięci RAM sprawiają, że Note 8 jest jednym z najszybszych smartfonów na rynku. Plusem jest to, że pamięć urządzenia można bez problemu powiększyć za pomocą karty pamięci (wówczas traci się jednak możliwość użycia drugiej karty SIM).

Niestety, bateria o pojemności 3300 mAh sprawia, że smartfon wytrzymuje maksymalnie jeden dzień intensywnej pracy.

Bez wątpienia Galaxy Note 8 to najlepszy model Samsunga i jeden z najlepszych smartfonów na rynku, który w niektórych przypadkach może bez trudu zastąpić laptop. Niestety, jest to jednocześnie wyjątkowo drogie urządzenie: za Note 8 trzeba zapłacić niemal 4,3 tys. zł.

Jeśli więc komuś nie zależy na tym, aby rysować lub pisać po ekranie, to powinien przed zakupem obejrzeć o kilkaset złotych tańszy model Galaxy S8+. ©℗

Jacek Przybylski

ZAMIAST CIASTECZKA

„Kochanie, nie masz wrażenia, że przytyłam?" – znacie to pytanie? Pewnie, każdy facet jeśli jeszcze go nie słyszał, to na swoje nieszczęście usłyszy. I pewnie wyduka wtedy standardową odpowiedź w rodzaju: „Ależ oczywiście, że nie, zjedz proszę ciasteczko", myśląc zarazem, czym podeprzeć łóżko po jej stronie. A może lepiej nic nie mówić, tylko podarować jej i przy okazji także sobie (jak najbardziej) gadżet o nazwie VHOOP? To nic innego jak inteligentne hula-hoop, ale zrobione tak udanie, że jeśli partner/partnerka jest równie inteligentny/-a, to aluzję pojmie i przy tym się nie obrazi. Urządzenie naszpikowane jest sensorami aktywności ruchowej, funkcji życiowych i powiązane z aplikacją fitness. Kręcąc kółkiem, nie tylko dbamy o linię bioder, mięśnie brzucha, ud, wzmacniamy mięśnie klatki piersiowej (i takie tam), lecz także zyskujemy dostęp do pełnych danych o spalonych kaloriach, poprawie stanu „umięśnienia", czasie treningu, uzupełnionych poradami dotyczącymi tego, jak kręcić i jak się poruszać, by wysiłek fizyczny z udziałem VHOOP był bardziej efektywny, a technika pracy udami – jakkolwiek to zabrzmi – bardziej profesjonalna. Urządzenie składa się z ośmiu części łatwych w montażu, co pozwala też na zabranie VHOOP ze sobą w podróż. Gadżecik dostępny w sprzedaży od grudnia, a zamawiać go można na Kickstarterze, wpłacając ok. 170 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SOLARNY PLECACZEK

Lubicie spacerować i robić dużo zdjęć, a jednocześnie musicie być w stałym kontakcie telefonicznym z firmą, rodziną, bliskimi? Wkurzają was kieszenie wyładowane szybko psującymi się powerbankami, zapasowe baterie i różne tego rodzaju cuda-wianki? Istnieje rozwiązanie i – nie ukrywam – jest ono naprawdę interesujące. To Numi Smart Pack, czyli plecak (nieco większy od plecaka miejskiego) z zintegrowanym panelem słonecznym, portami USB, —zasilaczem, ukrytym zamkiem błyskawicznym. Co tu dużo mówić, zamontowany na zewnętrznej części plecaka solar (7 WATT – 22 tys. mAh powerbank) łapie promienie słoneczne, a dwa wejścia USB pozwalają w każdej chwili podładować znajdujące się w nim aparaty, smartfony i tablety. Klapa plecaczka i zamki otwierające kieszenie są zabezpieczone tak, że rozsunąć je może jedynie właściciel, który – co ciekawe – by szybko wyjąć np. aparat i zrobić zdjęcia, nie musi wcale go zdejmować, ale może wykorzystać dodatkową, boczną klapę. Do tego multum mniejszych kieszonek na karty pamięci, kable, pendrive'y itp. Numi Smart Pack zamawiać można na Kickstarterze od grudnia, ale tanio nie będzie (ok. 500 zł). ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 6ed2495ad6

Umysł rozszczepiony

Katarzyna Pinkosz

Leczymy raka, leczymy chore serce. Nie może jednak zabraknąć pomocy też dla tych, którzy w dzisiejszych czasach mają słabszą psychikę

FOT. FOTOLIA

Objawy mogą pojawić się nagle, być tak burzliwe i charakterystyczne (halucynacje, omamy, urojenia), że rodzina szybko skłania bliską osobę do szukania pomocy u lekarza. Częściej jednak choroba rozwija się powoli. Młody człowiek (problem zwykle dotyka młodych) stopniowo wycofuje się z życia, staje się podejrzliwy, nieufny, zamknięty w sobie, unika relacji z ludźmi, przestaje wychodzić z domu. Bywa, że dopiero po miesiącach, a nawet latach od wystąpienia pierwszych objawów chory trafia do psychiatry, gdzie pada diagnoza: schizofrenia.

Nazwa pochodzi od słów schizis i phren: „rozszczepić" oraz „umysł" i dobrze oddaje istotę problemu. Chory nieadekwatnie odbiera rzeczywistość. Może mieć urojenia, czuć się obserwowany, uważać, że jest śledzony, podsłuchiwany, wyszydzany, ludzie chcą go skrzywdzić. Słyszy dźwięki albo głosy komentujące jego zachowanie lub nakazujące wykonywanie różnych czynności. Towarzyszą temu ogromny lęk, napięcie, chęć obrony przed prześladowcami. Inne objawy to stopniowe rezygnowanie z dotychczasowych zajęć aż do całkowitego wycofania społecznego.

U każdego pacjenta choroba przebiega inaczej: łagodniej lub bardziej gwałtownie, zwykle falami – z dłuższymi lub krótszymi okresami remisji. Na schizofrenię cierpi 1 proc. społeczeństwa, czyli w Polsce – ok. 385 tys. osób. U 73 proc. chorych rozpoznanie postawiono przed 30. rokiem życia.

Schizofrenię trzeba leczyć, i to jak najwcześniej. Niestety, z raportu „Schizofrenia. Rola opiekunów w kreowaniu współpracy" wynika, że u ponad połowy chorych okres pomiędzy wystąpieniem pierwszych objawów choroby a rozpoczęciem leczenia wynosi około roku.

– Często rodziny w obawie przed stygmatyzacją nie przychodzą z pacjentami do lekarza. Leczenie rozpoczyna się zbyt późno. Trzeba zmienić to nastawienie i skłonić ludzi, by wcześniej przychodzili do lekarza – mówił prof. Norman Sartorius, były dyrektor Departamentu Zdrowia Psychicznego WHO oraz były przewodniczący World Psychiatric Association, podczas odbywającego się niedawno w Warszawie European Schizophrenia Meeting.

– Pacjenci ze schizofrenią mają bardzo złą jakość życia. Bardziej cierpią z powodu stygmatyzacji niż z powodu samego schorzenia. Muszą z powrotem znaleźć swoje miejsce w społeczeństwie – przekonywał prof. Sartorius.

Późniejsze rozpoznanie oznacza późniejsze rozpoczęcie leczenia, a to jest niekorzystne. Schizofrenia nie tylko upośledza jakość życia, ale też mocno je skraca – nawet o ok. 20 lat.

W leczeniu konieczne jest połączenie farmakoterapii z psychoterapią, wsparciem społecznym i edukowaniem rodziny. Ważne, by chory nie wycofywał się z życia, tylko kontynuował naukę i pracował. Z tym nie jest dobrze. Z danych Fundacji Pro Domo wynika, że 72 proc. chorych na schizofrenię straciło pracę już w chwili postawienia diagnozy. Tylko kilkanaście procent jest aktywnych zawodowo – mimo że 26 proc. ma wyższe wykształcenie.

Nie ma leków, które schizofrenię wyleczą, ale są takie, przy których przyjmowaniu można o niej zapomnieć. Chorzy często przerywają jednak terapię (to jedna z cech choroby), co automatycznie prowadzi do nawrotu, a często też do konieczności hospitalizacji. Rozwiązaniem stosowanym powszechnie w wielu krajach są nowoczesne leki o przedłużonym działaniu (LAT, ang. long-acting treatment), które podaje się w formie iniekcji co kilka tygodni, a nawet miesięcy (w zależności od preparatu). To ulga dla opiekunów (którzy nie muszą kontrolować, czy pacjent bierze leki). Nowoczesne leki nie dają też objawów ubocznych, jakie często powodowały medykamenty starszej generacji.

Bolączką w Polsce jest to, że leki te są u nas zbyt rzadko stosowane. – Na Węgrzech długo działające leki przeciwpsychotyczne drugiej generacji są w 100 proc. dostępne i stosowane, gdy są takie wskazania. System ubezpieczeń zwraca uwagę na to, czy u danego pacjenta terapia jest efektywna. Jeśli tak, lek jest refundowany, pacjent ponosi jedynie koszt wydania recepty w wysokości 1 euro – mówił prof. Istvan Bitter z Uniwersytetu Semmelweisa w Budapeszcie, członek Europejskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Gdyby tak było też w Polsce, więcej pacjentów (i ich opiekunów) mogłoby żyć normalnie, a może też i pracować. Aktywność społeczna i zawodowa to – poza przyjmowaniem leków i terapią psychologiczną – najlepsze zabezpieczenie przed nawrotami choroby.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Agnieszka Niewińska

Widok na szwajcarskie Alpy, śniadanie w obłożonej złotem jadalni i stąpanie po futrze z lisów polarnych. Rezydencja budowana przez Jana Kulczyka miała sprawić, że innym bogaczom opadną szczęki

Luksusy

Pewnie nigdzie na świecie ten odcinek serialu amerykańskiej stacji CNBC nie odbił się takim echem jak w Polsce. 12 października autorzy serii „Secret Lives of the Super Rich" („Sekretne życie bogaczy") zaprezentowali wartą 185 mln dol. rezydencję The Lonsdaleite w ekskluzywnym szwajcarskim kurorcie St. Moritz. Dom według twórców jest najdroższy w całej Szwajcarii. Z zewnątrz rezydencja wygląda nawet dość skromnie, ale to tylko pozory. – Jest tak nadzwyczajna i luksusowa, że aby w to uwierzyć, niektórzy muszą to po prostu zobaczyć – wyjaśnia CNBC Senada Adzem, agentka luksusowych nieruchomości, która została zatrudniona przez właścicieli do sprzedaży willi w St. Moritz.

Twórcy serii zaznaczyli, że „nie mogą zdradzić nazwiska europejskiego magnata, który poruszył góry, by zbudować ten dom ze snów", ale nasze rodzime tabloidy szybko skojarzyły fakty i ogłosiły, że pełna przepychu rezydencja została wystawiona na sprzedaż przez spadkobierców Jana Kulczyka.

WIDOKI POD PRYSZNICEM

– James Bond poczułby się tu jak w domu – zapewnia Adzem, która w programie jest przewodnikiem po luksusowej rezydencji. Prezentuje salon, którego przeszło 10-metrowe okna dają panoramiczny widok na alpejski masyw, a przeciwległa ściana od podłogi do sufitu jest wyłożona futrem norek. Biblioteczka obita od góry do dołu czerwonym aksamitem ma ukryty guziczek, którego naciśnięcie otwiera drzwi do tajemnego gabinetu. Wrażenie robi sześciokątna klatka schodowa. Czarne kamienne stopnie zostały zainstalowane w taki sposób, że wyglądają, jakby unosiły się w powietrzu. Wstając z łóżka w sypialni gospodarzy, z pewnością nie narazimy się na zmarznięte nogi, bo na podłodze

eprasa.pl 6ed2495ad6

Strefa relaksu ze spa i z basenem, którego dno podświetlają światełka z kryształów Swarovskiego

FOT. MATAERIAŁY PRASOWE (4)

doktora Jana

eprasa.pl 6ed2495ad6

Jedna ze ścian jadalni wyłożona jest 24-karatowym złotem

W regale z książkami ukryto guziczek, którego naciśnięcie otwiera drzwi do tajemnego gabinetu

leżą białe futra lisów polarnych. Przez okno możemy zaś podziwiać wartą 1,8 mln dol. rzeźbę.

Prywatna jadalnia przeznaczona do spożywania śniadań jest swego rodzaju instalacją artystyczną. Jedna ze ścian jest pokryta 24-karatowym złotem, a sama rzeźba jaja zwisającego z sufitu jest warta 145 tys. dol. Ekstrawagancka jest także łazienka wykonana z białego onyksu. Pejzaż górski można podziwiać, stojąc pod prysznicem.

Goście rezydencji mają do dyspozycji pięć sypialni, których ściany obito jedwabiem. Każda z gościnnych łazienek wyłożona jest innym rzadkim kamieniem. Salon strefy rozrywki dla gości ma sufit pokryty złotem. Oświetla go 178 kryształowych świec od Swarovskiego.

Willa wyposażona jest w windę, bo ma aż siedem kondygnacji – większość pod ziemią. Znajdują się tam piwniczka z winami, warte 1,3 mln dol. domowe kino, spa z sauną i kriokomorą. W willi

Willa liczy siedem kondygnacji, z czego większość znajduje się pod ziemią

nie mogło zabraknąć basenu, którego dno podświetlają światełka z kryształów od Swarovskiego. O strefie narciarskiej nie trzeba chyba nawet wspominać. St. Moritz to kurort dla najbogatszych fanów szusowania. Z rezydencji The Lonsdaleite jest bezpośredni dostęp do narciarskiej trasy i wyciągu. Wystarczy włożyć narciarskie buty i przejść przez przeszklone rozsuwające się drzwi.

Czy Jan Kulczyk czuwał nad wyposażeniem willi? Tego nie wiadomo. – W żaden sposób nie komentujemy tych doniesień – mówi nam Katarzyna Mazurkiewicz, rzecznik Kulczyk Investments, pytana o informacje, które pojawiły się ostatnio na temat nieruchomości w St. Moritz. Media – zarówno szwajcarskie, jak i polskie – jeszcze w 2014 r. donosiły, że to właśnie polski miliarder Jan Kulczyk jest inwestorem drążącym skały na wzgórzu Suvretta w St. Moritz, by postawić wielopiętrową luksusową rezydencję. Pisano o słynnych sąsiadach miliardera – m.in. rodzinie Guccich. Szwajcarski magazyn „Bilanz" podał z kolei, że na budowę rezydencji przeznaczono 150 mln franków szwajcarskich (ok. 600 mln zł).

W wydanej przez Frondę biografii „Jan Kulczyk. Biografia niezwykła", której autorzy zaznaczają, że Kulczyk udzielał im informacji do biografii w Wiedniu, na krótko przed swoją śmiercią w 2015 r., czytamy, iż miliarder czekał na: dostarczenie zamówionego w pracowni braci Olko biurka wyrzeźbionego z głazu, na odbiór nowego odrzutowca Gulfstream G650 i właśnie na ukończenie prac nad willą w St. Moritz. „Podobno to największy prywatny dom w Szwajcarii" – napisali autorzy. Zwrócili też uwagę, że po śmierci Jana Kulczyka jego syn Sebastian i córka Dominika mają długą listę nieruchomości do zweryfikowania. „Na liście jest choćby Centrum Zamek. To spółka, która zarządza posiadłościami w Lubniewicach. W tym urokliwym miejscu nad jeziorami w Lubuskiem Jan Kulczyk kupił dwa zamki otoczone starodrzewiem". Oprócz luksusowych apartamentów w różnych zakątkach świata media przypisują także Janowi Kulczykowi kupno zamku na Lazurowym Wybrzeżu – Château de Madrid stojącego tuż nad śródziemnomorskim urwiskiem.

NAD WISŁĄ TYLKO MILION

Takich rezydencji jak The Lonsdaleite w St. Moritz próżno szukać nad Wisłą. Chociaż rynek luksusowych nieruchomości dynamicznie rośnie (między 2012 a 2016 r. o 40 proc. według raportu Poland Sotheby's International Realty oraz magazynu „Forbes"), to jego wartość w 2016 r. obliczono na 3,6 mld zł. Z szacunków Poland Sotheby's International Realty wynika, że tyle wyniosła wartość nieruchomości sprzedanych u nas za cenę co najmniej 1 mln zł. W 2015 r. za cenę powyżej 5 mln zł sprzedano 90 posiadłości. W świecie za nieruchomość luksusową uznaje się taką, która kosztuje powyżej 1 mln dol. U nas za luksus uznaje się tę wartą już 1 mln zł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6ed2495ad6

Zmieniamy się dla Państwa

REPUBLIKA

Katarzyna Gójska

PONIEDZIAŁEK/ WTOREK/ ŚRODA

Ryszard Gromadzki

CZWARTEK

21:05

Oglądaj Telewizję Republika za darmo:
www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 6ed2495ad6

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Pożegnalne Zaduszki

Jedną z najważniejszych ceremonii dawnych Słowian była uczta na cześć duchów przodków odbywająca się na ich grobach. W zależności od regionu zwała się strawą lub tryzną, a obchodzono ją na jesieni, w dawnej Polsce zwykle w nocy z 31 października na 1 listopada, skąd wzięły się u nas późniejszy chrześcijański Dzień Zaduszny i Wszystkich Świętych. Na terenach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego i na Rusi obchodzono je cyklicznie: 24 października, w okolicach Wielkiej Nocy i na początku maja, zwąc po prostu „dziadami", uwiecznionymi przez Adama Mickiewicza.

Czym dawni Słowianie karmili dusze przodków? W zależności od regionu były to chleb, kołacze, sery, miód, jajka, kutia. Na Rusi Białej, w XIX w., jak podaje Aleksander Brückner, święto owo obchodzono 24 października w domach, przygotowując dla dusz posiłki złożone z siedmiu dań – kładąc nawet osobne nakrycia i łyżki dla zmarłych. Natomiast uczta na grobach wyprawiana była w „radunicę", czyli pierwszy wtorek po Wielkanocy.

Słowiański katalog potraw opracowany przez Hannę i Pawła Lisów oraz Małgorzatę Krasną-Korycińską pokazuje, że na stół trafiały dania, które ucieszyłyby podniebienie dzisiejszych ludzi. Przede wszystkim chleb żytni przygotowywany bez drożdży, na zakwasie. Następnie kołacze ze starannie przesianej mąki pszennej rozrobionej z wodą i mlekiem, pieczone w piecu kloszowym, z dodatkiem śliwek i młodego miodu, czyli patoki. Następnie sery, przede wszystkim w postaci twarogu, gdyż Słowianie nie znali jeszcze twardych ani żółtych. Na stół trafiał zapewne twaróg ze śmietaną, doprawiany na słodko miodem, jabłkami i cynamonem. Na ostro zaś – czosnkiem, chrzanem i polnymi ziołami: komosą, miętą i szałwią. Nie mogło zabraknąć jajek, np. wbijanych do gotującego się mleka z masłem, doprawionego ziołami. Kiedy były gotowe, wyjmowano je, a pozostały wywar zagęszczano mąką, dodawano chrzan i śmietanę, z czego powstawał doskonały sos do polewania tychże właśnie jaj. Znano też dzisiejsze jajka na twardo – po prostu pieczono je w popiele. I wreszcie mięso oraz polewki – szczawiową, z barszczu, pokrzywową, z podagrycznika, z wyki, grochową albo piwną. I jeszcze kiszone grzyby oraz groch z miodem.

Jak podają Hanna i Paweł Lisowie, słowiańska uczta z duszami przodków była świętem wesołym, inaczej niż dzisiejsza stypa czy smutne Święto Zmarłych. Owa tryzna oznaczała zaś nie tyle biesiadę, ile zabawę – igrzyska połączone z zapasami, pieśniami i tańcami w korowodach.

W takim właśnie nastroju wypada nam czas pożegnania. To już mój ostatni felieton kulinarny. Miło mi było wspólnie podróżować przez kulinarne epoki, ale wszystko, co ziemskie i doczesne, ma swój ostateczny kres. Do zobaczenia w nowym cyklu za tydzień. ©℗

FOT. FOTOLIA

Mięso z garnka

Bierzemy wielki gliniany garnek i wykładamy go liśćmi chrzanu. Na dno kładziemy plastry grubo krojonej słoniny. Gotujemy dwie duże marchewki, pieczemy w popiele albo tniemy w talarki i przysmażamy na patelni dwie cebule. Następnie kroimy w kostkę pół kilograma wołowiny i tyleż samo cielęciny. Mieszamy je z krojoną marchewką i cebulą. Doprawiamy solą i kilkoma ząbkami czosnku oraz szałwią. Wszystko to wkładamy do garnka, dodając kilka łyżek masła i wbijając trzy jajka; potem należy te składniki dokładnie wymieszać. Z wierzchu dajemy trochę masła i kładziemy liście chrzanu. Wstawiamy garnek do pieca lub paleniska, pieczemy przez blisko godzinę, co jakiś czas obracając go lub wyciągając i lekko potrząsając.

Bliny

Do garnka wlewamy szklankę zsiadłego mleka, jedno całe jajko, dosypujemy półtorej szklanki mąki owsianej lub pszennej, starannie mieszamy. Gotowe ciasto odstawiamy na kilkanaście minut. Przygotowana masa musi być dość gęsta, aby można było nabrać ją łyżką. Na patelni lub blasze rozgrzewamy trochę oleju lnianego i smażymy na nim z obu stron małe placuszki.

eprasa.pl 6ed2495ad6

AGNIESZKA KACZOROWSKA – TAŃCZY, GRA... PIECZE CHLEB

Uwielbiam przygotowywać zdrowe i pyszne śniadania. Jednym z moich ulubionych przepisów jest chleb, który wyśmienicie smakuje z pastą z awokado, humusem czy powidłami ze śliwek. Znalazłam ten przepis na jakimś blogu i lekko go udoskonaliłam. Polecam.

FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

Składniki:

- 1 szklanka ziaren słonecznika
- 1/4 szklanki pestek dyni
- 3/4 szklanki siemienia lnianego
- 1/2 szklanki migdałów
- 1,5 szklanki płatków owsianych
- 10 czubatych łyżek zmielonego siemienia lnianego
- 2 łyżeczki soli morskiej
- 1 łyżka syropu z agawy
- 5 łyżek rozpuszczonego oleju kokosowego
- 1,5 szklanki letniej wody

Przygotowanie:

Wszystkie suche składniki mieszamy w dużej misce. W drugiej misce łączymy wodę z syropem i olejem kokosowym. Wlewamy płynne składniki do suchych i dokładnie mieszamy. Odstawiamy na jedną godzinę lub dwie, aż do wchłonięcia płynów. Masa stanie się sztywna. Rozgrzewamy piekarnik do 185 st. C. Keksówkę cienko smarujemy olejem kokosowym, choć ja mam taką gumową, do której nic nie przywiera, więc nie muszę. Przekładamy do niej masę i pieczemy 50–60 min. Najlepiej, aby po wyjęciu chleb studził się całą noc, żeby się nie kruszył, więc mimo pięknego zapachu wytrzymajcie do tego jutrzejszego śniadania. ©℗

oprac. raw

Agnieszka Kaczorowska jest tancerką, aktorką serialową i teatralną.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na dobre krążenie?

Czasem dużo czasu trzeba, żeby mądrość ludową potwierdziły badania uczonych, najczęściej zresztą amerykańskich. Na przykład że jeśli się mało je, to się chudnie, albo że jeśli się ma imprezę z dużą wyżerką, to potem albo przedtem trzeba popościć... Otóż właśnie okazało się, że prastarą wiedzę ludu pijącego – wódka lepsza niż wino – sprawdzili właśnie badacze. Cóż się okazało? Nie mylili się ci, którzy na własnej skórze (czyli żołądku) od lat sprawdzają skuteczność procentów. Po winie człowiek jakiś otumaniony, wódeczka dobrze się przyswaja.

Badanie opublikowane w czasopiśmie „Circulation", organie Japońskiego Towarzystwa Krążenia, udowadnia, że zarówno wódka, jak i wino mają dobroczynny wpływ na serce (jakkolwiek obrazoburczo by to brzmiało). Świniom na diecie wysokotłuszczowej podawano czerwone wino, wódkę (co na to obrońcy zwierząt?) lub napój bezalkoholowy. W przypadku tych, które dostawały napoje alkoholowe, zanotowano lepsze krążenie i podwyższony poziom dobrego cholesterolu. Uczeni zauważyli jednak, że działanie wódki i wina się różni. Wino sprawiało tylko rozluźnianie się naczyń krwionośnych, natomiast dzięki wódce naczynia włosowate zwiększały intensywność pracy, przez co do krwi pompowało się więcej tlenu.

Wódka ma 40 proc. alkoholu, reszta to woda. Mały szocik czystej wódeczki to 92 kcal. Czysta sprawa: nie ma tłuszczu, włókna, cukrów ani węglowodanów. Jest to zatem dobry wybór dla osób, które dbają o linię.

Spirytus jest w organizmie metabolizowany. Przetwarzają go enzymy w wątrobie – jedna uncja (284 ml) potrzebuje na to godziny. Im więcej pijemy, tym większa jest zawartość alkoholu we krwi oraz w tkankach i proces metabolizowania się wydłuża.

Wiedzą to zdyscyplinowani konsumenci, którzy po obficie zakrapianej kolacji nie mają odwagi rano wsiąść do samochodu.

Panowie menedżerowie producentów wódki, tacy jak cytowany przez „Circulation" Martin Silver, twierdzą oczywiście, że wysokoprocentowa czysta służy nam najlepiej, ponieważ wielokrotna destylacja pozbawia ją nieprzyjemnych cukrów. „Jeden czy dwa drinki wieczorem i nazajutrz poczujesz się świetnie" – zachwalają.

Nie wiem, co na to komitet przeciwdziałania alkoholizmowi czy coś takiego. I tym razem nauka potwierdziła mądrość ludową, która do hasła reklamowego Melchiora Wańkowicza „Cukier krzepi", reklamy polskiego przemysłu cukrowniczego, dodała ciąg dalszy.

Cukier ma dziś złą prasę, ale wódka wciąż nieźle krzepi. ©℗

eprasa.pl 6ed2495ad6

NASZ TEST: ŠKODA KODIAQ

Potężna, muskularna sylwetka, przestronne wnętrze oraz możliwość zamontowania siedmiu miejsc dla pasażerów, a także przyzwoita cena – to argumenty przemawiające za największym rodzinnym SUV-em ze znaczkiem Škody na masce. Zawiedzeni mogą być jedynie ci, którzy marzą o wielkiej radości z jazdy.

W KABINIE

Deska rozdzielcza jest przejrzysta i rozsądnie zaplanowana. Ośmiocalowy wyświetlacz ciekłokrystaliczny sprawia zaś, że wnętrze wygląda nowocześnie. Na pochwałę zasługuje też pokryta skórą podgrzewana kierownica, która jest bardzo przyjemna w dotyku. Użyte do wykończenia wnętrza plastiki są nieźle spasowane i zazwyczaj dość miękkie. Gorzej jest z tyłu, gdzie zastosowano już twardsze materiały. Miejsca wewnątrz jest dużo dla pasażerów podróżujących zarówno z przodu, jak i z tyłu. Na brak przestrzeni nad głową nie powinni więc bardzo narzekać nawet koszykarze. W przypadku zwykłych śmiertelników taka ilość miejsca pod podsufitką może być jednak niepotrzebna. Auto nie jest zbyt szerokie, przez co na tylnej kanapie lepiej nie sadzać obok siebie trzech grubszych dorosłych. Bagażnik w wariancie pięcioosobowym ma 720 l pojemności.

JAZDA

Kodiaq z dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 180 KM i wadze 1,6 t od zera do pierwszej setki rozpędza się w 7,8 s. Maksymalna prędkość wynosi zaś nieco ponad 200 km/godz.

Na plus Kodiaqowi trzeba zapisać zachowanie na zakrętach – w przeciwieństwie do wielu rywali nie ma on tendencji do zbytniego przechylania się, gdy próbujemy szybko pokonać odcinek, którego szkic na nawigacji przypomina EKG. Bardzo dobre są też hamulce. Auto nie zachwyca jednak dynamiką. Również układ kierowniczy mógłby dawać więcej frajdy. Sztywne zawieszenie w trybie Komfort przyzwoicie radzi sobie z tłumieniem nierówności. Darowałbym sobie jednak przełączanie na tryb Normalny czy Sportowy. Auto staje się bowiem wówczas jeszcze sztywniejsze, a przez to mało komfortowe.

Średnie spalanie w cyklu mieszanym podczas naszego testu wyniosło 9,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Skoda Kodiaq w testach zderzeniowych Euro NCAP zdobyła komplet pięciu gwiazdek. Kierowca siedzi wysoko, dzięki czemu możemy spoglądać na drogę ponad dachami mniejszych aut. Jazdę w korku ułatwia system Traffic Jam Assist, który do poruszania się po zatłoczonych ulicach wykorzystuje po prostu asystenta pasa ruchu oraz aktywny tempomat. W mieście i poza nim przydaje się z kolei czujnik, który alarmuje, jeśli w martwym polu lusterek znajduje się inny samochód. Ogólnie widoczność jest niezła – osoby mające problemy z parkowaniem powinny jednak rozważyć inwestycję w opcjonalne kamery cofania.

CENA

Najtańszy Kodiaq kosztuje 92,4 tys. zł. Dostajemy wówczas manualną skrzynię biegów i silniczek o mocy zaledwie 125 KM – za małej, aby cieszyć się z jazdy tak dużym SUV-em, zwłaszcza na autostradach. Standardowa wersja jest też pięcio-, a nie siedmioosobowa. Na Kodiaqa z lepszym wyposażeniem (Style) oraz silnikiem benzynowym o mocy 180 KM, automatyczną skrzynią biegów i napędem na cztery koła trzeba już wydać minimum 141 tys. zł. Model z jednostką Diesla o mocy 190 KM to zaś już koszt co najmniej 152,9 tys. zł.

KONKURENCI

Honda CR-V, Hyundai Santa Fe, Kia Sorento, Mazda CX-5, Nissan X-Trail, Seat Ateca, Volkswagen Tiguan ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6ed2495ad6

99 RENT

PROMOCJA

wprost

TYGODNIK LISCIEGO DO RZECZY

Partnerzy medialni
Kongresu 590
w Rzeszowie

Z lotniska wygodnie?

99 REASONS TO RENT A CAR

Zarezerwuj samochód na okres
15 – 17 listopada 2017.
Odbierz samochód na jednym z 3 lotnisk:
Kraków, Lublin, Rzeszów i skorzystaj
z **promocji -20%** od cennika standardowego!

Volkswagen Passat
od 140 zł brutto/dzień

BMW Seria 3
od 225 zł brutto/dzień

Szczegóły promocji dostępne na:
www.99rent.pl/promocje

eprasa.pl 6ed2495ad6

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Efekt domina

MARCIN MAKOWSKI: Wybory w Czechach wygrał Andrej Babiš z partią ANO. Media już ogłosiły, że to drugi Donald Trump. Jest w tym ziarno prawdy?

MATTHEW TYRMAND: I tak, i nie. Na pewno jeśli patrzymy na środkowoeuropejskie standardy, nieco przypomina Trumpa. To drugi najbogatszy człowiek w Czechach i na Słowacji, skąd pochodzi. Obaj są zatem ludźmi biznesu, którzy w dojrzałym wieku zaangażowali się w politykę. Babiš nie wszedł do niej jednak z podwórka – partię założył w 2011 r., był wicepremierem i ministrem finansów w rządzie Bohuslava Sobotki. Jeśli coś faktycznie ich łączy, to pragmatyczne spojrzenie na rolę Unii Europejskiej, która powinna być przede wszystkim projektem gospodarczym, a nie ideologicznym organizmem, zmierzającym do centralizacji władzy. Babiš, a wraz z nim większość Czechów, którzy w ponad 50 proc. zagłosowali na ugrupowania eurosceptyczne, zaczęli te zagrożenia coraz wyraźniej dostrzegać. Ingerencja w politykę migracyjną Węgier czy Austrii na pewno była dla nich dzwonkiem ostrzegawczym. Myślę jednak, że nowy szef czeskiego rządu jest większym zwolennikiem wolnego rynku i międzynarodowych umów finansowych niż Trump.

Trudno, żeby nie był, jeśli gospodarka kraju, którym będzie rządzić, w 80 proc. opiera się na handlu z państwami UE.

Do tego zmierzam. Stany Zjednoczone mogą sobie pozwolić na częściową samowystarczalność i agresywniejszą politykę gospodarczą, natomiast Czechy muszą ostrożnie balansować na granicy twardego negocjowania z Unią, przy jednoczesnym realizmie i chodzeniu na punktowe ustępstwa ekonomiczne. Zostawiając jednak na boku podobieństwa i różnice, wybory w Czechach to kolejny po Austrii przykład na autentyczną skuteczność „efektu Trumpa", o którym rozmawialiśmy w naszej książce pt. „Patrzeć, jak świat płonie". Europę ogarnia eurosceptyczny efekt domina. Przecież o podium, z prawie 11 proc. głosów, otarła się również wyraźnie populistyczna partia Wolność i Demokracja Bezpośrednia Tomia Okamury.

Z którą to partią Andriej Babiš nie ma zamiaru tworzyć koalicji, nawet jeśli ceną będzie rząd mniejszościowy.

I paradoksalnie właśnie ta decyzja sprawia, że biznesmeni są skuteczniejsi w roli polityków niż oni sami. Politycy zmierzają przede wszystkim do scementowania i utrzymania władzy, dlatego czasami godzą się na egzotyczne koalicje. Nawet jeśli krępują im one przy tym ręce. Biznesmeni są bardziej pragmatyczni. Babiš wie, że jeżeli za bardzo skręci w prawo, to straci możliwość nawigowania swoim stanowiskiem i sytuacyjnego dostosowywania go do temperatury na arenie międzynarodowej. To bardzo mądra strategia. Polska powinna się tej elastyczności i pragmatyzmu nauczyć. Myślę, że będzie ku temu okazja wewnątrz Grupy Wyszehradzkiej, która przynajmniej w kwestii obrony własnych granic oraz problemu imigrantów zacznie mówić jednym głosem. Oby jeszcze tak samo jednomyślny w innych ważnych dla państwa sprawach był polski rząd.

Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie będę ukrywać, że od pewnego czasu nieustannie dochodzą do mnie głosy o coraz brutalniejszych grach o władzę, które rozgrywają się pod powierzchnią deklarowanej jedności prawicy. Niestety, często nie chodzi o idee, ale o zwykłe personalne animozje i przetasowania. Ostatnio ich ofiarą padł szef PAP Artur Dmochowski. W moim odczuciu spisywał się świetnie, dekomunizował Polską Agencję Prasową, uczulił swój zespół na uczciwsze dziennikarstwo, wymienił wielu zwyczajnie słabych korespondentów zagranicznych. Pożegnał się jednak ze stanowiskiem nie ze względu na błędy merytoryczne, ale niedopasowanie do politycznej układanki. To są metody przypominające zarządzanie kadrami w dojrzałym PRL. Mam nadzieję, że nie jest za późno, aby ten szkodliwy dla Polski trend odwrócić. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 6ed2495ad6

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

PRENUMERATA

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ KSIĄŻKA „MOJA POLSKA", AUTOR: SZEWACH WEISS

SZEWACH WEISS PRZEŻYŁ NIEMIECKI HOLOCAUST DZIĘKI POMOCY POLSKICH I UKRAIŃSKICH SĄSIADÓW, A PÓŹNIEJ BUDOWAŁ MOST ŁĄCZĄCY POLAKÓW I ŻYDÓW. W KSIĄŻCE WRACA DO WSPOMNIEŃ Z DZIECIŃSTWA W BORYSŁAWIU, DO NIEPOWTARZALNEGO „POLSKIEGO NIEBA". WRACA RÓWNIEŻ DO WSTRZĄSAJĄCYCH WYDARZEŃ HOLOCAUSTU.

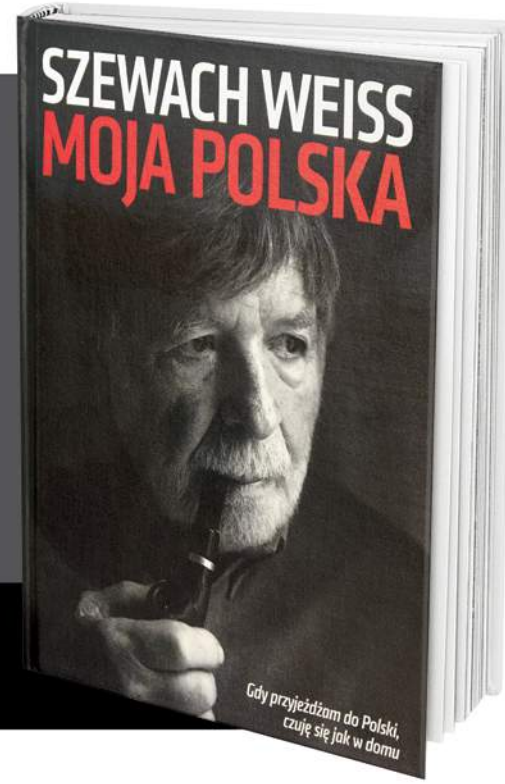

76 zł OSZCZĘDZASZ!

138 zł

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ ROCZNA PRENUMERATA „HISTORIA DO RZECZY"

WZBOGAĆ PRENUMERATĘ „DO RZECZY" O NAJLEPSZY MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY I CZYTAJ NASZE OPRACOWANIA PRZYGOTOWANE PRZEZ HISTORYKÓW, PUBLICYSTÓW I PASJONATÓW HISTORII. POZNAJ MNIEJ ZNANĄ HISTORIĘ POLSKI I ŚWIATA.

260 zł

194 zł OSZCZĘDZASZ!

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 6ed2495ad6

OKIEM BLOGERKI

Dobrowolne ofiary

KATARYNA

Wszelkie formy niepożądanych działań werbalnych, niewerbalnych lub fizycznych o charakterze seksualnym, skutkujące naruszeniem godności danej osoby, w szczególności w atmosferze zastraszania, wrogości, upodlenia, poniżenia lub obrazy – tak brzmi definicja molestowania seksualnego zapisana w słynnej konwencji antyprzemocowej, którą w atmosferze ideologicznych sporów przyjęto, ale nikomu nie przyszło do głowy, by ją wdrażać. Może to i dobrze, bo choć zawiera wiele naprawdę ważnych dla kobiet zapisów, ma także niebezpieczne ambicje uregulowania każdego aspektu relacji męsko-damskich, zobowiązując np. państwa-sygnatariuszy do wprowadzenia karalności zdefiniowanego w taki sposób molestowania seksualnego. A przecież ta definicja jest tak pojemna, że gdyby przełożyć ją na paragraf w Kodeksie karnym, można byłoby penalizować prawie każdą damsko-męską interakcję, bo czegóż to nie da się podciągnąć pod „niepożądane działania werbalne lub niewerbalne?

Robienie ofiary molestowania z osoby, która godziła się na to dla korzyści, krzywdzi faktyczne ofiary molestowania

W mediach społecznościowych trwa właśnie kampania #MeToo #JaTeż – kobiety na całym świecie dzielą się swoimi doświadczeniami z bycia ofiarami molestowania seksualnego, a są to doświadczenia przeróżne. Pod wspólnym hasztagiem mieszają się wspomnienia traum z dzieciństwa kobiet gwałconych przez wujka z żalami dziewczyn, przy których szef opowiedział sprośny dowcip. Nic dziwnego, wszak przytoczona wyżej definicja molestowania seksualnego pozostawia dużą swobodę w określaniu jakiejś wypowiedzi lub zachowania jako molestowania seksualnego. Jak wielką krzywdę takie zrównywanie wyrządza każdej prawdziwej ofierze – tego nie trzeba tłumaczyć. Kampania, która miała uświadomić, jak bardzo powszechne jest molestowanie seksualne, przez przywoływanie w niej oprócz prawdziwych zachowań przemocowych także zachowań dość niewinnych faktycznie banalizuje zło i zamiast je piętnować – oswaja je i znieczula. Jeśli wszystko jest molestowaniem seksualnym, to może nic nim nie jest?

Kampania #MeToo jest odpowiedzią na wyznania amerykańskich aktorek, które właśnie sobie przypominają, że kiedyś były molestowane przez jednego z najpotężniejszych ludzi w Hollywood – Harveya Weinsteina, któremu wiele z nich zawdzięcza kariery, czemu niejednokrotnie dawały wyraz w dziękczynnych mowach z okazji odbierania kolejnych nagród. I gdyby nie to, że Weinsteinowi powinęła się noga i to, co przez lata było tajemnicą poliszynela, stało się wiedzą powszechną, aktorki i celebrytki pewnie nadal wybierałyby tak bardzo opłacalne zawodowo milczenie. A ponieważ się wszystko wydało i pan magnat nie będzie miał już wiele do powiedzenia, można sobie odświeżyć pamięć o doznanych krzywdach i poszukać współczucia. Tylko czy ktoś, kto przez lata pozwalał Weinsteinowi klepać się po tyłku w zamian za pomoc w karierze, na pewno jest ofiarą, czy może po prostu był to opłacalny dla obu stron układ? Robienie ofiary molestowania z każdej osoby, która godziła się na określone traktowanie nie ze strachu ani pod przymusem, ale dla całkiem wymiernych korzyści, krzywdzi faktyczne ofiary molestowania i pozwala bagatelizować problem. ©℗

PODSŁUCHANE

To tylko serial

Mariusz, ty masz jakieś przecieki, co ze mną? Powiedz, błagam cię, no przecież tak się nie da funkcjonować!
Jarek, siadaj, uspokój się, chłopie, bo na zawał zejdziesz. O co ci chodzi? Ja zostaję.

Ja wiem, że ty zostajesz, przecież ty jesteś pewniakiem. Ale ja to już sam nie wiem.
Przecież moim wiceministrem jesteś.

A „Ucho prezesa" ostatnie widziałeś? No widzisz! Prezes mnie prawie odwołał!
Człowieku, to jest tylko serial, w dodatku marny. Widziałeś mnie kiedyś w takim idiotycznym, błyszczącym garniaku?

Nie... Ale oni tam to podobno mają dobre przecieki, a prezes to kilka rzeczy od nich nawet podłapał. Tak mówią. A jak podłapie, żeby mnie zwolnić? O matko...
A coś zbroiłeś ostatnio?

Ja? Ale skąd! W policji wszystko tip-top chodzi, staruszki przez jezdnię przeprowadzają, ciężarne kobiety do szpitala eskortują, młodzieży pijącej piwo w parkach mandaty wystawiają. Za moment kary za brak meldunku wprowadzimy, dyscyplina w końcu będzie jak w zegareczku!
No to nie masz się czego bać. Ale pamiętaj: w obliczu prezesa nikt nie może być pewny dnia ani godziny. Ja w gabinecie mam w szafie gotowe kartony, jakby się było trzeba zwijać. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Gdyby w 966 r. rządził Kaczyński, Polska nie przyjęłaby chrześcijaństwa".

Roman Kuźniar, *były doradca Bronisława Komorowskiego, w artykule opublikowanym na łamach „Gazety Wyborczej"*

eprasa.pl 6ed2495ad6

fot. Jerzy Gumowski

Luter

Jutro (31 października) 800 milionów protestantów tego świata obchodzić będzie 500–lecie luterańskiej reformy (w Niemczech Rok Lutra, pełen tzw. Kirchentagów, czyli zjazdów ewangelików, trwa już od października roku ubiegłego). 31•X•1517 Martin Luter przybił na drzwiach kościoła uniwersyteckiego w Wittenberdze swoich 95 tez przeciwko handlowaniu odpustami. I tak się zaczęło dzikie europejskie kontestowanie Rzymu/katolicyzmu, pełne wulgarnych obelg i gróźb miotanych na *„Kościół psów i świń, Kościół kurwiszonów i hermafrodytów”*, czemu towarzyszyło rzucanie eucharystii do koryta lub wychodka (jako *„wywaru diabła”*), dewastowanie ikonografii religijnej, *„desatanizowanie”* liturgii, itp. Europa pękła, podzieliła się na dwa wyznania chrześcijańskie tak sobie wrogie, że starcia pochłonęły mnóstwo ofiar, nie tylko zabitych, lecz i zamęczonych, przy czym luteranie wykazywali szczególne okrucieństwo. Dzisiaj część Kościoła Rzymu buduje most zgody, twierdząc, że różnice doktrynalne są małe i bez znaczenia. Co budzi gniew tradycjonalistów. Chciałoby się rzec: hola! Już samo wymiecenie przez protestantyzm kultu Maryjnego stanowi niepokonywalną barierę, a to przecież tylko wierzchołek różnic.

Antysalonowych (czyli tych mało postępowych, konserwatywnych) katolików nieprzyjemnie bulwersują ostatnio *„ekumeniczne”* umizgi papieża Franciszka i jego akolitów wobec Kościoła luterańskiego. Zeszłoroczny udział Franciszka we wspólnym, czczącym pamięć Lutra, nabożeństwie z luteranami wywołał ogólnoświatowy szok. Za tym poszły inicjatywy czołowych katolickich hierarchów (biskup Franz–Josef Bode, kardynał Walter Kasper, i in.) lansujące *„interkomunię”* — wspólną, w tych samych świątyniach, komunię katolików i protestantów. Lewak Kasper, zwany *„przybocznym teologiem papy Franciszka”*, powiedział wprost: *„— Mam nadzieję, że kolejna papieska deklaracja stworzy możliwość wspólnej Komunii Eucharystycznej z luteranami”*. Od dwóch lat praktykowane jest już tu i tam wspólne celebrowanie mszy przez katolickiego duchownego i pastorkę protestancką. W Polsce jeszcze nie, lecz prymas Polski, arcybiskup Wojciech Polak, wszedł do Komitetu Honorowego Obchodów 500–lecia Reformacji. Groza! Manipuluje się też przy małżeństwach kościelnych, co mi przypomina anegdotę sprzed paru wieków. Roku 1605 hrabia Rudolf Sulz (katolik) poślubił hrabinę Agatę Hanau (luterankę), sygnując w trakcie ceremonii taki dokument: *„Klnę się na mój herbowy honor, że niech mnie diabli porwą gdybym chciał odwodzić mą małżonkę od luterstwa. Będzie chciała więcej luterskich biblii, to jej kupię. Gdyż nie biorę dziś jej duszy, tylko ciało. Sam zostanę przy religii mych przodków, a jeśli moja żona nie chce iść ku niebu tą drogą — to niech sobie idzie do piekła”*.

Wbrew naiwnym mniemaniom Lutrowi chodziło bardziej o europejski status Niemców niż o religię. Wojciech Tomaszewski: *„Niemcy z Rzymem od wieków walczą o dominację w Europie. Wymyślili Reformację, niszcząc jedność religijną naszej cywilizacji i inicjując 150 lat krwawych wojen religijnych”*. Nie tylko religijnych. Luterański ferment reformacyjny obudził ducha buntu wśród mas, dowodząc, że powiedzonko, iż *„grzbiet chłopski wszystko zniesie”*, to bzdura. Gromady wieśniaków runęły przeciwko *„panom”* i małpując Lutra zaatakowały kler katolicki (pustoszenie kościołów oraz klasztorów, rozpędzanie księży tudzież mnichów). *„Wojny chłopskie”* lat 1524–25 objęły prawie wszystkie tereny niemieckie — chłopi walczyli o zniesienie poddaństwa, obniżenie wymiaru pańszczyzny, i generalnie o uczłowieczenie wieśniaka ciemiężonego przez feudałów. Luter zachował się tu wrednie, chociaż bowiem stworzył Reformacją płaszczyznę dla tego wyzwoleńczego ruchu — na początku maja 1525 opublikował paszkwil **„Przeciw rabującym i mordującym chłopskim hordom”**, w którym radził, by zbuntowanych chłopów *„dusić, zakłuwać, zgniatać, robić z nich miazgę, wyrżnąć jak wściekłe psy”*. Tym sposobem łasił się do książąt (*„do chrześcijańskiej szlachty narodu niemieckiego”*), potrzebując ich protekcji, wsparcia, współdziałania.

Jan z Kijan (pocz. XVII w.): „Luter zarzucił w kąt pacierze...”

Od kilkudziesięciu lat coraz większa grupa badaczy piętnuje tezę o prymacie motywów religijnych Reformacji jako naiwność, wskazując inne przyczyny, szczególnie nacjonalistyczne, choć bandyckie również. Ta druga teza ma długą brodę, już bowiem w XIX wieku głośny historycyzujący publicysta brytyjski, William Cobbett, dowodził, że *„motorem rewolucji protestanckiej był rabunek”* (**„Listy o historii Reformacji”**), na co dużo dowodów dawały nie tylko dzieje anglikanizmu (zarządzony przez Henryka VIII rabunek katolickich klasztorów i świątyń), lecz i powszechne kontynentalne grabieże mienia katolickiego zainicjowane przez Lutra. Ale motyw nacjonalistyczny odegrał rolę czołową, jest więc dzisiaj wskazywany jako pierwszorzędny. I znowu: ta teza ma długą brodę, eksponowali ją bowiem już niemieccy Romantycy w pierwszej połowie XIX wieku, pruscy ideolodzy (spod znaku Bismarcka) w drugiej połowie tegoż stulecia, wreszcie hitlerowcy w pierwszej połowie wieku XX. Mówi ona wprost, że budując germańską przeciwwagę dla Rzymu Luter stworzył wspólnotową kulturę i tożsamość narodu niemieckiego, i że właśnie o to chodziło mu przede wszystkim.

Osią genetyczną wspomnianego poglądu jest trwająca wieki zazdrość Niemców wobec paneuropejskiej dominacji Rzymu. XVI–wieczna kulminacja tej niechęci zdetonowała luteranizm i przepoczwarzyła się w Reformację kontynentalną. To właśnie na bazie owej kontrrzymskiej awersji dawni piewcy niemczyzny przypominali triumfy Germanów unicestwiających legiony Imperium Rzymskiego (choćby zwycięstwo Arminiusza w Lesie Teutoburskim), perswadując, że o ile dusza romańska pasuje do katolicyzmu, o tyle germańska do protestantyzmu i, co za tym idzie, do kapitalizmu. Można się z tym zgodzić tylko częściowo. Legendarną uległość wobec autorytarnej władzy zwierzchniej faktycznie wszczepił Niemcom Luter swym *„Obrigkeitstaat”*, jednak wbrew twierdzeniu, że luteranizm dał silne podwaliny ideologii kapitalistycznej — zrodził on bardziej komunizm, goszyzm i lewicowy *„liberalizm”*. Włoska badaczka spuścizny Lutra, Angela Pellicciari: *„Luter był prekursorem komunizmu, socjalizmu i socjalizmu narodowego, czyli nazizmu”*. Analityczka polska, dr Aldona Ciborowska: *„— Z myśli luterańskiej bierze się rewolucja we Francji, rewolucje socjalistyczne XIX wieku, bolszewicka i nazistowska, wreszcie kulturowa nowej lewicy, która niczym rebelia Lutra zakłamuje prawdę o Bogu i człowieku, jest więc bardzo niebezpieczną herezją antropologiczną”*.

Dla socjalisty Adolfa Hitlera Luter — zwany *„Führerem narodu niemieckiego”* już w wieku XIX — był bardzo poręczny jako zagorzały antysemita. Luter bowiem zrazu sądził, iż Reformacja skłoni Żydów do masowego rzucania judaizmu i przyjmowania protestantyzmu, lecz gdy się zawiódł, wytoczył im bezpardonową wojnę proklamacjami i broszurami (m.in. **„O Żydach i o ich łgarstwach”**), pisząc: *„Żydzi to wierutni kłamcy i pijawki krwiożercze, lichwiarze chciwi a bezlitośni, istna zaraza i plaga. Zjadają owoc pracy innych, wyzyskują i okradają. Nigdy nie było ludu wszeteczniejszego — pazerniejszego, okrutniejszego, bardziej niegodziwego. Szkoły ich, domy oraz synagogi trzeba palić, im zaś kamienie u szyi przywiązywać i do Łaby ciskać, bo nikt inny tylko diabeł sprowadził ich na ziemie nasze (...) Mają się za panów świata, a ich Talmud głosi, że nas, gojów, mordować można niczym bydło, i że to nie jest grzechem. Życzą nam skrycie wszystkiego najgorszego, bo są opętani przez szatana”*.

Puenta: słuchajmy papieża–emeryta Benedykta XVI, który głosi, że nie może być mowy o *„interkomunii”* katolicko–protestanckiej, czyli o ułaskawieniu/udomowieniu luteranizmu. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 6ed2495ad6

butiki **SWISS**

swiss.com.pl